

STEFAN GRABIŃSKI

Cień Bafometa


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

STEFAN GRABIŃSKI

Cień Bafometa

GROM

Pomian był gotów. Powstał od biurka, rozprostował przygarbione całonocnym ślęczeniem plecy i uśmiechnął się. Był gotów. Przed nim piętrzył się stos świeżo zapisanych kartek — ostatnie już może akordy twórczości i życia. Dzieło ukończone. Z miłością oparł dłoń na rękopisach. Myśli zrodzone tej nocy, zakłete w twórcze słowo chwili wyjątkowej, zdawały się tętnić jeszcze krwią narodzin, jak gdyby nieskrzeple jeszcze w martwy kształt litery...

Po lewej stronie stołu pod przyciskiem testament spisany pewną, spokojną ręką człowieka, który dobrowolnie ustępuje z areny życia dla powodów ważnych... Przeglądał pismo raz jeszcze. Wszystko było w porządku: podpis, pieczęć notarialna, nazwiska świadków...

Na środku biurka, na teczce parę listów: do brata, krewnych w Krakowie i do matki. Ten ostatni przebiegł ponownie oczyma i zamyślił się... Najdroższa na świecie, najświętsza istota! Biedna, czy przeżyje cios, który jej gotuje?...

Uczuł, jak wzruszenie ścisła go za gardło. Łzy, niewczesne łzy męskie, zabłądziły pod powieki.

— Matko najlepsza, nie mogłem inaczej!...

Pospiesznie włożył list do koperty i zalepił. Wszystkie najważniejsze czynności były ułatwione: nic już nie stało na przeszkodzie do spełnienia czynu, który nakazywało sumienie. Przed nim ścieliła się droga prosta i jasna jak królewski gościniec. Czas mu już było nań wstąpić... Spojrzał na zegarek. Była 11 rano. Pozostawała do dyspozycji jeszcze tylko jedna godzina. — Przebrał się, wypił filiżankę czekolady i zapaliwszy papierosa, wyszedł. Było wtedy kwadrans na dwunastą w południe. Do „Lasku Cygańskiego”, wyznaczonego na miejsce spotkania, szło się dobre pół godziny; postanowił drogę tę odbyć pieszo. — Ruch odświeżył go i orzeźwił. Szedł krokiem szybkim, sprężystym, rzucając wkoło spojrzenia bystre, niemal wesołe.

Ostatecznie dobrze się stało, że sprawa wzięła taki obrót. Najcięższy był moment wahań się, decyzji — dziś, gdy stał już przed rozstrzygnięciem, doznawał uczucia wielkiej ulgi; jak gdyby kamień przytłaczający go od lat wielu usunął mu się z piersi. Mógł być dumny z siebie; nie chodziło tu przecież o zwykłą, pospolitą awanturę „honorową” lub o likwidację osobistego zatargu. Pomian spełniał „misję” i poświęcał dla niej może własne życie...

Albo on, albo Pradera — trzeciej ewentualności nie było. Śmierci się nie bał, bo w nią nie wierzył; byt pozagrobowy był dlań czymś tak pewnym i naturalnym, jak następstwo dnia po nocy...

Zwolnił kroku. Z ławki na skwerze podeszła ku niemu kwieciarka z oczyma zaleknionej sarny.

— Róże, orchidee! — zachwalała nieśmiało swój towar. — Dziś rano cięte.

Wybrał róże: dwa purpurowe, bujnie rozwite pęczce¹: jeden zatknął we własną butonierkę, drugi przypiął jej do stanika. Zapłonila się cudownie jak kwiat u jej piersi.

— Dziękuję panu.

— Żegnaj, piękna dziewczyno!

Pojedynek, Śmierć,
Zaświaty, Idealista

¹pęczce — dziś raczej: pąki (kwiatów, tu: róż). [przypis edytorski]

Przeszedł skwer i zanurzył się w podwójną pierzeję² domów sąsiedniej ulicy. W perspektywie zamajaczył szwadron kawalerii: proporce, spisy, rytmiczny ruch kopyt. Po chwili włączył się motyw muzyczny kapeli. I tłum — uliczna gawiedź... Szło to wszystko stamtąd, z góry — szło na niego. Macki ludzkiej lawiny dosięgły go i wessały w swe spłoty. Wessały, lecz nie pochłonęły — zatrzymał siebie całym; przeprował sobą zachłanny gąszcz i darł się w górę, ku Podwalu. Nagle uderzyła w oczy biała plama; ponad zgiełk szczegółów wybił się na czoło ten jeden motyw, wyodrębnił i skupił na sobie uwagę. Śmieszny, banalny motyw! Czyjaś biała, pikowa kamizelka! He, he, he! Nie do uwierzenia!...

Może dlatego, że ten człowiek zdjął przed nim kapelusz? Co to za jeden? Kim był ten długi elegant? Momentalne spotkanie się dwóch par oczu nie powiedziało nic; indywidualum zupełnie obce. — Dlaczego więc pozdrowił? Nie wiadomo. He, he, he! Może zauważył, że tak uporczywie spoglądam na jego kamizelkę? Może spostrzegł zachwyt mój i uznanie dla jego białej, pikowej kamizelki? I zrewanżował się ukłonem. He, he, he!... Jak to łatwo na świecie uszczęśliwić ludzi...

Fala przepłynęła, muzyka wsiąkła gdzieś w zakręty ulic i bloki kamienic. Pomian obrócił się i spojrzał przed siebie. Miasto leżało za nim zwinięte w jeden wielki zwarty kłęb, niby panorama wciśnięta w pięść olbrzyma. Parę kominów fabrycznych dymiło spokojnie. Na północy srzeżoga³ mgieł wiązała stoki cytadeli z rzeką.

Minął rogatek. „Pod Papugą” poznał auto Danielskiego. Czekali na niego. Podszedł Czorsztyński z wyciągniętą ręką. Oczy druha badawcze, śledcze doszukiwały się czegoś w jego twarzy.

— Jak się czujesz, Tadzik?

Pomian wyczuł w głosie drżenie niepewności.

— Wybornie! Jak nigdy jeszcze w życiu. Dziękuję wam, drodzy moi, za punktualność. Jedziemy?

— Natychmiast. Pozostaje tylko 10 minut.

Wsiedli. Pojazd ruszył, otaczając się w jednej chwili aureolą pyłu. Pomian, zauważywszy, że Danielski studiuje go ukradkiem z boku, uderzył go lekko dłonią po kolanie.

— Lolku, wyglądasz dzisiaj trochę nieswojo. Czy znów po scenie z Idą?

Przyjaciel uśmiechnął się przekonany.

— Brawo, Tadzik! Jedziesz jak na wesele.

Nad głowami jadących zaszumiały splawy pierwszych dębów; wjeżdżali w Cygański Lasek. Czorsztyński podniósł się z siedzenia i stojąc obserwował coś w dali przez lornetkę.

— Zdaje mi się, tamtych dotąd jeszcze nie ma — rzekł po chwili z uczuciem ulgi.

— To dobrze — odparł zadowolony również Danielski. — Poczekamy. Wolę, żeśmy pierwsi.

Automobil zatoczył szerokie koło, przeciął wąską leśną drożynę i wjechał na zamkniętą pierścieniem drzew polanę. Wysiedli. Było 5 minut przed dwunastą.

Lekarz wydobyl z walizy taboret polowy, rozstawił na nóżkach i zaczął rozkładać na nim chirurgiczne przyrządy. Ostrze jakiegoś lancetu badane pod światło nie podobało mu się; odkorkował więc butelkę z sublimatem⁴, przytknął do szyjki kosm⁵ waty i napoiwszy płynem, otarł brzeszczot podejrzanego narzędzia. Ruchy jego flegmatyczne, jakby odmierzone na minuty, sekundy, rozdrażniły Czorsztyńskiego.

— Że też musieliście się rozkładać z waszym kramem właśnie tutaj, prawie na środku polany — zauważył kwaśno, wskazując mu dyskretnie oczyma obróconego w tej chwili Pomiana.

— Ależ, Julku, zostawże kochanego doktora w spokoju! Miejsca będzie dość.

Tymczasem Danielski badał teren. Łączka, pokryta krótką, jedwabistą trawką, wśród której błąkały się tu i ówdzie turkusowe niezapominajki, ścieliła się pod nogami jak kobierzec.

²*pierzeja* (archit.) — ściana zabudowy ulicy albo placu, złożona z szeregu frontowych elewacji budynków stojących wzdłuż tejże ulicy a. ściany placu. [przypis edytorski]

³*srzeżoga* a. *srzeżoga* — (daw.) zjawisko optyczne, jakie dają promienie światła przeświecające przez mgłę, dym, zapyłone a. mocno rozgrzane powietrze, co sprawia wrażenie wibracji, migotania obrazu. [przypis edytorski]

⁴*sublimat* — chlorek rtęciowy, stosowany m.in. jako środek dezynfekcyjny. [przypis edytorski]

⁵*kosm* — dziś raczej: kosmyk; strzępek, strzęp. [przypis edytorski]

— Równy i gładko jak na stole — stwierdził, zwracając się do Czorsztyńskiego. — Więc na 30 kroków, co?

— Tak. Lecz pozostaw to mnie; sam odmierzę.

Tamten uśmiechnął się.

— Naturalnie; masz dłuższe nogi — odpowiedział półgłosem.

Od wieży ratuszowej nadpłynęła szeroka, spizowa fala wydźwięku. Biła dwunasta w południe.

— Pan przeciwnik spóźnia się. Czy długo będziemy czekali? — zapytał zniecierpliwiony Danielski.

— Musiała zajść w ostatniej chwili poważna przeszkoda — wytłumaczył Pomian, zapalając cygaro. — Możemy poczekać choćby z godzinę.

— Za pozwoleniem! — sprzeciwili się jednomyślnie przyjaciele. — Za pozwoleniem, mój kochany! Jeżeli nie zjawi się do godziny wpół do pierwszej, spisujemy protokół. Taka była umowa; wiedzą o tym doskonale.

— Jak chcecie — odpowiedział obojętnie, goniąc wzrokiem spirale błękitnego dymu. Czorsztyński wydobyl z puzdra parę pistoletów i podał do oglądnięcia towarzyszowi.

— Wszystko w porządku — skonstatował po chwili Danielski. — Po 8 naboju w magazynach; wystarczy...

Przerwał mu nerwowy odzew trąbki automobilowej.

— Nareszcie! — odetchnął z ulgą Pomian, odrzucając cygaro.

Z wnętrza pojazdu wyłoniły się czarne, smukłe postacie dwóch mężczyzn. Pomian zaniepokoił się; bystre, sokole jego oczy nie dostrzegły przeciwnika.

— A gdzie Pradera? — zapytał półgłosem.

Tymczasem sekundanci wymienili chłodny, ceremonialny ukłon. Na twarzach obu przybyłych znać było silne wzruszenie.

„Coś zaszło” — pomyślał Pomian, podchodząc ku nim szybko.

— Panowie! — rzekł zmienionym jakimś głosem jeden ze świadków Pradery. — Musicie wybaczyć spóźnienie... Zaszła przeszkoda... Kazimierz Pradera nie żyje...

— To niemożliwe! — krzyknął Pomian, wysuwając się naprzód.

— Niestety, to smutna prawda. Minister Kazimierz Pradera niespełna pół godziny temu zginął śmiercią gwałtowną, zamordowany ręką nieznanego zbrojnego. Panowie! Bez względu na stosunek wasz do niego uczcijcie pamięć niezwykłego człowieka!

Pomian błady jak płótno zdjął machinalnie kapelusz; inni poszli za jego przykładem. Zapanowało długie, przynębiające milczenie. Po chwili grupka złożona z sześciu mężczyzn ruszyła powolnym, ociężałym krokiem ku czekającym pojazdom. Po drodze Pomian kilkakrotnie zatrzymywał się; wzrok jego błędny, jakby zdziwiony, czepiał się konturów drzew, wałęsał beładnie po krzewach, tężał nieruchomo w przestrzeni. Na pół przytomnego wsadzono do auta.

Gdy minęli roгатkę i wjeżdżali na Senatorską, wyważyły go z odrętwienia głosy kamlotów⁶:

— Minister Pradera zamordowany!

— Skrytobójcze morderstwo! Ofiarą minister Pradera!

— Straszliwa śmierć ministra Pradery!...

— Dodatek nadzwyczajny „Kuriera”!... Kupujcie! Kupujcie!

— Telegram poranny „Przeglądu”! Tragiczny zgon ministra!

— Pradera nie żyje!

— Pradera ofiarą mafii politycznej! Telegram! Telegram!

— Zamach skrytobójczy na ministra!...

WIZYTA W PAŁACYKU PRZY UL. JASNEJ

Antagonizm Pomiana i Pradery miał swoje dzieje. Był „organiczny”, zasadniczy — sięgał korzeniami spraw podstawowych, które wychodziły poza obręb osobistego stosunku dwóch wybitnych ludzi; konflikt ten, jedyne w swoim rodzaju, przekraczał granice

⁶kamlot (z fr. *camelot*) — uliczny sprzedawca, sprzedający „z ręki” (niemający stoiska); tu: sprzedawca gazet. [przypis edytorski]

prywatnego zatargu i wchodził na teren interesów ogółu: należał do kompleksu spraw publicznych, obchodził wszystkich, dotyczył każdej uświadomionej jednostki.

Dlatego cień, który padł na galerię pałacyku przy ul. Jasnej, zdawał się wydłużać czarne swe zasięgi daleko poza rubieżę zacisznej siedziby ministra, zarzucając krepę ponurych zagadek na szlaki życia społecznego. Instynktownie odczuto, że zaszedł wypadek brzemienisty w następstwa, że „sprawa Pradery” była epilogiem walki toczącej się o pewne wartości nie od dziś i nie od wczoraj, finałem zmagania się o pewne zasady, tragicznym rozstrzygnięciem sporu, którego motywy powtarzają się periodycznie poprzez wieki istnienia ludzkiego na ziemi. Odczuto — ale nie uświadomiono sobie w pełni. Do tego niestety społeczeństwo wtedy jeszcze nie dojrzało. Przeglądało coś z powodzi dziennikarskich artykułów, świeża w zgiełku broszur *ad hoc*⁷, „objaśniających i analizujących” tajemniczą aferę z ul. Jasnej — ale nikt nie zdobył się na głębokie i zdecydowane postawienie problemu; jak zwykle u nas, same półsłówka, nieśmiałość, co krok cofające się za szaniec codzienności domysły, banalizujące fakt, płytkie i trywialne przypuszczenia.

„Panowie! — ostrzegali trzeźwy głos w jednej z gazet. — Panowie! Tylko nie wprowadzajmy w sferę pospolitej zbrodni żywiołów metafizycznych! Wszystko, tylko nie to! Bo przepadliśmy z kretesem!”

Ostrzeżenie odniosło zbawienny skutek. Odtąd sprawę trzymano w ścisłych szrankach „rzeczywistości praktycznej”. Sfora wyźłów policyjnych weszła po staremu za tropem mordercy, a sędziowie śledczy, wierni „wypróbowanej przez lata doświadczenia metodzie”, wysilali swe mózgownice na wściekle pomysłowe indagacje świadków.

Rezultat był żaden. Po miesiącu dochodzeń śledztwo stanęło na martwym punkcie. Sprawa utknęła w jakimś zaułku, z którego nie było wyjścia ani w prawo, ani w lewo. Wypadało chyba zatrzeć do odwrotu. Lecz na to zabrakło już odwagi i... szczerości względem siebie samych...

Jeden Pomian zrozumiał od początku istotę tego, co się stało. Po pierwszych dniach oszołomienia, wywołanego nagłością faktu, opamiętał się i zaczął analizować. Powoli skutki udaru, który przyszedł zniecka w chwili najmniej spodziewanej, ustąpiły na plan dalszy, a pojawiło się ogromne, wmyślające się coraz głębiej w sprawę zdumienie. Zbieg dziwny okoliczności, owa szczególna równoczesność zgonu i niedosłego pojedynku nie wydały się rzeczą przypadku. Dopatrywał się w nich tajemnych znaczeń. To, co zaszło dnia 22 września, wskazywało na słusność zamiarów, z którymi nosił się już od dawna. „Los” przyznał mu rację i uprzedził cios, jaki chciał zadać Praderze. Mordercza ręka, która zatopiła nóż w sercu ministra, była tylko ślepym narzędziem. Zginął, bo zginąć musiał, bo zginąć był powinien. Pomian pragnął wprawdzie, by walka była równa i szanse jednakowe, lecz przeznaczenie postanowiło inaczej: „wyręczył” go ktoś inny. Dlaczego ktoś inny i dlaczego „wyręczył”?

Może dlatego, by cios był pewniejszy i nieuchronny — może też dlatego, by oszczędzić jego, Pomiana, i zabezpieczyć przed ewentualnymi skutkami spotkania. Widocznie sądzonym mu było pozostać przy życiu i dokończyć rozpoczętego dzieła. „Zachowano” go dla „idei”. Tragiczny zgon przeciwnika stał się dlań sprawdzianem słusności sprawy, w imię której wydał mu walkę na śmierć i życie. Pomian wyczuł nagle jakby rozpiętą wokół siebie atmosferę metafizycznej życzliwości, która zdawała się czuć nad jego krokami i chronić go przed „złą przygodą”. Więc poddał się niewidzialnej opiece z cichą radością dziecka, lecz bez cienia dumy. Bo wiedział, że jest to stan chwilowy, który potrwa tylko tak długo, dopóki będzie to wskazane i potrzebne...

Z Praderą znali się od dawna, jeszcze od szkolnej ławy. Już wtedy, niemal od pierwszego spotkania na terenie „klasowym”, zrozumieli, że stoją na wprost przeciwnych krańcach. Kontrast charakterów i umysłowości już wtedy występował wyraźnie, niekiedy jaskrawo. Nawet fizycznie stanowili rażące a znamienne przeciwieństwa. Pradera, tęgi, rosły i barczysty, był szampionem⁸ szkolnym, uwielbianym przez kolegów, którzy patrzyli nań jak na młodego półboga. Natomiast Pomian, wzrostu średniego, wątły, o słabo rozwiniętej klatce piersiowej, uchodził zawsze za cherlaka i pięknego niedołęgę.

⁷*ad hoc* (łac.) — doraźnie, bez uprzedniego przygotowania. [przypis redakcyjny]

⁸*szampion* (z fr. *champion*) — mistrz w zawodach (początkowo szczególnie zapaśniczych); dziś czytany raczej za wymowę angielską: *czempion*. [przypis edytorski]

Obaj należeli do tzw. lucyferów klasowych, lubo⁹ wprost odmiennego typu. Umysłowość Pradery, jasna, pogodna i trzeźwa, ujmowała wiedzę z praktycznego punktu widzenia. Zdolności posiadał olbrzymie, pamięć fenomenalną; zwłaszcza celował w matematyce i przyrodzie.

Pomian był marzycielem. Zjawiska życiowe, przepuszczone przez alembik jego duszy i serca, wychodziły powleczone mgłą tajemniczości i nieomówień. Patrzył na świat rozszerzonymi od zdumienia oczyma wiecznego dziecka. Jakiś wielki, cichy smutek pokutował w błękitnych, trochę sennych jego oczach. Był namiętnie pobożny. Wychowany pod czułym okiem matki, kobiety niezwyklej, pełnej polotu i głęboko uczuciowej, odziedziczył po niej skłonność do mistycznego na świat poglądu. Dlatego nie był lubiany. Koledzy stronili od „świętego Pomiana”, pomawiając go o obłudę religijną. I on trzymał się z daleka. Raził go cynizm rozhukanych rówieśników, którzy uważali sobie za punkt honoru kpić z katechety — „katabasa”, i głosić modne w tym czasie hasła, wysnute pośpiesznie z darwinowskiej teorii. Ten chłopak nad wiek dojrzały i przewrażliwiony jak mimoza czuł instynktowną odrazę do parweniuszowskiego¹⁰ opluwania rzeczy świętych i tajemniczych.

Pod koniec studium średniego¹¹ i on „wyzwolił się” z ciasnych formułek dogmatyzmu kościelnego, lecz mimo wszystko nie przestał być naturą na wskroś religijną. Dawna pobożność, chwilami może nawet dewocja, przerodziła się w silny, z rokiem każdym pogłębiający się mistycyzm.

Gdy po ośmiu latach nauki gimnazjalnej otworzyła się przed nim i Praderą wolna i swobodna droga do badań i pracy samodzielnej, antagonizm ich przybrał od razu charakter zdecydowany: wpół uświadomiona niechęć lat ubiegłych skryzalizowała się w formę nieubłaganej, żywiołowej nienawiści. Odtąd mieli pójść w kierunkach diametralnie przeciwnych. A że obaj mimo różnicy usposobień należeli do natur aktywnych i lubili wpływać na innych i wciągać jak największą ilość ludzi w kręgi swych idei i haseł, przeto konflikt był nieunikniony.

Zaczął się na tle ich dysertacji¹² doktorskich. Przeciwnicy z umysłu, wybrali za temat to samo zagadnienie filozoficzne, które rozwiązali w duchu krańcowo odmiennym. Zwyciężyła teza Pradery. Jego pogląd na „teorię stanów podświadomych”, wyłożony w sposób trzeźwy i ostrożny, niewybiegający intuicją poza bezpieczne rubieże tego, co daje eksperyment i zdrowy chłopski rozum, bardziej przemówił do przekonania profesorów niż „mgliste i ryzykowne kalkulacje” marzyciela, „tkniętego nalotami chorobliwej mistyki”.

To rozstrzygnęło o losie Pomiana. Rozgoryczony niepowodzeniem, porzucił raz na zawsze „karierę naukową”, by odnaleźć się w dziedzinie sztuki. Po trzech latach wewnętrznych zmaganiach, wątpliwości i rozterki wykwił w ciągu kilku szalonych, twórczych nocy egzotyczny kwiat jego poezji. Pomian stanął od razu na wyżynach. Czar wiejący z jego utworów dziwnych i jak obłęd zawrotnych rzucił mu od razu pod stopy publiczność i krytykę. Ten młody, dwudziestokilkuletni człowiek stworzył własną szkołę, pozyskał uczniów i naśladowców. Lecz miał i zaciętych wrogów. Bo też nie mogło być inaczej. Jego mocna i żywiołowo oryginalna indywidualność stawiała ludzi wobec nieuchronnej alternatywy: albo należało poddać mu się bez zastrzeżeń, lub też bez zastrzeżeń odrzucić. Namiętny rytm jego sztuki zniewalał do bezwzględnego uwielbienia lub do gwałtownego protestu.

Jakoż po szeregu ocen pochwalnych, nawet entuzjastycznych, nadpłynęła zjadliwa fala krytyki.

Na czoło opozycji wysunął się wtedy po raz pierwszy Kazimierz Pradera. Lubo niepowołany, raczej uczony niż literat, „chwycił za pióro z powodów zasadniczych” i rozpoczął po dziennikach kampanię przeciw rywalowi. Strony artystycznej utworów „dyskretnie” nie poruszał, pozostawiając tę sprawę „zawodowcom” — natomiast wystąpił brutalnie przeciw ideologii. Ta, zdaniem jego, była zgubna dla społeczeństwa, gdyż prowadziła na manowce.

⁹lubo (daw., przestarz.) — tu: chociaż. [przypis edytorski]

¹⁰parweniusz (z fr.) — dorobkiewicz, który wszedł do warstwy ludzi zamożnych i nieumiejętnie ich naśladuje; parweniuszowski: właściwy parweniuszowi, charakterystyczny dla parweniusza. [przypis edytorski]

¹¹studium średnie — tu: szkoła średnia. [przypis edytorski]

¹²dysertacja — rozprawa naukowa. [przypis edytorski]

„Pomian — pisał w jednym z tych artykułów, zaprawnych żółcią i pewnością siebie — usiłuje narzucić nam swój światopogląd w sposób wyjątkowo sugestywny, stwarzając fikcje silne jak narkoza i stąd niebezpieczne. Wpływ tego niewątpliwie zdolnego pisarza może, zdaniem moim, wywołać fatalne skutki. Twórczość Pomiana, chorobliwa i dziwaczna, może łatwo sprowadzić społeczeństwo nasze na bezdroża rozkielzanej fantazji i utopijnej mistyki. Dlatego uważam sobie za święty obowiązek wykazać na tym miejscu bezpodstawność jej założeń, które są zgoła fałszywe, lubo drapują się w togę uczoności i wiedzy. Panowie! To tylko poza i pozór, poza którymi kryją się historyczne odruchy nieźrównoważonej myślą wyobraźni. Nam potrzeba literatury zdrowej, zdrowej i jeszcze raz zdrowej!...”

Rzuconą sobie rękawicę podjął Pomian i odpowiedział — nowymi dziełami sztuki. Tak rozpetęła się walka zażarta, która miała trwać lata całe: wspaniały, jedyny w swoim rodzaju pojedynek między uczonym i artystą.

Pomian walczył o światopogląd nie dla zaspokojenia ambicji lub zdobycia małodusznej satysfakcji, jaką daje przeforsowanie własnej ideologii — chodziło mu o ogół, o podniesienie go na wyżyny myśli, o „zwrócenie oczu tych Ateńczyków na niebo” i zagadnienia najwyższe. Talent swój niezwykły i wyjątkowy postanowił spalić jak ofiarne kadzidło na ołtarzu Nienazwanego. Widział, jak społeczeństwo, zahipnotyzowane żądzą życia i użycia, oczarowane kultem marnych haseł, brnie w beznadziejnym bagnie materializmu — widział, jak lot jego z dniem każdym obniża się fatalnie ku przyziemnym wądołom, jak panoszy się wszechwładnie opasły sybarytyzm, jak robi sobie miejsce piętukami¹³ duchowe chamstwo i arywizm¹⁴. Więc podjął walkę w imię Ducha i jego nieśmiertelności, w imię ideałów, które wiążą tę i tamtą stronę — zapragnął z całej siły i mocy serdecznej wywołać w ludziach *wielkie ocknienie, chociażby przyszło im ujrzeć przebłyksi Prawdy w zeszklnych trwożą oczach obłąkańców lub pochylonym nad czeluścią otchłani odczytywać straszliwe jej runy wśród dreszczów grozy...* Twórczość jego powinna była stać się dla nich drugą przepaścią w Czufut-Kale¹⁵, poprzez którą jak przez szczelinę świata w momentalnym ducha spięciu mieli spojrzeć na tajemnicze błonia tamtego brzegu...

Wszystko wskazywało na to, że zwycięży. Potężna ekspresja jego utworów niewoliła ku sobie opornych, fascynowała chwiejnych, elektryzowała obojętnych. Z radością twórca widział, jak pod jego wpływem powstawały w społeczeństwie nieznanne dotąd wiry, które zataczając coraz dalsze kręgi, chłonęły w siebie jednostki i grupy. Pomian był na ustach wszystkich. Dzieła jego, komentowane wszechstronnie, roztrząsane z pasją, nieraz z pedanterią, docierały niemal wszędzie, budząc zainteresowanie, otwierając nowe perspektywy i rozdale¹⁶. Jakiś świeży, ożywczy prąd zaczął krążyć dzięki nim wśród ludzi, podniosły się zbrudzone troską dnia powszedniego czoła, rozbłyśły nadzieją zaświatów umęczone oczy...

Lecz i Pradera nie próżnował. I on zdołał skupić dokoła siebie rzeszę zwolenników, którzy z fanatyzmem gotowi byli poprzeć go w poczynaniach. Zdobywszy katedrę filozofii ścisłej, zaczął z niej ciskać gromy potępienia na obóz przeciwnika. Wykłady jego jasne a lapidarne, przygotowane starannie i metodycznie, mogły z czasem stać się bronią zabójczą, tym bardziej że i on władał językiem mocnym i giętkim jak stal damasceńska. Z żelazną konsekwencją wypieniał profesor w duszach słuchaczy wszelki, choćby najwęższy „chwast mistycyzmu”, wypłaszał „narowy transcendentalizmu”, „rozsuwał na nici” szarej, zimnej „rzeczywistości” błękitne tkaniny marzeń i metafizycznych tęsknot...

Gdy po kilku latach pracy zdobył wpływ znaczny, postanowił rozszerzyć pole działania na sferę polityki i zaczął ubiegać się o mandat. Szczęście mu sprzyjało: został posłem. Wkrótce rozbrzmiały jego nazwiskiem sprawozdania z posiedzeń sejmku; przemówienia jego energiczne, nacechowane logiką chłodną a mocną, zwróciły na siebie powszechną uwagę. Niebawem ześrodkował dokoła swej osoby klub „Przyjaciół Państwa”, którzy z nieubłaganym uporem torowali mu drogę na przebój. Gdy w pół roku potem przyszło do przelomu politycznego i część gabinetu podała się do dymisji, Pradera otrzymał tekę ministra.

¹³piętuki (neol.) — pięści, kulaki. [przypis edytorski]

¹⁴arywizm (z fr.) — karierowiczostwo. [przypis redakcyjny]

¹⁵Czufut-Kale — aluzja do sonetu Mickiewicza *Droga nad przepaścią Czufut-Kale*. [przypis redakcyjny]

¹⁶rozdale (neol.) — rozległa dal. [przypis edytorski]

Oparty silnie o swoje stronnictwo, którego przedstawiciele weszli dzięki niemu w skład nowego rządu i utworzyli większość parlamentarną, rozpoczął akcję zakrojoną na szeroką skalę. Kierunek, jaki nadał polityce, odpowiadał idealnie zasadom filozoficznym, głoszonym lat temu parę wstecz z katedry. Pradera-mąż stanu był praktyczną realizacją Pradery-filozofa. Kurs wprowadzony przez ministra w sferę polityki stał się wcieleniem tych myśli i poglądów, które niedawno temu roztaczał przed zasłuchanymi w rytm jego słów uczniami.

Rząd Pradery przystąpił do działania w imię hasła „ekspansji na zewnątrz i wzmocnienia tętnic życia gospodarczego na wewnątrz”.

Program pracy, naszkicowany przez nowego ministra w jego pierwszym, świetnie zredagowanym *exposé*, olśnił i zachwyił szerokie masy społeczeństwa. Widziano w nim same blaski i atuty — cieni nie zauważył nikt lub prawie nikt. Prasa zgodnym chórem śpiewała pochwalne peany na cześć genialnego męża stanu, chyliły się w kornym uznaniu nawet krnąbrne lby wczorajszej opozycji. Mówiono z entuzjazmem o „wzmószonym tętnie życia narodowego”, o „przyplwyie energii plemiennej”, o „cudownym rozroście i zmęsznieniu organizmu państwowego”. Minister święcił zwycięstwo na całej linii.

Pomian obserwował i milczał. Tryumfu przeciwnika nie odczuł jako własnej klęski. Przeciwnie. W pierwszych miesiącach „nowego systemu” i on jakby uległ zbiorowej sugestii i jakby zawahał się. Przyszła myśl, że może na ideologię jego jeszcze za wcześniej, że może należy z nią jeszcze „poczekać”, póki naród nie zdobędzie silnych podstaw materialnego dobrobytu. Wprawdzie przekorny głos wewnętrzny przypominał mu zasadnicze prawo ewolucji, że wszystko z ducha jest i dla ducha, a nie dla ziemskich celów, że wszelka moc i potęga, nieoparta o zrąb duchowej podwali¹⁷, krucha jest i nietrwała — mimo to gwałtem tłumiał jego podszepty, zatykając uszy przed „niewczesnym natrętem”. Dlatego umilkł i czekał na wyniki.

Nie czekał długo. Po kilku latach działalności Pradery zarysowały się na gmachu wzniesionym przezeń pośpiesznie podrzutem dzikiej, nieustraszonej energii pierwsze pęknięcia i przepukliny. Wykluczenie idealizmu i wiary w wyższy, metafizyczny rodowód człowieka zaczęło mścić się straszliwie. System Pradery, ten stalowy system, który chętnie porównywano z monolitem wykutym z jednego granitowego bloku, zaczął chwiać się. Na horyzoncie polityki zagranicznej pojawiły się ciężkie, ołowiane chmury, grożące lada dzień rozpełnieniem piorunowej burzy, wewnątrz kraju rozszalała orgia praktycznego materializmu brutalnej zmysłowości. Jednostronność systemu wystąpiła w groźnych konkurach...

Pradera mimo wszystko utrzymywał się przy władzy. Dorwawszy się naczelnego stanowiska dzięki schlebaniu najniższym, bo zmysłowym, namiętnościom tłumu, trzymał się teraz kurczowo steru, który wymykał mu się z dłoni. Gdy podniosła głowę zamilkła już od dłuższego czasu opozycja, zarządził ostre środki prewencyjne i zapowiadał dyktaturę. Kto wie, może marzył o zamachu stanu? Może w snach ambitnych przywidziała mu się już królewska korona?...

Tymczasem położenie pogarszało się z miesiąca na miesiąc. Upór i fanatyzm Pradery podżęgały tylko wrogi nastrój wśród sąsiadów i zniechęciły sojuszników; państwu groziło fatalne odosobnienie. Wtedy po raz pierwszy zrodził się w duszy Pomiana zamiar usunięcia go. Teraz widział w nim już nie znienawidzonego przeciwnika, lecz jednostkę szkodliwą dla dobra ogółu, osobnika niebezpiecznego dla całości państwa, którego należało pozbyć się za wszelką cenę. Chodziło tylko o sposób. Droga legalna była dlań bezwarunkowo zamknięta: mimo wszystko minister był wciąż jeszcze zbyt potężny, by go można było obalić. — Pozostawał zamach lub zabójstwo jako następstwo osobistego utargu. Ponieważ do pierwszego nie był zdolny, wybrał pojedynek, środek ten wydał mu się jedynym uczciwym wyjściem z sytuacji: powierzając wynik walki losowi i narażając własne życie, szedł Pomian ku straszliwej realizacji z wysoko podniesionym czołem.

Pozostawała strona techniczna, związana z wykonaniem zamiaru. — Tutaj już nie potkał na duże trudności. Ponieważ Pradera zaczepiony w swym charakterze politycznym jako mąż stanu prawdopodobnie nie byłby reagował, zbywając nawet obelgę milczeniem

¹⁷ *podwał* a. *podwała* (neol.) — podwalina; fundament. [przypis edytorski]

lub mszcząc się przez pociągnięcie przeciwnika do odpowiedzialności prawno-państwowej, postanowił zainscenizować zatarg na terenie życia towarzyskiego.

Sposobność nadarzyła się niebawem. Zawdzięczał ją Pomian swym dość szeroko rozgłębionym znajomościom w świecie literackim i naukowym. Wiedząc o tym, że minister bierze gorliwy udział w przyjęciach piątkowych urządzanych przez gościnny dom Rudzich, postarał się o zaproszenie na dzień 20 września.

W czasie konwersacji na temat zagadnień literacko-artystycznych przyszło pomiędzy obu przeciwnikami do ostrej wymiany zdań; padło parę słów silnych, niedwuznacznych, Pomian posunął się nawet do otwartej obelgi. Pojedynek stał się nieunikniony.

W parę godzin potem ustalono warunki: były ciężkie, wykluczające niemal dla obu możliwość wyjścia z afery bez szwanku. Spotkanie miało nastąpić dnia 22 września w południe. Tegoż dnia koło godz. 11.30 rano zginął Pradera ugodzony śmiertelnie przez nieznanego zbrojnicę. Los uprzedził i wyręczył Pomiana...

Tak przynajmniej wyglądało. Bo w przypadek nie wierzył. Widocznie istniała jakaś siła tajemnicza, jakaś tkwiąca w organizmie świata jaźń — inteligencja, czuwająca nad tym, by nie przekraczano pewnych granic; z chwilą gdy opętany wyłączną myślą człowiek zapuścił się zbyt daleko w jakąś stronę, grożąc wywróceniem równowagi, siła ta wkraczała jako pośrednik sprawiedliwy, lecz i nieubłagany. Tej interwencji zawdzięczał Pomian życie. Dziwiło go tylko, że nikt tego dotychczas nie zauważył. A przecież pobieżny choćby rzut oka na szczegóły tragedii przy ul. Jasnej musiał nasuwać podobne refleksje. Od paru miesięcy śledził Pomian z wytężoną uwagą przebieg afery, wczytując się całymi godzinami w sprawozdania reporterów po czasopismach i gazetach.

Uderzył go od razu pewien rys charakterystyczny dla sprawy: pozorna irracjonalność czynu. Oto wśród jakich okoliczności dokonano morderstwa.

Dnia 22 września około godz. 11 minut 30 zjawili się w mieszkaniu prywatnym ministra Kazimierza Pradery dwaj jego serdeczni przyjaciele, pp. Z. i dr K., każąc się w pewnej ważnej sprawie natychmiast zaanonsować panu domu. Sługa, któremu wydano to polecenie, wrócił po chwili błady jak płótno i nie mogąc widocznie dobyć głosu z przerażenia, gestami rąk wezwał przybyłych panów za sobą. Silnie zaniepokojeni usłuchali. Po przejściu dwóch pokoi skęcili w boczny korytarz, uchodzący w oszkloną z trzech stron narożnię¹⁸. Tu służący zatrzymał się i przepuściwszy naprzód gości, sam cofnął się, jakby nie mając odwagi iść dalej. Panowie Z. i dr K., przeczuwając jakieś nieszczęście, szybko przebyli galerię i po chwili znaleźli się w białej, marmurowej loggii¹⁹ pałacu, wychodzącej na park.

Tu, na posadzce zbroczonej plamami krwi zastali ministra w pozycji półkłępczącej, opartego łokciem jednej ręki o tafle podłogi, a palcami drugiej wplecionego kurczowo w żelazne przesłony ochronnej balustrady. W oczach Pradery, zawleczonej już blachmanem²⁰ śmierci, zastygły strach i zdumienie — z piersi przebitej nożem w okolicy serca sączyła się ciemna, purpurowa struga...

Przyjaciele jak piorunem rażeni stali przez chwilę bez ruchu u wejścia. Pierwszy ocknął się dr K. i rzucił się ku nieszczęśliwemu. Lecz wkrótce przekonał się, że ratunek był niemożliwy: zabójcze ostrze przecięło tętnicę...

Zwłoki przeniesiono natychmiast w głąb domu, zawiadamiając równocześnie o fakcie organy bezpieczeństwa publicznego. W pół godziny potem stolica, a w dwie kraj cały dowiedział się o ponurej nowinie...

Wdrożone natychmiast śledztwo nie dało żadnych pozytywnych wyników; owszem, w miarę ponawiania wysiłków władz policyjnych sprawa wikłała się coraz bardziej. Nie zdołano nawet ustalić charakteru zbrodni. Wprawdzie większość dzienników zaliczyła ją do kategorii zamachów na tle politycznym, lecz enuncjacje²¹ te brzmiały niepewnie i bez przekonania.

Zeznania świadków, w tym Amelii Pradery, żony śp. ministra, i służby, nie przyczyniły się prawie w niczym do wyswietlenia prawdy. Przeciwnie — wniosły raczej ferment

¹⁸narożnia (neol.) — narożne pomieszczenie. [przypis edytorski]

¹⁹loggia — przylegające do budynku, otwarte na zewnątrz pomieszczenie (rodzaj altany, pawilonu a. krytego balkonu) ograniczone rzędem arkad, zastępujących jedną z zewnętrznych ścian. [przypis edytorski]

²⁰blachman — bielmo. [przypis redakcyjny]

²¹enuncjacja — oficjalna deklaracja. [przypis edytorski]

zagadkowości i tajemnicy. Zwłaszcza jeden szczegół, podany przez kamerdynera, Józefa Święckiego, zabarwił ciemną aferę w sposób groteskowy.

Sługa ten, który rozmawiał ze śp. Praderą jeszcze o godz. 11 minut 15, pomagając mu przy przebieraniu się, zeznał, co następuje:

Dnia 22 września wrócił śp. minister do domu koło godz. 11 rano z ważnej konferencji dyplomatycznej. Był czymś silnie zdenerwowany i skarżył się na ból głowy. Po spożyciu krótkiego śniadania w towarzystwie żony nagle opuścił jadalnię, tłumacząc się tym, że ma jeszcze tego rana przed południem załatwić pewną, niecierpiącą zwłoki sprawę, i natychmiast przeszedł do sypialni, gdzie kazał się przebrać. Świadek pamiętał doskonale, że pan jego miał na sobie dnia tego ulubioną białą, pikową kamizelkę, podobno podarek imieninowy od żony. W czasie przebierania zauważył, że bielizna ministra i wspomniana kamizelka były silnie przeпоcone — szczególnie fizjologiczny, którego dotychczas nigdy u niego nie zaobserwował.

— Jaśnie pan zapewne szedł dziś za szybko po schodach — ośmielił się na oględną supozycję²².

— Być może — odpowiedział mu Pradera — w każdym razie wynieś to zaraz i przewietrz!

Święcki spełnił rozkaz natychmiast i wyszedłszy na loggię, przewiesił kamizelkę przez parapet balustrady, po czym, nie wracając już do sypialni pana, odszedł korytarzem w głąb domu. Widocznie zdenerwowanie i zły humor ministra podziałały nań tak przygnębiająco, że dopiero w 10 minut potem uświadomił sobie, iż postąpił niewłaściwie i że należało rozwiesić przeпоconą część ubrania gdzie indziej. Wtedy to, by naprawić swój błąd, udał się ponownie na balkon, gdzie zastał pana w ostatnich podrzutach agonii. Tragizm chwili przesłonił sobą zrazu drugorzędne szczegóły, odwracając jego uwagę od celu, w jakim powrócił do loggii. Lecz gdy wkrótce potem asystował przy wizji lokalnej, którą przeprowadziły natychmiast organa śledcze, spostrzegł, że kamizelka zniknęła bez śladu. Poszukiwania na dole w parku, gdzie przypuszczalnie mogła spaść porwana przez podmuch wiatru, spełzły na niczym...

Na tym urywały się zeznania kamerdynera Święckiego. Stary sługa, który podobno piastował śp. ministra, gdy ten był jeszcze małym chłopczkiem, przywiązywał do swojej relacji wielką wagę, budząc tym uśmiech ironii na ustach przesłuchującego go urzędnika; poczciwy, lecz zdzięczniały już trochę starzec zdawał się być zmartwiony zniknięciem białej kamizelki równie silnie, jak tragicznym zgonem ukochanego pana.

„Tak to — dodawał na zakończenie reporter »Sztandaru«, komentując zeznania sługi — nieraz w życiu tragizm splata się ze śmiesznością i stwarza dziwacznie zezującą karykaturę groteski”.

A jednak wśród powodzi sprawozdań i artykułów dziennikarskich związanych ze „sprawą Pradery” relacja zeznań starego kamerdynera skupiła na sobie uwagę Pomiana. Był on może jedynym człowiekiem, dla którego ich treść nie zawierała nic śmiesznego; owszem, „motyw białej pikowej kamizelki” miał dla niego wyjątkowe znaczenie. Szczególnym bowiem zbiegiem okoliczności powtórzył mu się w tych czasach dwa razy niby refren natrętnej piosenki: po raz pierwszy w wigilię tragicznego dnia w domu Rudzkich, po raz drugi na pół godziny przed niedoszłym spotkaniem. Jak uparta wizja, wywołana skojarzeniem ponurych obrazów, wylaniały mu się teraz na ekranie wspomnień białe, niepokalany gors koszuli premiera ujęty w ramy białego, pikowego giletu²³, który przywdział na swój ostatni *five o'clock*²⁴ u Rudzkich, i równie biała, śnieżnobiała kamizelka nieznanego, który zniemacka pozdrowił go na ulicy. Czego ten człowiek mógł chcieć od niego w owej chwili, gdy szedł bić się z Praderą? Dlaczego uśmiechnął się doń tak życzliwie?... Ten człowiek, ten śmieszny człowiek...

Po miesiącu wczytywania się w szczegóły dochodzeń uczuł Pomian, że „afera Pradery” działa nań jak haszysz; im dalej zapuszczał się w jej labirynty, tym silniej pociągała go ku sobie jej tajemniczość, tym potężniej pleniło mu się w duszy zielsko trującego

²²*supozycja* — tu: sugestia; przyjęte tymczasowo założenie, o którym jeszcze nie wiemy, czy jest prawdą czy fałszem. [przypis edytorski]

²³*gilet* (z fr.) — kamizelka. [przypis redakcyjny]

²⁴*five o'clock* (ang.) — popołudniowe przyjęcie. [przypis redakcyjny]

zaciekawienia. Ze złowieszczą pasją zagłębiał się w podziemne korytarze złej sprawy, z jakimś wyjątkowym natręctwem angażował się w ciemne jej zaułki, nie bacząc na możliwe następstwa. Nieznacznie a pewnie zawiązały się silne i wiśne²⁵ korzenie zabójczej manii: zaczął wczuwać się w obecny stan psychiczny mordercy...

Przypuszczalną dominantą jego musiało być uczucie strachu przed odkryciem. Stąd wieczna czujność i ciągle pilnowanie siebie na każdym kroku; jeden gest nieostrożny, jedno słowo zbędne mogło zdradzić. Dlatego zasadniczym wskaźnikiem postępowania powinna była być dlań odtąd oględność w mowie, skąpstwo słów posunięte do możliwych granic. „Ściany mają uszy” — oto dewiza naczelną w nowym rozdziale życia, który zaświtał ponurym ołowianym brząskiem na horyzoncie... Te cienie wieczorne tam na murze mogły być niebezpieczne — kontury ich ludzkie... czyżby sylwety szpiegów?... Ten człowiek obcy, przeglądający obojętnie afisze na przeciwległym rogu ulicy w porze obiadowej, wygląda podejrzanie... Lepiej zejść mu z oczu!... Zejść za wszelką cenę!... Co za męka!...

Pomian fizycznie odczuwał piekielną katuszę i drżał z obawy o złoczyncę. Niepostrzeżenie resztki dystansu między nim a tamtym zmały do zera i pewnego popołudnia ze zdumieniem spostrzegł straszliwą tożsamość. Był wtedy w jakiejś kawiarni i czytał artykuł „Gazety Codziennej”, omawiający rezultaty dochodzeń w sprawie Pradery. Sprytny referent ujmował rzecz z nowego punktu widzenia i wskazywał nowe drogi władzom śledczym. Pomianowi wydały się te wskazówki groźne; nabrał przekonania, że idąc za nimi, policja wpadnie na trop właściwy...

Nagle, oderwawszy oczy od dziennika, zauważył na sobie bystre spojrzenie jakiegoś jegomościa przy stoliku sąsiednim. Zmieszał się, zadrżał i uczył, że błędnie.

„Co mi jest, do licha?” — pomyślał, zasłaniając się gniewnie gazetą przed natrętnym wzrokiem.

— On coś wie o tobie — szepnął czyjś głos zimny i ostry jak stal. — Coś podejrzewa...

— A cóż mnie to wszystko, do licha, obchodzić może?! — odpowiedział niemal półgłosem i wezwał płatniczego²⁶, by wyrównać rachunek. Po chwili szedł już nerwowym krokiem wzdłuż esplanady²⁷.

W parę dni potem zrodziła się nagle chęć odwiedzenia pałacyku przy ul. Jasnej — zrazu nieśmiała, taka niby przypadkowa, nic nieznacząca — później, w miarę jak przeciwstawiał jej się rozum, coraz silniejsza, coraz bardziej tyrańska. Opierał jej się przez tydzień — potem uległ.

I poszedł tam w któreś popołudnie.

Dom był pusty. W dwa tygodnie po śmierci Pradery piękna, jednopiętrowa willa wyludniła się niemal zupełnie. Prócz dozorczy i starego Święckiego nikt tam nie chciał mieszkać. Nawet zrównoważony i pełen flegmy narodowej ambasador amerykański, który zajmował za życia ministra prawe skrzydło pałacyku, przeprowadził się gdzieś do innej dzielnicy miasta. Dom osnuły wkrótce legendy tłumy, chaotyczna, irracjonalna przędza opowieści i gawęd. Podobno straszliwie w willi...

Może temu zawdzięczał Pomian łatwość, z jaką udało mu się wtargnąć do wnętrza. Uchylił cicho portal wchodowy strzeżony przez dwa kamienne lwy drzemiące w niszach i wśliznął się ukradkiem w głąb domu. Pierwsze drzwi u wylotu klatki schodowej na piętrze zastał otwarte.

Bez wahania wszedł. Nieugaszona ciekawość kierowała krokami na prawo, w amfiladę pokoi uchodzących gdzieś daleko w głębi w korytarz do loggii. Wtem zadrżał: ktoś był w sąsiedniej sali; skrzyp tafli parkietu zdradził czyjąś obecność.

Przystanął z bijącym sercem i na palcach, skradając się, podszedł bez szelestu ku półotwartym drzwiom biblioteki. — W środku pokoju stał kamerdyner Święcki wpatrzony w naturalnej wielkości portret Pradery wiszący nad biurkiem. Stare, mgłą wieku zawlezione oczy sługi spoczywały na wizerunku pana z wyrazem psiej wierności i przywiązania. Nagle z zapadłej piersi starca wydarło się głębokie jak przepaść westchnienie. Ruchem

²⁵wiśny (daw.) — giętki, gibki. [przypis redakcyjny]

²⁶płatniczy — tu: kelner, u którego opłaca się rachunek. [przypis edytorski]

²⁷esplanada — promenada; szeroka ulica z aleją spacerową; pierwotnie: pas przestrzeni ciągnący się wzdłuż fortyfikacji, najczęściej pomiędzy miastem a twierdzą. [przypis edytorski]

ręki powolnym zdjął okulary i ciężko rzuciwszy się w krzesło, pochylił nisko głowę i cicho zaszczołał...

Pomian wyzyskał moment. Krokiem tajonym skradającego się kota minął przygarbioną ku posadzce postać i wtargnął do kuluaru²⁸, opasującego łukiem skrzydło pałacu. Za chwilę był już w loggii. Oczy jego ciekawe szukały naiwnie śladów zbrodni, popełnionej tu przed dwoma miesiącami, dopatrywały się zrudziałych plam krwi na flizach podłogi! Na próżno. Czarne, lśniące jak lustro tafle marmuru odbijały mu wiernie jego własną postać. Wtedy przechylił się przez balustradę parapetu i spojrzał w ogród. — Odpowiedział mu stamtąd krwawy uśmiech róż i melancholijna zaduma tulipanów. Z boku, tam od lewej narożni czerniło się nagie, sztywne drzewce flagi — wspomnienie ambasady.

Tu w przedwieczornej godzinie po trudach dnia nieraz musiał wsłuchiwać się w głosy ciszy wielki mąż stanu... Może tu, chłodząc uznojone czoło w powiewach zmierzchowego wiatru, snuł dumne plany na przyszłość. Przechylony przez brzuściec łoży, może marzył swe sny o potędze?... Lub w księżycowe, białe noce śledził bieg gwiazdy swego losu?...

Pomian uśmiechnął się na pół gorzko, na pół zjadliwie.

— *Sunt lacrimae rerum*²⁹ — szepnął w zamyśleniu. — Wielkość i nicość — czcze dymy... *Sic transit gloria mundi*³⁰...

Opuścił balkon i, natrafwszy na jakieś boczne wyjście z korytarza, zaczął zstępować w dół ślimaczną schodów. Wtem na zakręcie spostrzegł o parę stopni pod sobą wstępującą w górę postać. Jakiś człowiek o wyglądzie chuderlawym, na pół garbaty, w długim, zgniłzielonej barwy płaszczu laboratoryjnym, piął się kulawym krokiem po schodach. Pomianowi była skądś znajoma ta twarz śniada, głęboko poorana, i ten chód wlokący się, niezdamny... Ta twarz, ta wstrętna twarz, ta przebrzydła karykatura... Ale czyja!?

Gniew nagły, irracjonalny zalał mu krwią białka oczu.

— Ty lotrze stary, czego tu się włóczysz? — krzyknął, nie mogąc opanować wściekłości. — Oddam cię w ręce policji, łajdaku!

Człowiek w zielonym płaszczu podniósł na wygrażającego mu towarzysza oczy spokojne, zimne a szyderskie³¹ i bez słowa, otarłszy się oń po drodze, minął go i zaczął wchodzić na wyższą kondygnację schodów; zmierzał widocznie tam, skąd wracał Pomian: ku loggii. To jedno spojrzenie wystarczyło. W paroksyzmie strachu, szczękając zębami jak w febrze, poznał go Pomian. Poznał i w tymże momencie stracił z oczu: bo zanim dziwny człowiek dosięgnął platformy balkonowej, postać jego rozpadła się na mgliste strzępy i znikła bez śladu...

Pomian odetchnął głęboko i, otarłszy pot z czoła, zaczął skradać się ku bramie, by wydrzeć się nareszcie z objęć przekłętego domu. Lecz gdy już kładł drżącą rękę na kłamce, usłyszał za sobą suchy kaszel Święckiego.

— Pan tu do kogo? — zabrzmiało nieufne pytanie.

— Zdaje mi się, mój stary — odpowiedział Pomian głosem obcym, drewnianym — że szukałem tutaj cieniów twego pana, a tymczasem podobno³² spotkałem się z...

Nie dokończył i, machnąwszy ręką, szybko wybiegł na ulicę.

PRELUDIA

Od trzech tygodni prawie dzień w dzień powtarzały się te „historyjki”. Z pozoru wyglądały niewinnie niby psoty pustego łobuza wyprztykującego skądś zza krzaka papierowe gały prosto w nos znienawidzonego mentora — takie sobie błahe, nikomu właściwie nie szkodzące figle. Tak, tak — zapewne. I Pomian nie byłby przywiązywał do tych drobnostek większej wagi, gdyby nie podziemne, głęboko od posad duszy płynące przeczucie, że są one zapowiedzią czegoś poważniejszego. Jakaś organiczna, o doświadczenie lat ubiegłych oparta a półświadoma pamięć ostrzegała przed czymś, co przyjąć miało po tych niewinnych preludiach.

²⁸kuluar (z fr.) — tu: korytarz; pomieszczenie na zewnątrz sali reprezentacyjnej (sali obrad, sali widowiskowej, widowni teatru), pełniące funkcje komunikacyjne i rekreacyjne w czasie przerw w obradach, imprezach, przedstawieniach. [przypis edytorski]

²⁹*sunt lacrimae rerum* (lac.) — lzy są skutkiem czynów. [przypis redakcyjny]

³⁰*sic transit gloria mundi* (lac.) — tak przemija sława świata. [przypis redakcyjny]

³¹szyderski — dziś: szyderczy. [przypis edytorski]

³²podobno (daw.) — prawdopodobnie. [przypis edytorski]

A zaczęło się istotnie od dość śmiesznych objawów. Kto inny, mniej wrażliwy na tego rodzaju odchylenia od normy, może by tego nawet nie zauważył — Pomian spostrzegł w lot, że nie wszystko w porządku.

Któregoś dnia zaobserwował pewien charakterystyczny szczegół w rozmieszczeniu sprzętów w pracowni. Zwykle panował tu istic artystyczny nieład i zupełna, nieskrępowana niczym swoboda; tego dnia, wszedłszy po obiedzie do swego sanktuarium pracy, ze zdziwieniem stwierdził wzorowy, prawdziwie burżuazyjny porządek: krzesła poustawiane parami pod ścianą jak żołnierze w ordynku³³, papiery i przedmioty na biurku poskładane symetrycznie po obu skrzydłach, książki pochowane solidnie w szafie bibliotecznej.

Pomianowi zrobiło się od razu nieswojo: nie cierpiał symetrii.

Czyżby Józef śmiał uraczyć mnie próbką swojego smaku w urządzaniu *intérieur'u*³⁴? — pomyślał poirytowany i zadzwonił na służbę.

— Kto ci tu pozwolił robić porządki? — napadł gwałtownie na wchodzącego. — Czy ci nie wystarczają tamte dwa pokoje?

Oczy starego wygi zaokrągliły się.

— Niczego tu, proszę pana, nie tykałem od sześciu dni; w środę ubiegłą, tj. tydzień temu, pościarałem tylko prochy³⁵, nie ruszając palcem niczego, stosownie do rozkazu. Zresztą od wczoraj pokój był zamknięty i żywa dusza nie mogła się tutaj dostać. Chyba... — uśmiechnął się dobrodusznie — chyba kaduk³⁶ przez dziurkę od klucza.

Pomian przyznał mu rację; istotnie teraz przypomniał sobie, że dnia poprzedniego, wychodząc rano na miasto, zamknął za sobą pokój.

— Hm — mruknął niechętnie — to prawda...

W parę dni potem zauważył, że wszystkie obrazy w pracowni wisiały jakoś krzywo, odchylone lekko o pewien kąt od linii poziomemu. Uderzyło to nawet służbę, który właśnie wtedy znajdował się w pokoju.

— He, he, he! — zaśmiał się, rozglądając ciekawie po ścianach. — Wszystkie malowidła dzisiaj jakoś „na bakier”; jakby je licho jakieś poprzekrzywiało! He, he, he! To tak z fantazją, proszę pana, z fantazją. Całkiem jak u Grześka, czeladnika od szewca z parteru, kiedy sobie podpije i czapkę nasunie na ucho. Trzeba to naprawić.

I nie pytając o pozwolenie, przywrócił obrazom właściwą pozycję.

Dwukrotne doświadczenie zaostrzyło czujność Pomiana; miał się odtąd na baczności. Od pamiętnej środy, kiedy to po raz pierwszy zaobserwował podejrzaną przemianę, nigdy nie pozostawiał za sobą pokoju otworem i nie rozstawał się z kluczem; Józefowi dozwolony był wstęp do pracowni tylko w jego obecności, a rzadkich gości przyjmował zawsze w saloniku na skrzydle. Zresztą nikt tu prócz niego samego nie zaglądał: Pomian był kawalerem, a nieliczni krewni mieszkali w Krakowie i na prowincji. Mimo tych środków ostrożności „figle” nie ustawały; niemal dzień każdy przynosił ze sobą nową niespodziankę. Coś złośliwego wkradło się do domu i płało łobuzowskie psoty. Fotel, postawiony dzisiaj pod oknem, nazajutrz znachodził się nie wiadomo jak na drugim końcu pokoju pod lustrem, wazon z palmą, stojący zwykle w niszy koło biurka, zawędrował pewnego dnia po powrocie Pomiana z miasta do tylnej partii pracowni za piec; dziś rozsypał ktoś na dywanie pudełko ze stalkami³⁷, nazajutrz rozrzucił po podłodze kartki rękopisu, w parę dni później wywrócił do góry dnem kosz na papiery.

Pomian był wściekły. O ile zrazu bawiły go te „psie figle”, o tyle z czasem sprzykrzyła mu się ich natrętna ustawiczność. Tym bardziej iż głuche przeczucie mówiło, że nic to dobrego nie wróży. Jakaś nieuchwytna pamięć, jakaś organiczna *mneme*³⁸, rejestrująca przeszłość w podświadomych złożach duszy, zdawała się ostrzegać przed czymś, co teraz, wkrótce już miało nastąpić; Pomian miewał chwilami mgliste wrażenie, że podobne objawy już parę razy przedtem w życiu swym przeżywał, że to, co go teraz uporczywie prześladowuje, kiedyś już, dawniej, było, a obecnie powtarza się z pewnymi odmiankami.

³³ordynek (daw.) — ustalony porządek. [przypis edytorski]

³⁴intérieur (fr.) — wewnątrz. [przypis redakcyjny]

³⁵prochy (daw.) — tu: kurze. [przypis edytorski]

³⁶kaduk (daw.) — diabeł. [przypis edytorski]

³⁷stalka (daw.) — przedmiot zrobiony ze stali; tu prawdopodobnie: stalówka (część pióra osadzana na obsadce i po zanurzeniu w atramencie służąca do pisania). [przypis edytorski]

³⁸mneme (gr.) — pamięć. [przypis redakcyjny]

Z zaciśniętymi od pasji zębami postanowił jednak wytrwać i wytropić „błaznujące indywiduum”.

W tym celu spędzał całe dnie w zaatakowanym pokoju, śledząc bacznie każdy szczegół. Na próżno. Ani razu nie udało mu się przyłapać nikogo, ani razu nie zdołał zaobserwować najmniejszego ruchu wśród sprzętów i przedmiotów składających się na całość wnętrza. Natomiast wystarczyło wyjść na chwilę z pokoju, by po powrocie zauważyć jakiś nowy „kawał”.

W końcu wziął się na sposób: zaczął obserwować swoją pracownię z zewnątrz, tj. z przyległej obok sypialni. Całymi godzinami ślęczał tu na krześle, zaglądając do wnętrza przez dziurkę od klucza. Rezultat był żaden: nie spostrzegł nic podejrzanego; zawsze jakoś stawiano go wobec faktu dokonanego, nie pozwalając na śledzenie przebiegu i sposobu przeprowadzenia figła.

Wtedy chwycił się innego środka: postanowił zaskoczyć znienacka „błaznującego sztubaka”. Parę razy dziennie w rozmaitych porach wpadał nagle do pracowni, obejmując wnętrze badawczym spojrzeniem. Lecz i ta metoda zawiodła. W pokoju nie zastał nigdy żywej duszy; drzemały tylko jak zwykle po kątach rozproszone sprzęty i wałęsały się po biurku rozrzucone w nieładzie notatki i rękopisy.

Aż pewnej nocy, gdy zmęczony długą lekturą zasnął na parę godzin, nagle zdało mu się, że ktoś chodzi w sąsiednim pokoju. Zerwał się z łóżka i z zapaloną świecą rzucił się ku pracowni.

Nie było nikogo. Pełzały mu tylko u nóg czarne, pokraczne cienie przedmiotów. Lecz gdy spojrzął przypadkiem w zwierciadło, wychyliła się ku niemu z jego szklanych głębin czyjaś twarz: szerokie, zmysłowe usta poruszały się ruchem mlaskającym żwacza, obrzękłe i krwią nabiegłe lewe oko przymrużało się z diaboliczną filuterią, a od czarnej jak kruk czupryny aż po linię opuszczonych ku dołowi wąsów zbiegały ustawicznie nerwowe fałdy dreszczy.

— To on! To on! — zakrzyczało coś w nim, budząc uszpioną świadomość.

— To ty! To ty! — odparował głos drugi.

Świeca wypuszczona z drżących palców upadła na posadzkę i zgasła. Wśród absolutnej ciemności gnany kańczugami³⁹ trwogi dopadł drzwi, zatrzasnął je za sobą i po omacku ubrawszy się, wyszedł na miasto...

Wróciwszy do domu nad ranem, długo studiował swoją postać w wielkim stojącym lustrze w salonie. Badanie wydało widocznie wyniki ponure, bo chmurny i zasępiony zapuścił na wszystkie zwierciadła w domu szare, płócienne pokrowce. Po południu golił się „na pamięć”. Tęgoż wieczora po raz ostatni rozmawiał ze sługą oko w oko; z zachowania się Józefa wywnioskował, że czas już najwyższy porozumiewać się z nim tylko przez drzwi z drugiego pokoju. Stary przypatrywał mu się spode łba ciekawie i widać było, że zadaje sobie gwałt, by nie zrobić jakiejś uwagi. Wreszcie jednak mus wewnętrzny wziął w nim górę, bo pod koniec rozmowy na dobranoc rzucił niby niechcący przypuszczenie:

— Wielmożny pan zapewne wkrótce stąd wyjedzie?

Pomian zaskoczony podniósł nań pytające oczy:

— A to dlaczego? Skąd ta nowina?

Sługa spuścił oczy zmieszany i bąkał niewyraźnie:

— Tak mi się coś zdawało... że niby... tak jakoś może *teraz* wypada... Jak to już było parę razy w ubiegłe lata... Zwyczajnie *w taką paskudną godzinę* pan wyjeżdżał... Bo tak prawdę mówiąc, wielmożny pan trochę *teraz* przemieniony...

— Idźże sobie precz do stu diabłów! — wrzasnął Pomian, zrywając się z krzesła. — Kto ci pozwolił wtrącać się do nieswoich spraw? Trzymaj język za zębami, jeżeli nie chcesz stąd wylecieć raz na zawsze!

Józef mocno skonfundowany wyniósł się cicho do swojej izdebki.

Odtąd rozmawiali ze sobą tylko przez drzwi. W ogóle od owego wieczora Pomian stał się dla świata niewidzialny; nie wychodził z domu, chyba późnymi wieczorami, a u siebie nie przyjmował nikogo; izolował się od ludzi zupełnie.

³⁹kańczug — bicz spleciony z rzemieni, osadzony na krótkim kijku; narzędzie dyscyplinowania i wymierzania kary. [przypis edytorski]

Uwaga sługi zrobiła na nim ogromne wrażenie; zrozumiał, że musi się zastosować do zmienionych warunków swojej powierzchowności. Równocześnie zaczął zdawać sobie sprawę z przemian wewnętrznych. Od pewnego czasu zauważył u siebie niemal zupełnie zobojętnienie dla spraw, które go dotychczas zajmowały; kierunek jego duchowych zainteresowań zmienił się do niepoznania. Sybarytyzm praktyczny zajął miejsce dawnych ideałów: zaczął patrzeć na świat okiem pogodzonego ze stanem rzeczy deterministy; imponowała mu teraz siła pięści, spryt życiowy i brutalność. Czuł, jak powoli przekształca się w osobnika złośliwego i podstępного, jak budzą się w nim instynkty bestii ludzkiej niecofającej się przed niczym.

Na razie uświadamiał sobie jeszcze te zagadkowe przemiany — lecz mogła przyjść godzina, w której reszta tej świadomości zatrze się i zgaśnie. A co wtedy?...

Pomian przeczuwał tę chwilę i drżał na samą myśl o tym. Co począć wtedy? Jak się zachować w takim wypadku?

Pytania te dręczyły go niewypowiedzianie, mimo woli nasuwając jako odpowiedź oględną radę Józefa:

— Wyjechać! Wyjechać stąd jak najdalej, jak najprędzej!

I może byłby poszedł za wskazówką, nie czekając na dalsze postępy przekształcenia, gdyby nie dziwne zdarzenie, gdyby nie cudownie piękna przygoda, która na czas pewien wstrzymała go od wykonania zamiaru...

WERONIKA

Żegnał przez okno ukochane miasto. Za godzinę „Express-Oriental” miał go unieść w dalekie kraje, na nieznaną przygodę, nieprzeczuwane emocje. Obok na krześle czekała nań waliza podróżna wypełniona po brzegi, w sąsiednim pokoju niecierpliwiał się ulubiony chart węszący wyjazd i zmianę miejsca.

Pomian zapalił powoli cygaro i pojąc się liryzmem rozstania, patrzył w dół na rozgwarzoną przedwiecznym chorałem panoramę. Miasto pławiło się w roztoczy zachodu. Nad zgiełkiem dachów, kopuł, bań, nad graniem gmachów i kamienic żagwiły się w agonii słońca strzały wież, błogosławiły światu rozpostarciem ramion kościelne krzyże. Szare pasma ulic popstrzone tu i tam ludzkim mrowiem przecinały się w tysiączne sploty, krążyły w liniach węzowych dookoła budynków, pełzały pomiędzy domami niby długie, leniwe tasiemce. W powietrzu wisiała nieruchomo ociążała, błękitnośniada śrzeżoga: nasycony rozwór dymów fabrycznych, mgły i wyparów rzeki. W południowej stronie miasta z belwederku⁴⁰ na szczycie obserwatorium puszczał ktoś na pogodny, turkusowy błękit bukiety rac; ogniste pociski, wyrzucone w przestrzeń potężnym pchnięciem gazów, leciały podobocznym szlakiem, hen, hen w przestworza, dosięgłszy zenitu, pękały z sykiem granatów i, siejąc wokół deszcz iskier i gwiazd bez liku, staczały się cicho linią paraboli na ziemię... W pewnej chwili odezwały się dzwony: z wieżyc kościołów spłynęły ku miastu na skrzydłach dźwięków zwiastuny dobrej, przedwieczornej nowiny. *Ave Maria!*...

Czyjaś dłoń dotknęła nieśmiało jego ramienia. Pomian drgnął i odwrócił się...

Byłaż to wizja czy wyżniona po latach tęsknoty rzeczywistość? Madonna w godzinę łaski przeogromnej zstępująca z piedestału niebios w zacisze samotnika czy marzenie mocą duszy spragnionej zrealizowane na chwilę — na krótką, bezpowrotną chwilę?

W ramie kornetu⁴¹ rysowało się alabastrowobiałe, jakby wyrzeźbione w onyksie oblicze precudnej mniszki. Oczy fiołkowe, pełne niewysłowionej słodyczy i zadumy, oczy mieniące się złotawym połyskiem opalu tonęły gdzieś w przestrzeni. Na ustach lekko rozchylnych błąkał się uśmiech-zagadka. Smutek tęskniącej róży czy grymas gorczy?...

Pomian skłonił się głęboko.

— *Virgo immaculata*^{42!} — mimo woli uczciły ją szeptem oczarowane wargi.

Bał się ruszyć z miejsca, głos podnieść, by nie spłoszyć urokliwego zjawiska.

— Pozdrowion mi bądź w imię Pana! — usłyszał jakby skądś ze sfery zaziemskiej idące ku sobie powitanie. — Niechaj łaska Chrystusa spłynie na dom twój, panie, nawiedzony smutkiem i niech rozproszy mroki błędu zdradziecko w nim utajone.

Spotkanie, Wzrok

⁴⁰belweder (wł.) — budynek na wznieśieniu, z którego roztacza się rozległy widok. [przypis redakcyjny]

⁴¹kornet — białe, sztywne nakrycie głowy zakonnicy. [przypis edytorski]

⁴²virgo immaculata (łac.) — dziewica niepokalana. [przypis redakcyjny]

Oderwała oczy od jakiegoś punktu w przestrzeni i skierowała je na niego. Nie wytrzymała siły spojrzenia i rażony ogromem ich piękna opuścił głowę. Czuł, że radość bezbrzeżna i zachwyt rozsada mu serce; nadludzkie szczęście rozpierało falującą pierś, szaleństwo uwielbienia zamglilo źrenice; zachwiał się i oparł rękę o ścianę, by nie runąć jej do stóp.

— O siostrze, siostrze przedziwna!

Z fałdów zakonnej stoli⁴³ wysunęła się ku niemu dłoń smukła, o wytwornej linii rysunku, jak u dziewic mistycznych. Ukłękł i przyciskając dłoń tę do ust, całował z upojeniem. Był oszołomiony; wszystko wydało się tak nieprawdopodobne, wyjątkowe, jak w bajce. Chwilami myślał, że śni lub marzy, lecz żywe, tętniące młodą krwią ciepło tej ręki, którą czuł pod wargami, mówiło, że mniszka jest cudną rzeczywistością.

Podniosła go ku sobie ruchem ręki. Splótszy dłonie, w milczeniu wpatrywali się w siebie. Zachwyt pętał słowa, łamał głos. Słyszał uderzenia własnego serca, widział falę jej piersi pod zakonną szatą. W oczach jej rozbłyskiwały i gasły lazuruowe ognie, na posągowe, niby z marmuru wykute jagody wykwił płomień, to znów wstępowała ścięta mrozem, przeraźliwa bladeść. Mieniła się jak trawiona śmiertelną gorączką....

Mijały godziny, płynął czas niepowrotnym ściegiem, zapadały w otchłań chwile — oni stali wciąż we framudze narożni zapatrzeni w siebie, milczący, oniemiałi... W jakiejś porze nocy dłonie ich rozplotły się. Smukła, podobna steli nagrobnej postać zaczęła oddalać się jak sen, spłoszony przecuciem poranka. Nie wstrzymywał jej — tylko ramiona wyciągnął w tęsknocie i błagał spojrzeniem o powrót. Tam u wylotu korytarza odwróciła się raz jeszcze i na pożegnanie podniosła rękę jak do błogosławieństwa... Pochylił głowę pod znakiem tej łaski, a gdy po chwili podniósł oczy w tę stronę, już jej nie było...

Niebem wstrząsały pierwsze dreszcze brzasku....

Nawiedzała go zwykle wieczorną porą. Gdy świat uznojony dziennym trudem sposobił się do ukojeń zmierzchu, a znużone wędrowską słońce zasunęło już tarczę do połowy pod ziemię, spływała ku niemu wśród szeptów pozdrowienia...

Dom jego zamienił się w tym czasie w kaplicę, której duszą i świętą była ona. W głębi oszklonego witrażami korytarza stanął jej ołtarz. Codziennie, w odwieczera godzinę, gdy dzwony na wieżach grały odwieczną melodię zwiastowania, rozkwitały na mensie⁴⁴ światła świec i kandelabrow, wśród blasku rozchybotanych płomyków perliły się lzy rosy w kielichach lilii, narcyzów i tulipanów, których pęczki świeżo skropione troskliwą dłonią pochylały się w zamyśleniu mistycznym nad skrzynią tabernakulum. W miedzianych amforach spalały się cicho mira i kadzidło i wysnuwając się z wnętrza w sinobiałych runach, okalały woalem dymów jaspisowy piedestał koło ołtarza opleciony ich skrętami. Obły, lśniący zimno trzon czekał w uśknieniu...

Wśród cichego prysku przepalających się wonności, wśród słodkiego czadu świec i paschałów⁴⁵ stawała na cokole owianym kwefami woni i dymów siostra Weronika. Nie-ruchoma, z głową lekko pochyloną jakby w znak poddania się wyrokowi nieba, ze złożonymi na piersiach rękoma, podobna była służebnicy Pana. Opuszczone powieki zakrywały płomienny szafir jej oczu, rzucając na twarz mniszki cień rzęs długich, jedwabistych, na ustach drzemał uśmiech...

Wstępował na stopnie ku platformie piedestału i, ukłękłszy, obejmował jej stopy. Z ust jego płynęły słowa uwielbienia, ciche zaklęcia, namiętne przyzywania. A gdy miodlitwa rozplamiona do żaru rozkwitała na wargach w białe kwiaty ekstazy, posąg ożywał się; podnosiły się w górę wstydliwie opuszczone powieki, z oczu strzelały zagadkowe ognie, a złożone na krzyż ręce spływały parą lilii na głowę adorującego...

Podtrzymywana jego ramieniem, zstępowała w dół pod witraż wcedzający w kaplicę bladoniebieskie jaśnie. Trzymając się za ręce jak para dzieci, siadywali w stallach wysokich, strzelistych, z ciemnego mahoni. A gdy już nasycili swe oczy wzajemnym widokiem i dusze ich zawarły się ponownie w mistycznym uścisku, Weronika, podszedłszy do

⁴³stola (łac., z gr.) — długa, fałdzista szata kobieca w staroż. Rzymie. [przypis redakcyjny]

⁴⁴mensa (z łac.) — tu: stół. [przypis edytorski]

⁴⁵paschał — w chrześcijaństwie: wielka, ozdobna świeca będąca symbolem Chrystusa zmartwychwstałego, zapalana podczas niektórych uroczystości w okresie wielkanocnym. [przypis edytorski]

smukłego, w czarne asfodele⁴⁶ rzeźbionego *leggio*⁴⁷, otwierała starą, poźółkłą księgę. W ci-
szy kaplicznego ustronia szeleściły karty foliału przerzucane ręką wąską, przeduchowioną,
niemal przezroczystą. Po chwili rozbrzmiewał jej głos słodki i melodyjny: Weronika czy-
tała. Średniowieczne traktaty mistyczne, pełne głębi i naiwności dziecięcej — fragmenty
dysput teozoficznych wnikliwe, subtelne, wyrafinowane — żywoty świętych przedziwne.
Płynęły wyrazy proste a syte treścią jak jagody wina w porę jesieni, symbole tęczujące
opalem w ust kraśnych wydzwiewku, słów rzadkich przeczyste lilie...

Modlitwy ascetów, psalmy pokutne jawno grzesznicy, antyfony ponurych samotnic...
Z dzikich ustroni, z surowych pieczar stuleci przebrzmiałych wionęły powrotnym echem
litanie dusz umęczonych, melodie samodręczycieli, łkania smaganych biczowników...
Ściekała krew od razów dobrowolnej męki, otwierały się rany-stygmaty, pęczniała poso-
ka w sine znaki gwoździ. A na tę krew, na czerwoną, purpurową jak zgorzel pożaru krew,
sączyły się oliwą ukojenia chryzmaty zaziemskich obietnic...

Z czasem, nieznacznie, nieuchwytnie zmieniły się barwy i tony. Na chwiejnej rubieży
szarów krwi i ducha wydzwignęły się kielichy nowych, dziwnych kwiatów. Usta Weroniki
dumne i kuszące wygłosiły dnia jednego głosem św. Teresy⁴⁸:

Przed życiem czuję — nie przed śmiercią trwozę,
Bo takie światy widzę tam, przed sobą,
Że mi ten ziemski grobową żalobą
I tym umieram — że umrzeć nie mogę...

Mistyczny żar poezji seraficznej panny rozkochanej w ciele Ukrzyżowanego i jej mi-
łosna ekstaza idąca w zawody z miłością Marii z Magdali zabarwiły policzki deklamującej
mniszki bladą różową jutrznią. Weronika przeżywała całą sobą serdeczną mękę Świętej...

Żądam bez miary — miłuję bez granic —
Miłość i żądza nie zdały się na nic —
Zmienionam cała w jedno upragnienie,
Lecz Twojej woli w tych chwilach nie zmienię;
Pan nieśmiertelny nie zstąpi do sługi...
.....
Lecz kiedy konasz, mnie się wiecznie zdaje,
.....
Że Magdalena, ta święta, Twa miła,
Co tam tak jęczy — to ja chyba była!
.....
— Nie — ona Ciebie więcej nie kochała!
Ja wiem, że ona wielka, a ja mała,
Bom mniej czynami Tobie zasłużona —
Lecz więcej Ciebie nie kochała ona!
Jakżeż to będzie, mój Panie, mój Boże?
Jakżeż rozdzielić sądem Salomona
Tę jedną miłość między te dwa łona?
— Bo dwóch miłości być takich nie może!
Nie — Ciebie więcej nie kochała ona⁴⁹!...
.....

Na czoło Weroniki białe, chłodne, marmurowe wystąpiły krople potu, w oczach tliła
namiętność. Nagle zachwiała się i upadła bez pamięci u stopni ołtarza...

⁴⁶*asfodel* (z łac.) — złotogłowy; gatunek rośliny o wąskich, trawiastych liściach i żółtych, gęstych kwiatostanach. [przypis redakcyjny]

⁴⁷*leggio* (wł.) — pulpit do czytania. [przypis redakcyjny]

⁴⁸*Teresa, św.*, właśc. *Teresa z Avili* (1515–1582) — wielka mistyczka hiszpańska. [przypis redakcyjny]

⁴⁹*Przed życiem czuję — nie przed śmiercią trwozę (...)* *Ciebie więcej nie kochała ona!*... — Cytowane wyjątki według parafrazy Z. Krasieńskiego [przyp. autora]. [przypis autorski]

Chrystus, Kobieta,
Dziewictwo, Erotyzm,
Modlitwa

Następnego wieczora odczytała *Visiones ancillae Domini*⁵⁰, dziwne, na pół obłąkane, sataniczne dzieło nieznanego mniszki z XIV w., która z litości nad katuszą Lucyfera oddała mu swe ciało i duszę. Potem przyszła kolej na ekstatyczną, palącą tropikalnym skwarem poezję księdza Antoniego Szandlerowskiego⁵¹...

— Moja królowna rozkochana w ciszy
Zawisła tęczą swych ramion w przestworzu...
Jej dusza, jak promienie, roztapia się w morzu,
A ciało jej prześwieca poprzez habit mniszy.

Girlandą myśli tęsknych barwi chmury zwiewne,
Jasnością boskiej piersi gasi jasność słońca,
Aż chmury kwiatem śnieżnym spadły na królownę,
A słońce pierś załało jak fala mdlejąca...

Królowna marzy tron swój i swoją koronę,
Marzy łoże z traw polnych i kwiatów usłane —
Śni wonną i słoneczną miłości polaną...
I ciało swe dziewicze świętością omglone...

Cicho... cicho, królowno!... Widzisz, idę k'tobie..
Idę z wieczną tęsknotą mojej smutnej duszy.
Cicho... cicho, królowno... daj mi dłonie obie...
Słońce zgasło na piersi... mój kwiat skroń twą prószy!...

.....
.....

Ciało twe, jak lilii kwiat,
Pierś twa kragła, śnieżna, wonna,
Ust upojnych moc bezbronna...
Płomień ócz, jak pożar chat...

W pewnym momencie Weronika umilkła i pochwyciwszy rękę Pomiana, podniosła ją ku namiętnie rozszerzonym nozdrzom.

— Jak słodko pachnie ci dłoń... — wyszeptała w ekstazie.

Przejął go dreszcz rozkoszy i grozy zarazem. Mimo woli cofnął się, wrywając jej rękę.

— Złudzenie, Weroniko, złudzenie — tłumaczył łagodnie, opanowując wzruszenie.

— Zostaw, siostrze, te wiersze! Ta poezja działa na ciebie jak trucizna.

— Może masz słuszość — odpowiedziała głosem zgaszonym. — Może masz słuszość...

Lecz od pamiętnej sceny stosunek ich uległ zmianie. Z uczuciem niewymownego szczęścia i trwogi zarazem spostrzegł, że mistyczna ekstaza siostry coraz wyraźniej zwraca się ku jego osobie jako przedmiotowi uwielbienia i adoracji. Równocześnie charakter jej nabierał cech coraz bardziej ziemskich: uniesienia duszy roztapiającej się w sferach błękitu powoli przekształcały się w pożar krwi. Coraz to dłużej przytrzymywała w dłoniach jego ręce, coraz uporczywiej wlepiła weń rozmarzone oczy; przeciągły, spazmatyczny dreszcz wstrząsał jej dziewiczym ciałem, na twarzy świtał i zmierzchał namiętny płomień. Szalona mniszka ciążyła ku niemu całym swym cudnym a świętokradczym jestestwem.

Pomian przeląkł się tej namiętności. Nie chciał przekraczać granic, nie chciał obdzierać tej przepięknej przygody z uroku przeduchowania. Nie chciał — a może tylko bał się?... Nie wiadomo. Może odezwały się w nim echa świętego dzieciństwa pełnego wiary i religijnego kultu? Może lękał się, by nie zostać świętokradcą własnego ideału?...

⁵⁰*Visiones ancillae Domini* (łac.) — *Wizje służebnicy Pańskiej* [przyp. autora]. [przypis autorski]

⁵¹Antoni Szandlerowski (1878–1911) — poeta i dramatopisarz Młodej Polski, w którego twórczości egzaltowany erotyzm łączył się z motywami mistyczno-religijnymi. [przypis redakcyjny]

I rzecz dziwna — w okresie „mistycznej awantury”, której mianem ochrzcił swój niezwykle romans — proces przemiany jakby zastanowił się⁵²; budząca się w jego duszy bestia ludzka, której oddech zalewał mu już twarz ohydny wyziewem, przykucnęła w nim gdzieś w najskrytszych zakamarkach. Czy na długo? Nie wiedział.

Tymczasem zachowanie się Weroniki zdawało się zmierzać ku temu, by ją stamtąd wywabić; demoniczna mniszka, jakby wyczuwszy przyczajone w nim zwierzę, nęciła je ku sobie coraz przemożniej czarem zakonnego dziewictwa...

Któregoś wieczora przyszła wcześniej, i to wprost do jego pracowni, jakby chcąc w ten sposób uniknąć adoracji. Pomian w pierwszej chwili nie spostrzegł jej obecności w pokoju; zamyślony patrzył w przestrzeń za oknem. Nie wiadomo jak, nadpłynęła nań w tej godzinie fala wspomnień z lat dziecińczych. Przed spojrzeniem wewnętrznym przeciągały uporczywie obrazy „sielskie i anielskie”, rozsnuwały się w barwach szczególnie jaskrawych mirażu przeszłości... Oto widzi siebie w jasnym, odświeżonym ubranku na tle sadu pod starą, rosochatą gruszą. Grzegorz, sadownik, ukryty gdzieś tam w gąszczu listowia, strąca „kulą” owoc. Pachną gruszki dościgły⁵³, soczyste... Mały Tadzik ukradkiem napycha kieszenie... A oto rzeka w podgórskiej wsi. Wakacje. Lipiec. Skwar. Pastuchy poją konie u brodu. Tadzik wchodzi do wody. Rzeński dreszcz spływa po ciele i znika usunięty ruchem wiosłujących ramion. Srebrzysty żywioł drga miriadem zmarszczek, fałduje się w nieskończoność. On kładzie się grzbietem na wodzie i wpatrzony w toczące się ciekliny, duma nad dolą fal... Pokój dziecienny — duża, skąpana w słońcu świetlica — wkoło porozstawiane krzesła i stoliki. Zabawa „w konika”...

Pijane wspomnieniami oczy natrafiają nagle na czerniejącą w progu wyniosłą postać zakonnicy. Weronika nie patrzy nań w tej chwili. Spojrzenie jej błądzi po pracowni, przenosząc się ciągle z miejsca na miejsce. W końcu ustala się i zatrzymuje na nim.

— Co za rozkoszny chłopak! — mówi z uśmiechem.

Powstał zaskoczony, otrząsając z siebie resztki marzeń:

— O kim mówisz, siostrze?

— O ślicznym, modrookim chłopczyku, który przed chwilą, gdy wchodziłam w próg, bawił się w tym pokoju „w konika”.

— Chłopczek? Tutaj?

— No tak. Tu na tych krzesłach. Siadał okrakiem jak na konia i przeskakiwał z jednego na drugie. Potem wybiegł tamtymi drzwiami. Kto to? Czy może twój młodszy braciszek? Ogromnie do ciebie podobny. Tak musiałeś wyglądać, mając lat osiem.

I wyciągnęła ku niemu rękę.

— Przyszłam dziś wcześniej niż zwykle, bo wołałam przyjść *tutaj*. Zmęczyła mnie już ma rola w kaplicy — dodała z rozkosznym uśmiechem, kładąc mu obie ręce na ramionach. — Dziś pragnę być tylko Weroniką, *twoją* Weroniką. Zapomnij na chwilę o siostrze i służebnicy Pana!...

Szybkim, nieznacznym ruchem rozchyliła zakonną szatę.

— Pocałuj! — szepnęła, mrużąc szatańsko cudne oczy. — Pocałuj tutaj!

I podała mu ku ustom śnieżne, twarde grona swych piersi.

Krew zalała mu oczy. Szaleństwo żądz zakipiło w żyłach miłosnym wrzątkiem. Nachylił się ku cudowi jej łona i przez chwilę chłonał nozdrzami jego woń dziewiczą. Wtem sprzeciw surowy jak stal odepchnął go od niej żelazną ręką.

— Nie, nie! Nie wolno! — zawołał, pasując się w nieludzkim wysiłku. — Nie! Nie! Nie chcę! Nie chcę!...

I zasłoniwszy ręką oczy opętane bielą jej ciała, wypadł z pokoju na korytarz. W których drzwiach na dole ktoś go chwycił mocno za kołnierz.

— A tuś mi, ptaszku?! Czego to szukasz po ciemku?

Poznał głos Józefa. Sługa świecił mu latarką w oczy.

— Czegóż to zakradasz się do domu o zmierzchu, gagatku? — pytał, przypatrując mu się uważnie. — Każę cię odstawić do najbliższego komisariatu. Hej! Posterunkowy!

— Józef! — wykrztusił nareszcie ze ściśniętej gardzieli Pomian. — Józef! Czyś dostał pomieszania zmysłów? To ja!... No, puść mnie, stary ośle!

⁵²zastanowić się (starop.) — zatrzymać się. [przypis redakcyjny]

⁵³dościgły — tu: dojrzały. [przypis edytorski]

Ręka sługi momentalnie opadła. Nareszcie po głosie poznał pana.

— Ha! To pan?! To naprawdę pan?!... Hm... Nie do poznania... nie do poznania...
I gdyby nie ten sam głos...

I osłupiałym wzrokiem wświdrowywał mu się w twarz, niewidzianą od dwóch miesięcy. Nagle z ogromnym płaczem runął mu do nóg, obejmując za kolana:

— Na miły Bóg, co się z panem stało? Na miły, święty Bóg, co się z panem wyrabia?!
Pomianem miotnęła nagle wściekłość.

— Wstawaj, durniu, i odczep się ode mnie! Słyszalesz?! Walizę i prowiant na jutro mieć w pogotowiu! Zrozumiałeś? No, dość już tych głupich komedii!

I odsunawszy szorstko starego, wyszedł pośpiesznie na miasto.

Nazajutrz o świcie „Express-Oriental” unosił Tadeusza Pomiana w krainy Dalekiego Wschodu...

PAWEŁEK KUTERNÓŻKA

W dwa tygodnie po wyjeździe Pomiana mieszkańcy ul. Katedralnej zauważyli o wczesnej godzinie dnia, że zapuszczone na głucho od pięciu lat żelazne story domu narożnego pod nr. 18 poszły w górę. Nad drzwiami wchodowymi między głowicami dwóch konwulsyjnie skręconych pilastrów pojawił się napis: „*Dewocjonalia*”, wykonany literami srebrnymi na czarnym tle; pod spodem, w odstępie kilku cali w formie dodatku objaśniającego: „Główny skład i wytwórnia sprzętów i paramentów⁵⁴ kościelnych firmy *Paweł Kuternóżka*”.

Pierwszym, który zwrócił uwagę na otwarcie religijnego sklepu, był zakrystian od fary, pan Piotr Pieniążek, siwy, 80-letni staruszek w ciemnoniebieskich okularach na długim, krogulczo zakrzywionym nosie. Pocziwy sługa kościelny właśnie mijał wieżę od fary i z zadartą do góry głową gawronił się na stado jaskółek, okrążających nerwowym lotem banię szczytową, gdy wtem, opuściwszy na chwilę znużone oczy, zaczął po drodze spojrzeniem o charakterystyczny napis i spostrzegł, że jedna z witryn sklepowych mieni się w blaskach porannego słońca złotem monstrancji, kielichów i cyboriów⁵⁵.

„Oho! — pomyślał, obserwując z zajęciem wystawę. — Coś nowego. Pi, pi! Co za wyrób! I to w dodatku, jak zapewniają, z własnej, krajowej wytwórni! No, no... To się księża nasi ucieszą. Ale że też żaden nic mi o tym ani słowem dotychczas nie pisał? Hm... Widocznie i oni o niczym nie wiedzieli do ostatniej chwili. Niespodzianka...”

I w zamyśleniu zwiesiwszy głowę, poszedł na wieżę pomiędzy ukochane dzwony.

A niespodzianką rzeczywiście był dla duchowieństwa sklep z dewocjonaliami otwarty w parterze domu u zbiegu Katedralnej i Mniszej. Wiadomość o pojawieniu się nowej firmy podziałała na wszystkich dziwnie podniecająco; od razu, nie wiadomo właściwie dlaczego, mówiono o tym fakcie skądinąd błahym w sposób wyjątkowy i ze szczególnym zainteresowaniem. Najprawdopodobniej przyczynił się do tego w znacznej mierze sam lokal, w którym sklep otwarto — obszerna sześciopokojowa ubikacja⁵⁶ z olbrzymimi, bo niemal poziomymi pierwszymi piętrami dosięgającymi oknami wystawowymi i wspaniałym, oszklonym wykuszem *vis-à-vis* wieżycy zegarowej od fary. O tym bowiem lokalu krążyły już od szeregu lat niepoehlebne nader pogłoski; wszyscy niemal sąsiedzi utrzymywali zgodnie, że w domu na rogu ul. Katedralnej i Mniszej na dole w części parterowej „straszy”. Dlatego podobno ostatni jego mieszkaniec sprzed lat 5, niejaki Rakliński, zdolny i rzutki księgarz, zmuszony był zwinąć księgarnię i przenieść się na Zamkową. Od owego czasu aż do obecnej chwili niegościnnie lokal stał pustką, której broniły pozapuszczane i na kłódki pozamykane story. Paweł Kuternóżka był pierwszym śmiałkiem, który po upływie lat 5 odważył się wtargnąć do osławionego przez „duchy” i nocne niepokoje wnętrza i zamieszkać w nim na czas dłuższy. Cóż więc dziwnego, że wkrótce tłumy dewotek i dzielnicowych gapiów obiegiły sklep, zapuszczając w głąb przez witryny spojrzenia ciekawe i pełne niedowierzania?

Tymczasem wewnątrz wrzała praca. Właściciel pragnął widocznie jak najprędzej urządzić sklep na przyjęcie gości, gdyż znać było gorączkowy pośpiech w jego ruchach ner-

⁵⁴*paramenty* (łac.) — szaty, naczynia i sprzęty liturgiczne. [przypis redakcyjny]

⁵⁵*cyborium* (łac.) — naczynie w kształcie puszki, służące do przechowywania hostii. [przypis redakcyjny]

⁵⁶*ubikacja* (daw., z łac.) — tu: pomieszczenie. [przypis edytorski]

wowych i rozkazach, wydawanych dwóm chłopakom pięknym jak para aniołków głosem piskliwym, na wysoką nastrojonym nutę.

Pocieszną figurą był pan Paweł Kuternóżka. Średniego wzrostu, chwilami niemal niski, ze sterzącą w górę jedną łopatką, z rozczochraną, czarną czupryną i obwisłymi wąsami, uwijał się po lokalu w długim, zgniozłonego koloru płaszczu laboratoryjnym krokiem koślawym i niezdarnym, powłócząc jedną nogą jakby krótszą i chromą. Twarz szefa firmy oliwkowoszarą, popadaną w głębokie bruzdy, wstrząsał od czasu do czasu nerwowy tik koło lewego oka, które mrużyło się ustawicznie z jakąś szydyczko-kipiącą dobroduszością. Zdaje się właśnie ten grymas oka nadawał jego fizjonomii wyraz złośliwości trzymanej w ryzach woli dominującej nad całym tym dziwnym człowiekiem.

Pan Kuternóżka był w wyśmienitym humorze: uśmiech zadowolenia nie schodził z warg jego soczystych, zmysłowych, silnie na zewnątrz odwiniętych. Prześmigając jak członek tkackie bez przerwy między „ładą” i kantorkiem a bocznymi ubikacjami na prawo i lewo od „salki recepcyjnej”, nucił falsekiem nastrojonym na górny ton jakąś nieokreśloną melodię. Ucho wrażliwsze mogło po pewnym czasie dopiero wyróżnić w niej dwa sprzeczne motywy: hulaszczy, wesoły, niefrasobliwy i coś jakby z marsza pogrzebowego. Piosenka Kuternóżki trąciła nutą stypy.

— Halo, chłopcy! — krzyknął, przerywając arię. — A ostrożnie tam z tym fere-tronem! Uważaj, Grzesiek, do stu diasków Pańskich, jak niesiesz! Poutrącać skrzydła aniołkom, niezgrabiasz! Prawdziwie złocone, rzeźbione skrzydła!... Bacność, Piotruś!... Odsuń obraz trochę na prawo od krzyża procesyjnego, bo porysuje ramieniem twarz Madonny z kretesem! Tak, tak! Teraz dobrze. Figury św. Antoniego z Padwy i św. Franciszka ustawić tutaj po bokach! Tak. Niech dekorują oba flanki. Doskonale! Dalej żwawo! Statuę św. Weroniki z drzewa lipowego, z postumentem i drążkami do noszenia w czasie procesji, eksponować tam w górze na podstawie. Ostrożnie, Pietrek! Bo wyrwiesz jej z rąk chustę! Tę śliczną, w koronki rzeźbioną chustę, której wykonanie kosztowało mnie kilkadziesiąt złotych, nicponiu! Cóż by robiła bez chusty? *Diavolo maledetto del Christo*⁵⁷! — zaklął z cicha, obserwując robotę. — Nie poprawiaj tam nic więcej, nie przesuwaj, bo runie z góry!

Wreszcie figury ustawiono. Chłopcy zdyszani, z trzęsącymi się od emocji rękoma zeszli z drabin.

— A tu w głębi — rozległa się ponownie komenda niestrudzonego szefa — umieścić jako tło dalsze Chrystusa w grobie z masy, a za nim w półkregu 12 apostołów z Judaszem Iskariotą na czele! Niech przoduje niecnota! Niech się pali ze wstydu szubienicznik! Dalej! Żwawo!... A to łotr z miedzianym czołem! A to handeles kosooki z mieszkciem!... Tu, tu! Tu pod trzosem szkaplerzy i dzwonek z Loretu⁵⁸! No, nareszcie witryna z grubsza zapełniona. A teraz możemy przejść do wykończenia całości i podkreślenia szczegółów. Grzesiek, rozrzuć tutaj na dole parę brewiarzy i mszałów! Pietrek, ruszaj po psalterze i ewangelie! Tam w szafie, w kącie! Ten kancjonał w skórce pomarańczowej ze złotym brzegiem na indyjskim papierze i z jedwabnymi zakładkami wysuniesz tu na przód, przed samą szybę. Tak. *Horae diurnae*⁵⁹, rytuały i modlitewniki spiętrzyć w stos w pośrodku! Nie zapominajcie też o żelazkach do wypiekania opłatków i sercach wotywnych! Kasetę z przyborami do mszy św. umieścić tu w niszy! Przybić do nadpróżka dwa dzwonki akordowe z taśmami! Tu i tam niby od niechcenia porozstawiać kule szklane do „Bożych grobów”, ampułki ze szkła i kryształu na tackach i pudełka do przechowywania hostii. Dobrze. Zawiesić na tym stojaku parę różańców! Z każdego gatunku po dwa egzemplarze! Dwa kokosowe, dwa szklane, dwa kościane! Jeden z perłowej masy, jeden z koralu i po jednym luksusowym z granatków, ametystów i lapis-lazuli! *Basta!* Okno nr 1 skończone!

Odstąpcie! Chcę objąć okiem całość!

Jakoż musiała wypaść dobrze, bo pan Kuternóżka zatarł z zadowoleniem ręce i przeszedł do dekorowania drugiej z rzędu witryny. Na treść jej złożyły się przybory ze złota, srebra i metalu. Wkrótce sklepowa wnęka rozbłysła migotem brązowych puszek na ko-

⁵⁷ *Diavolo maledetto del Christo!* (wł.) — Diabeł przeklęty przez Chrystusa. [przypis redakcyjny]

⁵⁸ *dzwonki z Loretu* — dzwonki wyrabiane we włoskim sanktuarium maryjnym Loreto, którym przypisywano moc zabezpieczającą przed złem, np. przed skutkami burzy i piorunów. [przypis redakcyjny]

⁵⁹ *Horae diurnae* (łac.) — godziny dnia; tu: książki do nabożeństwa, zawierające modlitwy na różne godziny dnia. [przypis redakcyjny]

munikanty, połączanych kustodiów⁶⁰ do przechowywania zakonsekrowanej hostii, srebrnych monstrancji, kielichów i relikwiarzy. W głębi na tle z błękitnego pluszu wyrósł las krzyży, berel promienistych i lichtarzy. Pod ścianą po lewej rozkwitły metalowymi gronami wieloramienne kandelabry, lampy oliwne i zwykłe, świeczniki i latarki, rozsiadły się masywne i ciężkie lawaterze⁶¹. Ze szczytu zwisały firnizowane⁶² i złożone pająki, kadzielnice niklowane i srebrzone, oksydowane kinkiety. Przepierzenia po prawej uczepiły się mosiężnymi wargami kropielnice, kociołki i *lavaba*⁶³. Na dnie, na podszyciu z czerwonego jedwabiu, spoczęły łódki na kadzidła do trybularzy, puszcзки na oleje św., kropidło metalowe, tacki z chińskiego srebra, medaliki z aluminium, krzyżyki misyjne i szkaple-rze ogniotrwałe z azbestu. W pośrodku stropu wystawowego niby stróżka-czujka wierna i oddana zapłonęła czerwonym światłem lampka wieczysta...

Na progu sklepu zaczerniała wyniosła postać duchownego. Twarz gościa mocna i charakterystyczna wrażała się w pamięć na pierwszy rzut oka. Rysy księdza ostre i ponure łączyły w stylowym sojuszu fanatyzm religijny z zakapturzonym okrucieństwem, oczy czarne, głęboko osadzone w czaszce, gorzały posępnym ogniem. Potężne znać musiały być namiętności, które niegdyś wstrząsały tym herkulicznym ciałem, i straszliwą walką, którą przyszło mu z nimi stoczyć, zanim opanował wszystkie i wziął na postronki stalowej swej woli. Ten ksiądz nieprzeciętny musiał być „ciężkim” dla siebie, lecz ciężkim i dla drugich. Bo w wicherzycy wewnętrznych zmaganiń snadź schropowaciła mu dusza. Padał od niego cień średniowiecza wylęgły w rozpięciu olbrzymich skrzydeł szatana, wionął chłód gotyckich tumów i długich, zimnych, klasztornych korytarzy...

Kuternóżce na widok gościa pokraśniała twarz z zadowolenia. Cały w uśmiechach, promieniejący od szczęścia rzucił się na spotkanie:

— Co za zaszczyt niespodziewany! Co za miła siurpryza⁶⁴; sługa najmilszy ksiądz prałata, dobrodzieja mego! Sługa najniższy! Witam najuprzejmiej w niskich progach moich! Proszę, proszę bliżej! Może tu wygodnie na fotelu?

I wśród nieustających na chwilę ukłonów i czołobitności wskazywał mu antyczne, rozłożyste karło⁶⁵ wydobyte skądś z kąta.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — odpowiedział lakonicznie ksiądz na potok pozdrowień i posunął się powolnym, ciężkim krokiem od drzwi w głąb sklepu.

— *In saecula saeculorum! In saecula saeculorum*⁶⁶! — podchwycił skwapliwie szef firmy. — Ku radości nieba i wszystkich sprawiedliwych, a smutkowi szatana i sług jego. Lecz co widzę? — przerwał nagle tyradę, zmieniając ton. — I przewielebny ksiądz kanonik także do mnie w gościnę? Co za szczęśliwy dzień na początek! Co za cudowna prognoza na przyszłość! Pokorny służka księdza kanonika, *humillimus servus*⁶⁷ księdza doktora! Proszę, proszę bardzo — tutaj na drugim fotelu jest miejsce. Co za dzień! Co za dzień!

I rozplywając się w uniesieniach, świdrował spojrzeniem upartym a bystrym drugiego gościa, którego postać, dotychczas zasłonięta imponującą figurą prałata, dopiero teraz zarysowała się w ramach drzwi.

Twarz kanonika stanowiła uderzający kontrast z obliczem starszego towarzysza. Łagodne, chorobliwie piękne, niemal kobiece jej rysy zdradzały charakter idealisty-ascety. Zamyślonie oczy księdza o barwie lazuru wyglądały jak zasłuchane w przestrzeń, jakby obce rzeczywistości i sprawom dnia powszedniego; ksiądz Alojzy Korytowski sprawiał wrażenie istoty z innego świata zabłąkanej przypadkowo pomiędzy ludzi.

— *Laudetur Jesus Christus*⁶⁸! — pozdrowił cicho łamiącego się w ustawicznych ukłonach Kuternóżkę.

Ksiądz, Siła, Okrucieństwo

Chrystus, Szatan, Imię,
Przekleństwo

⁶⁰*kustodium* (łac.) — naczynie do przechowywania konsekrowanej hostii. [przypis redakcyjny]

⁶¹*lawaterz* (łac.) — miednica ozdobna do mycia rąk przed mszą. [przypis redakcyjny]

⁶²*firnizowany* (z niem.) — pokryty pokostem. [przypis redakcyjny]

⁶³*lavabo* (łac.) — umywalnia. [przypis redakcyjny]

⁶⁴*siurpryza* (daw., z fr.) — niespodzianka. [przypis edytorski]

⁶⁵*karło* (daw.) — rodzaj niewysokiego krzesła z podłokietnikami, o nogach z przodu i z tyłu uformowanych w kształt cyfry X; niekiedy z oparciem, częściej bez, czasem wyścielane materiałem lub skórą. [przypis edytorski]

⁶⁶*in saecula saeculorum* (łac.) — na wieki wieków. [przypis redakcyjny]

⁶⁷*humillimus servus* (łac.) — najniższy sługa. [przypis redakcyjny]

⁶⁸*Laudetur Jesus Christus* (łac.) — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. [przypis redakcyjny]

— *Laudetur, laudetur!* — zapiszczał tamten dyszkantem. — *Maledicatur autem Satanas, creatura Gebennae*⁶⁹!

Ksiądz prałat Dezydery Prawiński podniósł w górę brwi:

— Nie wzywaj pan imienia przekłętego nadaremnie!

— He, he! — zaśmiał się krótko Kuternózka. — Przykazanie drugie brzmi trochę inaczej.

— Nie szermuj waćpan zbyt często imieniem szatana! — powtórzył przestrożę ksiądz.

— Innymi słowy: „Nie wywołuj wilka z lasu!” — dopowiedział Pawełek, nie tracąc ani trochę kontenansu⁷⁰. I spokojnie, bez zmrużenia oka wytrzymał surowe spojrzenie księdza Dezyderego.

— Czym mogę służyć księżom dobrodziejom moim? — przerwał po chwili milczenia tonem swobodnym, bez cienia zakłopotania.

— Rzecz dziwna — odezwał się dotychczas małowówny ksiądz Alojzy — pan Kuternózka zdaje się znać nas obu od dawna.

— Rzeczywiście — potwierdził prałat — ale skąd? Co do mnie, nie przypominam sobie, byśmy się gdzieś kiedyś już raz w życiu spotkali... Pan od dawna w naszym mieście?

— Od wczoraj, do usług księdza prałata, od wczoraj.

— Tym więc dziwniejsze.

Lewe oko Pawełka przymknęło się filuternie.

— Tajemnica kupiecka — rzekł, uśmiechając się słodko — tajemnica kupiecka, proszę księży dobrodziejów. Szef firmy powinien znać wszystkich w mieście, w którym ma zamiar założyć pracownię, na pół roku przedtem, proszę księży dobrodziejów — na pół roku przedtem.

— To szczególne — zauważył nagle ksiądz Dezydery, nie spuszczać zeń oczu. — To szczególne...

— Co takiego? — zagadnął słodziutko Kuternózka. — Co takiego, księżo prałacie?

— Twarz pańska przypomina mi chwilami kogoś znajomego. Ale kogo — dojść nie mogę.

— Widocznie ów ktoś nie musi być bliskim znajomym. Może jakiś spotkany na ulicy przez księdza prałata przechodzień.

— Być może. Zresztą teraz wyraz pańskiej fizjonomii znów się zmienił zupełnie i nie przypomina mi już w tej chwili nikogo.

— Bogu Najwyższemu chwała — odetchnął na pół z ulgą pan Pawełek.

— Twarze czasem powtarzają się — rzekł zamyślony ksiądz Alojzy. — I tak podziwiać należy pomysłowość matki-natury, która na tyle typów różnych zaledwie parę stwarza do siebie podobnych.

— Święte słowa księdza doktora: nawet diabeł do diabła niepodobny, nie to człowiek do człowieka.

— Znowu wyjeżdżasz waćpan z diabłami?! — upomniał ksiądz Dezydery.

— *Pardon!* Taka to już moja paskudna nawyczka. Ale to tylko z wielkiej abominacji⁷¹ do nich, proszę mi wierzyć — tylko z wielkiego wstrętu do złego, a ukochania sfer seraficznych, na honor. Ale czym mogę służyć księżom dobrodziejom moim?

— Przyszliśmy na zakupno odzieży i bielizny kościelnej — objaśnił ksiądz Dezydery, rozglądając się po sklepie. — Na razie jednak nie widzę tu tego, czego nam potrzeba. Widocznie nie urządziłeś się pan jeszcze zupełnie, panie Kuternózka?

— Do usług księży dobrodziejów. Stroje i bielizna rzeczywiście dotychczas jeszcze niewypakowane, lecz właśnie zabieraliśmy się do tego i skrzynie już pootwierane. Możemy gustować. Proszę bliżej do tych kufrów. Pietrek, podnieś wieko!

I zaczął po kolei wydobywać z wnętrza jedwabne ornaty i kapy bogato złotem szamerowane, haftami ozdobne, z kolumnami z aksamitu lub mory, wzorzyste i w różnych

⁶⁹*Maledicatur autem Satanas, creatura Gebennae* (łac.) — Zelżony zaś niech będzie szatan, nędzny pomiot piekła. [przypis redakcyjny]

⁷⁰*kontenans* (daw., z fr.) — pewność siebie, odwaga. [przypis edytorski]

⁷¹*abominacja* (z łac.) — wstręt, odraza, obrzydzenie. [przypis edytorski]

kolorach, dalmatyki złociste z prawdziwego brokatu, stuły adamszkowe, tuwalnie⁷² jedwabne i tiulowe, sukienki trójdzielne na cyboria i bursy⁷³ do wiatyku⁷⁴.

Aż pojaśniało księżom w oczach od przepychu ozdób i arcyzmu ornamentów.

— Piękny wybór — szepnął z uznaniem ksiądz Dezydery.

— Może by zaraz spróbować, księżę pralacie? — kusił usłużny gospodarz. — O, ten zielony, świąteczny, obsyty złotym galonem z brokatu, co? Zaraz pomogę ubrać.

I nie czekając odpowiedzi, już wkładał księdzu przez głowę kosztowny, kapiący od złota ornat.

— Cudownie! Leży jak ulany! — zachwycił się, odstąpiwszy parę kroków i obserwując z daleka. — Proszę przekonać się w lustrze! O tu, w kąciaku, na tej ścianie.

Ponure oblicze pralata promieniało zadowoleniem; ornat rzeczywiście przypadł mu bardzo do gustu.

— Kusicielu — mówił z uśmiechem, wyrównując fałdy. — Kusicielu...

Kuternóżka już był przy drugiej pace i rozkładał przed gośćmi bieliznę kościelną. Ręce jego delikatne, niemal kobiece, z lubością ujmowały palki⁷⁵ z lnianego płótna obszyte koronką, korporaly⁷⁶ haftowane, puryfikaterze⁷⁷, ręczniki i humerały⁷⁸. W palcach jego długich a wąskich, pokrytych pierścieniami ze szmaragdu i onyksu, przesuwają się z cichym szelestem rażące oko bielą alby, tchnące specyficzną wonią świeżego płótna obrusy na ołtarze, komże batystowe, komeżki, pasy morowe czarne, manszety, kołnierzyki, koloratki, szarfy i kaszmirowe birety.

— A w tym zasieku — objaśniał, przechodząc do sąsiedniej skrzyni — mamy *umbracula*⁷⁹ przed monstrancje w ramach złożonych lub politurowanych wedle żądania, antypedia haftowane w kwiaty lub liście winogrodu i baldachimy z jedwabnego adamaszku z frędzlami. Ponadto sprzedajemy na metry po możliwie niskich i przystępnych cenach aksamit jedwabny i wytłaczany, brokat w desenie kwiatowe, adamaszek wełniany i *bordeaux* lub zielony plusz...

Prałat zatkał uszy przed potokiem wymowy Pawełka.

— Dość już, dość! — przerwał mu zniecierpliwiony. — Napełniłeś mi waćpan uszy szumem.

— Zupełnie jak diaboliczny Doktor z *Kordiana* — odparował niezrażony Kuternóżka. — Ksiądz prałat znakomicie obznajomiony z poezją Słowackiego; znać silne reminiscencje literackie w jego stylu.

Ksiądz podniósł nań zdumione mocno oczy; widać było, że nie poczuwał się wcale do imputowanego mu znawstwa.

— Nic nie szkodzi — drwił w dalszym ciągu Pawełek — takie reminiscencje wychylają czasem nieoczekiwane przez nikogo głowy spod progu świadomości.

Prałat spojrział porozumiewawczo na swego duchownego towarzysza. Lecz ksiądz Alojzy jakby czymś zawstydzony unikał tego spojrzenia, spuszczać nisko powieki na przeczysty lazur swych zamysłonych oczu...

Wielki post szedł coraz głębszy. Krucyfiksy na ołtarzach otulono w czarną krepę, księża przywdziewali do mszy fioletowe szaty, w świątyniach pod nieszpór rozbrzmiewały *Gorzkie żale*: Kościół powoli wstępował we fazę ponurych rozmyślań i pokuty. W późne marcowe popołudnia, gdy już chore słońce przedwiośnia, wkradłszy się przez szyby witra-

⁷²*tuwalnia* (z łac.) — rodzaj szala z delikatnej materii, poprzez który ksiądz ujmuje monstrancję w czasie błogosławieństwa. [przypis redakcyjny]

⁷³*bursa* (z łac.) — [tu:] rodzaj jedwabnego futerału na przechowywanie pateny, czyli małego metalowego talerzyka, na którym kładzie się hostię w czasie mszy. [przypis redakcyjny]

⁷⁴*wiatyk* (z łac. viaticum: prowiant na drogę) — w chrześcijaństwie (zwl. w katolicyzmie) komunია święta podawana choremu na łożu śmierci; ma ona stanowić „pokarm w drodze do życia wiecznego”: stąd nazwa. [przypis edytorski]

⁷⁵*palka* (z łac.) — podwójna, kwadratowa chusta do nakrywania kielicha i pateny. [przypis redakcyjny]

⁷⁶*korporal* (z łac.) — biały, lniany obrusik, na którym kładzie się hostię w czasie mszy. [przypis redakcyjny]

⁷⁷*puryfikaterz* (z łac.) — białe ręczniczki do wycierania rąk i kielicha w czasie mszy. [przypis redakcyjny]

⁷⁸*humeral* (z łac.) — białe, lniane chusty, wdziewane przez księdza pod albę i ornat. [przypis redakcyjny]

⁷⁹*umbraculum* (łac.) — rodzaj ekranu, którym przesłania się monstrancję z Najświętszym Sakramentem w czasie kazania. [przypis redakcyjny]

ży, stroiło w pożegnalne glorie figury świętych i malowidła posowy⁸⁰, a wczesny zmrok wchodził w znowę z cieniami po wnękach i niszach, rozlegały się w ciszy kościelnych ustroni jakieś szeptu stłumione, wstydlive westchnienia piersi przytłoczonych grzechem, krótkie, z głębi dusz skruszonych wydarte szlochania. Czasem przerywał szmery ust niewidzialnych poważny głos księdza, gdy spowiedź skończył i odpuszczenia udzielał; i wtedy padały z wnętrz konfesjonałów na rany dusz niby balsam kojący słowa ulgi, pokrzepienia, pociechy... *Ego te absolvo*⁸¹.

A żniwo duchowe mieli tego roku spowiednicy nad spodziw obfite. Jakaś wielka, od lat niewidziana fala pokuty przeszła przez miasto i porwała w nurty żalu i kajań się serdecznych ludzkie pogłowiu, że przyprzywem ogromnym w wichrze bólu i skruchy garnęło się tłumnie do stopni ołtarzy. Ksiądz Dezydery święcił pełny tryumf.

Bo też nigdy jeszcze nie rozgrzmiewał głos jego tak donośnie w murach kościelnych, nigdy jeszcze kazania jego nie zionęły takim żarem płomiennej wymowy, jak w pamiętny dla mieszkańców miasta okres wielkopostny roku 19^{**}. Prałat przeszedł sam siebie. Nauki jego wygłaszane z ambon katedry, kościoła farnego na przedmieściu, u św. Teresy, u oo. bonifratrów, rekolekcje dla kobiet u św. Barbary i dla mężczyzn w kościele św. Krzyża nacechowane były iście jehowiczną wielkością i siłą. Drżenie szło po rzeszach wiernych, gdy tam w górze nad łanem ludzkich głów ukazywała się jego postać wyniosła, imponująca i gdy zabrzmiął wśród arkad i transeptów głos jego potężny, metaliczny, lapidarny. I zdawało się ludziom, że duch któregoś z biblijnych proroków wstąpił w chwili osobliwej w ciało tego olbrzyma i każe przez usta jego słowem dziwnie mocarnym, dla uszu grzeszników na miarę czasów Jehowy przeznaczonym. Migotały w nim błyskawice, szalał piorun, przewalała się purpura krwi; kazania księdza Dezyderego miały barwę ponurej czerwieni. Średniowieczny ich patos przejmował dreszczem i kruszył w proch dusze — posępna namiętność wyważała z zawiasów najoporniejsze wrzeciędze, druzgotała na miążgę skruchy najzatwardzialsze, posiódmym pierścieniem bastionów opancerzone serca. Groza zawitała do świątyń Pańskich, straszliwa groza sądów Bożych i przygięła nisko ku ziemi krnąbrne karki...

I zląkł się szatan-przeniewierca na widok ludzkiego kajania, i zadrzał na odgłos razów tarzających się w żalu pokutników. Od lat już, od wielu, wielu lat nikt nie przypuścił doń tak silnego ataku.

Bo treścią nauk wielkiego kaznodziei była walka z Przeklętym i Odrzuconym od oblicza Pana — walka tytaniczna, walka na śmierć i życie. Przytajonego od wieków za szaniami nauki i „oświaty”, unieszkodliwionego pozornie przez „postęp”, zagłuszonego śmiechem „światłej ironii w. XX” wywłókl ksiądz Dezydery z mrocznych komyszy na jaśnie dnia i postawił pod pręgierz. I bił go pletniami⁸² z żelaza i cierni, smagał kańczugami gniewu i oburzenia, wyszarpywał szponami słów sępicz z zaułków ludzkich serc, zawleczonych na głucho przedzą kłamstw kryjówek. Na pazury szło, ona kły, na pięstuki⁸³...

Najgorliwszym słuchaczem księdza Dezyderego był Pawełek Kuternóźka. Oparty o podnóża ambony, w czarnej, podniszczonej mocno zarzutce z podniesionym do góry kołnierzem, łowił chciwym uchem każde słowo wielkiego kapłana. Czasem na ustach jego mięsistych, z dolną wargą wygiętą silnie na zewnątrz, wałęsał się nieokreślony uśmiech, na poły drwiący, na poły melancholijny, czasem wąsy długie, ku dołowi spuszczone, poruszały się ruchem hamowanej konwulsji; po twarzy szarooliwkowej, porytej siatką zmarszczy i kolein, przebiegał skurcz ponurej radości, a nerwowe oko lewe mrużyło się bez przerwy w bezliku drgawek.

Gdy po nabożeństwie lub po nauce rekolekcyjnej prałat opuszczał kościół bocznymi drzwiami przez zakrystię, na progu czekał już nań Pawełek, by wśród głębokich ukłonów i tysięcznych pochwał na temat kazania uprowadzić go z sobą do „pracowni z dewocjonaliami”.

I rzecz szczególna — ksiądz nigdy nie odmawiał. Pociągnięty magnetycznym wpływem tego dziwnego człowieka, szedł z nim chętnie do sanktuariów sklepowych, w których spędzali razem długie godziny wieczorne na wspólnej lekturze i debatach. Kuter-

Mężczyzna, Ksiądz, Diabeł,
Marzenie, Kuszenie

⁸⁰posowa (daw.) — sufit, powała. [przypis edytorski]

⁸¹ego te absolvo (łac.) — formuła, którą ksiądz kończy spowiedź: rozgrzeszam cię. [przypis redakcyjny]

⁸²pletnia — plecionka. [przypis edytorski]

⁸³na pięstuki — na pięści. [przypis edytorski]

nóżka otwierał kluczem sekretnym duży, losiową skórą obity kufer i gościnnie dzielił się z prałatem jego zawartością. Z przepaścistego wnętrza skrytki wynurzały się ku światłu wieczornej lampy stare, stęchlizną czasu trącające księgi, pergaminy i rękopisy, średnio-wieczne rozprawy o diable i jego praktykach, traktaty o przewrotności demonów i demonolatrii⁸⁴. Przed oczyma niesamowitych przyjaciół roztwierały się ponure perspektywy zamierzchłych wieków, rozświetlane krwawą luną stosów autodafe⁸⁵. Z posępnych kraterów mroku wychylała się smągła postać „Nadolnego Pana” z twarzą wykrzywioną w grymas uśmiechu i przeoraną spazmem bólu bez kresu, bez granic. Przed zdumionym ich spojrzeniem przeciągały rzesze wpół obłąkanych kobiet, nagich, bezwstydných, płcią opętanych — pełniły się ohydne akty spółki z diabłem — odprawiały świętokradcze zbory i ceremonie...

Ksiądz Dezydery chłonał w siebie straszliwą lekturę z zaciekłością i furią fanatyka: w przeciągu tygodnia opanował zrab demonologicznej literatury. Pawełek podsycił żar i dolewał oliwy, to tu, to tam dorzucając jakąś trafną uwagę, podsuwając domysł, uzupełniając luki. Usłużny, grzeczny a skromny, nie imponował swą wiedzą; usuwał w cień swą nikłą osobę, a wysforowywał na plan pierwszy gigantyczny kontur szatana.

I wychodził ksiądz Dezydery z „pracowni” Kuternóżki przejęty świętą grozą zła i grzechu, umocniony w zbożnej nienawiści do pana piekieł i podjudzony przeciw niemu do ostateczności. Toteż kazania jego stawały się z dnia na dzień bezwzględniejsze, z dnia na dzień świstały doniosłej z ambon smagańce jego słów.

Za przykładem prałata katedralnego poszli inni księża, zwłaszcza mnisi i oo. misjonarze, i wszystkie kościoły drżały od echa piorunów miotanych z kazalnicy na Przekłętogo.

A Pawełek słuchał i cichutko chichotał. Mały, pocieszny człeczyna...

Wkrótce przyszedł czas na owocobranie. I zaprawdę bujnie obrodziła roku tego winnica Pańska i ugięła się potycz winogrodu od gron pełnych, soczystych, lubo w smaku cierpkich. Pod stopy konfesjonałów przypadały tłumy obłąkanych grzechem kobiet, by w obliczu kapłana zrzucić brzemię uczynków cielesnych, słów lubież⁸⁶ sytych i myśli pochutliwych. Padały w uszy spowiedników wyznania straszliwe, od lat niesłyszane, i zalewały im zamyśloną twarz luną wstydu i sromu. Wywabiony z zaułków, wywołany z głuchych ostępów diabeł zdawał mścić się za przerwanie mu wiekowej drzemki i rozpuścił z pasją swe wściekle zagony. Przeważały się dusze w kale porubstwa i żalu kajania...

Wtedy Pawełek poddał przyjacielowi myśl odprawiania drogi krzyżowej poza obrębem świątyni.

— Uwaga ksiądz prałat — tłumaczył mu, mrugając okropnie lewym okiem — chodzi o wywołanie większego wrażenia. Trzeba przerzucić punkt ciężkości obrzędu poza mury kościoła; w czterech zamkniętych ścianach wszystko jakoś kurczy się i gubi — a tu konieczny jest efekt i silny, szeroki gest. Potrzebna jest nieodzownie przestrzeń i jej patos. Sam trud fizyczny wędrowki od stacji do stacji zrobi swoje; poza tym łatwiej nasuną się analogie z pierwowzorem Kalwarii Chrystusowej i narzucą potęgą sugestii pożądany nastrój.

— Tak, tak, masz waćpan słuszność, ale gdzie tu znaleźć odpowiedni teren? Sądzę, że dziedziniec farny nie bardzo by odpowiadał celowi.

— Naturalnie, że nie. Lecz czy nie można by tak poprosić oo. bonifratrów o odstąpienie nam na czas wielkopostny klasztornego ogrodu? Teren wspaiały, wymarzony! Te tarasy, te zakręty!

Oczy księdza Dezyderego zapłonęły entuzjazmem.

— Wyborny pomysł! Jedyne miejsce! Dziś jeszcze pomówię z przeorem.

Jakoż pomówił i uzyskał pozwolenie. Pawełek natychmiast po otrzymaniu przychyłnej odpowiedzi zabrał się do urządzenia drogi i przez parę dni niemal nie wychodził z klasztornego ogrodu. Otoczony zastępem gorliwych cieśli, którzy dla pobożnego celu dobrowolnie ofiarowali swe usługi, budował na zboczach ogrodowych kapliczki, wznosił krzyże i stylizował stacje. W połowie czwartego tygodnia wielkiego postu przygotowa-

⁸⁴demonolatria (z łac.) — kult demonów. [przypis redakcyjny]

⁸⁵autodafe (z port.) — palenie na stosie. [przypis redakcyjny]

⁸⁶lubież — lubieżność. [przypis edytorski]

nia ukończono i w najbliższy piątek, dnia 7 kwietnia, odprawiono po raz pierwszy drogę krzyżową pod otwartym niebem.

Dzień był przecudny. Wiosenne słońce, zatoczywszy półpełny krąg na błękitcie, skłaniało się powoli ku zachodnim zrębom i cisza ogromna, popołudniowa rozpięła się nad ogrojem. Około godziny piątej wielka rzesza wiernych zgromadzona u wrót wchodowej zanuciła starą a rzewną *Skargę Matki Boskiej pod krzyżem* i za przewodem księdza Dezyderego ruszyła ku pierwszej stacji.

Droga wiła się krętą linią dookoła wzgórza ogrójcowego; nad wysypaną piaskiem i żwirem ścieżką nachylały się nagie jeszcze splawy drzew, przecinając posowę nieba siatką czarnych konarów i gałęzi. Miejscami rozszerzała w przestronną wstęgę traktu, ściany parowu rozstępowały się na boki lub zapadały pod poziom i odsłaniał się widok na majaczące w dali kontury Karpat. Pod zorzę wieczorną, co krwawą skargą rozlała się tam hen, hen na zachodzie, brzmiała melodia lysogórskiej pieśni. Wiatr przedmierzchowy, z dalekich gór rodem, wiatr, co przywędrował aż tutaj parowami rzek i wód skalnym wydrożem, porywał na ściśle skrzydła i niósł w przestrzeń słowa stare, czcigodne, duchem praojców przejęte:

Synku miły i wybrany,
Rozdziel z Matką Swoje rany!
A wszakom Cię, Synu miły, w Swym sercu nosiła
A takieć Tobie wiernie służyła!...
Przemów k'Matce, bych się ucieszyła,
Bo już idziesz ode mnie, moja nadziejo miła!...

Tak doszli do stacji pierwszej. Na obszernej, krzewami ożyn i ligustru obrzeżonej platformie wznosiła się ku niebu niby akt strzelisty kapliczka z wizerunkiem Jezusa postawionego przed sądem w pretorii.

Umilkła pieśń, stanęły procesyjne feretrony, przywarli do ziemi ludzie. Na czoło orszaku wysunął się zastęp mnichów w podniesionych do góry kapturach i zaintonował głębokim chórem pieśń nową:

Rozmyślajmy dziś, wierni chrześcijanie,
Na śmierć okrutną Jezusa skazanie,
Gdzie niewinnego Piłat dekretuje,
Z łotry winuje⁸⁷...

Melodię przeciągłą i smutną jak jęk jesiennej wichury pochwyciła ze strony przeciwnej rota pielgrzymów i odpowiedziała zgodnym refrenem:

Gdzie niewinnego Piłat dekretuje,
Z łotry winuje.

Wtedy lud klęczący w szerokim półkręgu dookoła stacji podjął nutę i wzmocnił rezonans setek piersi. I płynęła w dal siną, podwieczorną niby echo — wspomnienie zamierzchłych zdarzeń ocknione po wiekach w klasztornej zakątku odległej, polskiej krainy...

Ruszyli w dalszą drogę. Otwierał pochód prałat w asyście kleryków, za nimi szedł orszak mnichów i pątników wędrownych z Pielgrzymem Żytomierskim na czele, potem mniszki i siostry zakonne, na koniec rzesza wiernych i pokutników. Ponad ludzkim pogłowiem jak statek na barkach fali kołysała się woskowa figura Chrystusa naturalnej wielkości; wyniosła postać Zbawiciela obnażona z szat, z krwawymi pręgami razów na plecach, pochyliła ku piersi ukoronowaną cierniami głowę i zwiesiła spętane powrozami ręce w bezwładzie zdania się na dół. Płonące dookoła Niego olbrzymie świece-triangaly⁸⁸, pozatykane w żelazne ucha na brzegach feretronu, oświetlały twarz umęczoną i bolesną nad miarę. I wyścierał sponad żywopłotu świec Bogoczłowiek umęczony okrutnie

⁸⁷winować (starop.) — obciążać winą, oskarżać. [przypis edytorski]

⁸⁸triangal (z łac.) — świecznik trójramienny. [przypis redakcyjny]

i smutny aż do zgonu niby wieczysty symbol — pamiątka ludzkiej złości i ludzkiego pohańbienia. *Ecce homo*⁸⁹!...

W jakiejś chwili spojrzenia roty krzyżowej kierowane jakby tajemną wolą skupiły się wszystkie na tym gorejącym feretronie i z piersi tysiąca buchnęła lawina rozdzierająca pieśń:

Ludu mój, ludu, cóżem ci uczynił?...

Gdy dochodzili do stacji piątej, wzniesionej po prawej stronie drogi na piaszczystym wydmuchu w okolu czterech wierzb płaczących, wystąpił z grona pątników zgarbiony, w brązowy habit przyodziany Pielgrzym z Żytomierza. Pokutnik, kryjąc twarz pod skrzydłami szerokiego kaptura, wyprzedził czoło procesji i schyliwszy się przed kapliczką stacyjną, podjął z ziemi i dźwignął duży, drewniany krzyż...

Gdy nadciągnęła reszta orszaku, ksiądz Dezydery ukląkł przed wizerunkiem Chrystusa upadającego pod krzyżem i pozdrowił Go słowami na pół pieśni, na pół molowego *recitativa*:

— Klaniamy Ci się, Chryste, i błogosławimy Tobie!

— Żeś przez Krzyż Twój święty świat odkupić raczył — dopowiedziały tłumy i przeszły zaraz do motywu zasadniczego stacji:

Cyreneusza pod ciężar krzyżowy
Przyjmuje Jezus; a wszystkim gotowy
Zapłacić niebem, kto Mu w tej ciężkości
Ulży z litości.

Za przykładem Pielgrzyma z Żytomierza poszło kilkunastu pątników, biorąc na barki brzemię krzyży, których stos wielki leżał przygotowany na stopniach kapliczki. Odtąd aż do końca drogi wstępował w górę las krzyżowy i wahały się czarne ramiona rozpostarte nad głowami ludzi złowieszczym błogosławieństwem...

Przy stacji szóstej wysunęła się z grona zakonnych dziewic młoda, przecudnej urody mniszka i trzymając wysoko nad głowami śnieżnobiałą chustę z wizerunkiem twarzy Chrystusowej, stanęła na czele pochodu. Wtedy lud, zakołysawszy się falą zbożowego łanu, uczcił krzyżowy postój pieśnią rzewną a prostą:

Pełna gorzkości święta Weronika,
Smutne łzy lejąc, z Panem się spotyka,
A gdy twarz Jego tuwalnią ociera,
Portret odbiera.

Lecz zanim zabrzmiały powrotnym echem słowa refrenu, zaszło coś niespodziewanego. Oto Pielgrzym z Żytomierza, zapatrzony w przodownicę orszaku jak w wizję z zaświatów, wyciągnął ręce i począł iść ku niej w zachwycie; oczy opętane pięknnością dziewicy tonęły w jej twarzy, usta drżące od dreszczy ekstazy powtarzały szeptem upojenia:

— Weronika! Weronika! To ona! To ona!

Krzyż pokutny obsunął mu się z ramion i z głuchym stęknieniem upadł na ziemię. Powstało zamieszanie. Ludzie zaczęli szemrać, ozwały się głosy zgorszenia. Wtedy opamiętał się. Nasunął pielgrzymi kaptur, podjął krzyż i chwiejnym, kulawym krokiem wmieszał się w tłum. Przycichła na moment melodia odżyła wzmocnionym akordem i wypełniła sobą po brzegi chwilową przerwę. Procesja ruszyła w dalszą drogę.

Tak szli od stacji do stacji wśród modłów, psalmów i pieśni, wspinając się na coraz to wyższe kondygnacje wzgórze. Długi, czarny wąż ludzki wił się wielokrotnym przegubem po zboczach klasztornej góry, krzepł w chwilowym stężeniu i znów pelzał ku wyżom... Tymczasem słońce zwisło na krańcach horyzontu i oparło ogromną, czerwoną pawęż⁹⁰ o jego podnóża. Posępne, stalowosine złoża chmur rozciągnęły się nad nim kształtem ławicy i odciły od reszty nieba. Więc konało samotnie pod osłoną kirów...

⁸⁹*Ecce homo!* (łac.) — Oto człowiek! [przypis redakcyjny]

⁹⁰*pawęż* — tarcza. [przypis edytorski]

Droga dobiegała końca. Już gorzał w szkarłacie zachodu szczyt Golgoty, nagi, skalisty, z trójcą krzyży. Promienie dogasającego słońca otoczyły je ponurą glorią i krew zdawała się ściekać z rozpiętych ich ramion. I stały w posoce agonii trzy drzewa męki, kaźni i sromu, i wygrażały niebu kikutami uschłych rąk. Jakieś duże, żałobne ptaki, które usiadły im na barkach, lśniły z daleka w pokrwawiu słońca czarnometalicznym połyskiem skrzydeł...

Siostry zakonne zaintonowały *Stabat Mater*. Jakby wywołany słowami gorzkiej pieśni, zerwał się skądś od parowów wiatr i przesybowawszy chryżym przelotem przez Kalwarię, zapadł gdzieś po tamtej stronie góry w ogrójcowym jarze. Od miasta nadpłynęły dźwięki zegarów: biła godzina szósta. Ludzie poklękali. Ksiądz Dezydery przystanął i wznosił rękę do błogosławieństwa. W promieniach żegnającego świat słońca ręka ta rzuciła na drogę cień ogromny, daleki w zasięgu i nasycony czernią. A kontur jego był dziwny: na piasku ścieżki zarysował się ostro profil kozła; wytknięta w przestrzeń para rogów wyzywała do walki, garbaty nos z wykrojem ust pod spodem poruszał się z wyrazem sardonicznego szyderstwa, przedrzeźniała się światu kosmata broda...

— *Benedico vobis*⁹¹! — błogosławił kapłan.

Szmer powstał w szeregach orszaku.

— Co to?! Popatrzcie tam, na ścieżkę!...

Zobaczyli złowieszczy cień. Ksiądz Dezydery rzucił okiem na widmo swej ręki i natychmiast opuścił ją w dół. Lecz spostrzegł się za późno. Ludzie z czoła pochodu ujrzeli już szatański wizerunek i podawali sobie wiadomość z ust do ust. Po chwili wiedzieli wszyscy. Po tłumie procesyjnym przeszedł niesamowity lęk i groza. Wśród ostatnich akordów dogorywającej pieśni odezwały się nagle histeryczne łkania kobiet. Jakieś dwie mniszki wybuchnęły spazmatycznym śmiechem i tocząc z ust pianę, rzuciły się w konwulsjach na ziemię. W tej chwili słońce zgasło. Gwałtowny zmrok runął od zachodnich rubieży świata i zalał poćmą przestworza. W wąwozach rzecznych zawył wicher i przypuścił szturm do ogrójca. Zakręcił piaskiem ścieży, zawrócił piekielnego młyńca i zaczął borykać się z szkieletami drzew. Ze świstem wiatru i skrzypem rozchwieutanych konarów mieszały się krzyki mężczyzn i kobiet. Przy blasku zapalonych nagle pochodni ujrzano, jak krzyże golgotowe z głuchym trzaskiem zwały się na ziemię; zwycięski orkan porwał ich odłamki i siepnął nimi o wystercz skalną na zboczu drogi. Na kirach nieboskłonu zaświtał krwawy zygzak piorunu i wśród ogłuszającego huku uderzył w wieżę farnego kościoła.

— Boże, bądź nam miłościw! — szeptały zbielełe wargi. — Boże, zmiłuj się nad nami!

Zwinęte w kabłąk postacie wiły się w skurczach nerwowego ataku na ścieżkach i u stóp kapliczek, tarzały się w konwulsyjnych podrzutach po spychach wzgórze, staczały bezwładem rzeczy martwych w gardziele parowów. Popłoch i rozprężenie wtargnęły dzikim zastępem w łono ludzkiej rzeszy, wybladły strach rozszerzył źrenice, zakłaniał zębami. Rzucili się do ucieczki...

Smagani biczami dżdżu, olśnieni blaskiem błyskawic, odurzeni hukiem gromów, pędzili ludzie na oślep przed siebie, potykając się o ciała leżących, przewracając na kamieniach, tłukąc o pnie drzew. Wśród nieprzeniknionych ciemności długo jeszcze rozbłyskiwał ogród klasztorny ogniami żagwi migających to tu, to tam w szalonej gonbie rozpiętych świateł. A koło godziny dziesiątej w nocy, gdy już przeszła burza i ścichły pioruny, wyruszył z opactwa oo. bonifratrów furtą do ogrodu zastęp ojców z latarkami. Przy nikłym świetle lampek i kaganków szukali na szkarpach ogrójcowych zabłąkanych braci i omdlałych sióstr. I znaleźli kilkoro.

ŚWIĘTOKRADZTWO

Smutno upłynęły tego roku święta Wielkiej Nocy. Złowieszczy cień drogi krzyżowej zda się padł i na dzień Zmartwychwstania, przesłaniając żałobą słoneczne ich szlaki. Nie było wesela w ludzkich sercach i ponuro jakoś grały wielkanocne dzwony...

Minęły święta, minął kwiecień i zawitał maj. Po sadach zakwitły jabłonie i grusze, stanęły w wiosennej krasie drzewa śliw. Z ogrodów płynęła słodka woń czeremchy, za-

⁹¹*Benedico vobis* (łac.) — błogosławię wam. [przypis redakcyjny]

pachniały bzy. Rok zapowiadał się dobry, chłopstwo z okolnych wsi wróżyło rzęsny⁹² plon...

Około połowy miesiąca spadła mszyca i rudą rdzą przeżarła kwiaty i warzywa. Jakieś obrzydliwe robactwo rzuciło się na drzewa owocowe i w ciągu kilku dni zniszczyło nadzieje sadów.

Gdzieś pod koniec maja pojawiły się na przedmieściach podejrzane włóczęgi, ohydne dziady prozalne i zalały trędowatą, schorzałą zgrają podmiejskie zaułki i gospody. Zwłaszcza na „Bugaju” zaroilo się od tego plugastwa w sposób niebywały. Przedmieście sprawiało wrażenie *panopticum*, w którym wystawiono na pokaz wszystkie potworności i całą ohydę ludzkiego ciała. Z każdej niemal uliczki wychodziły na spotkanie postacie okrutnie okaleczone, bez rąk, bez nóg, z garbami na powykęcanych śmiesznie kręgosłupach, bez nosów, z wygasłymi jamami ust, na każdym prawie zakręcie witały przechodnia mordy pół ludzkie, pół zwierzęce, rozkwiecane dzikim, gorączkowym błyskiem zakaprawionych ślepi, wyciągały się po jałmużnę potworne łapy, wybujale do rozmiarów łopat obciągniętych skórą barwy szaropopielatej. W pyle gościńców, na stopniach kościołów i przed furtą cmentarną wystawali żebracy chorzy od lat na *elephantiasis*, zniekształceni przez straszliwy przymiot⁹³ i z daleka cuchnący, włóczęgi owrzodzone na całym ciele, ostrzegające na kilkanaście już kroków smrodem łachmanów, obieżyświaty zatracone, którym krew toczył powoli jad zaszczipiony przez uliczną Wenerę...

Rozlazilo się to ludzkie robactwo po domach, ogrodach, po przydrożnych zajazdach i austeriach, obozowało na wygonach lub podmiejskim majdanie, przemycalo się nocą do stodół i szop, tuliło po strychach, pod okapami.

Gdy pod koniec miesiąca nastaly gwałtowne upaly, nędzarze ci otaczali tłumnie studnie, wrywając jedni drugim z rąk wiadra i stągwie. W blaskach majowego słońca perliły się srebrzyste bryzgi wody rozlewanej rozrzutnie przez przybłędów, obluzugując ich rany i splukując wrzody. A gdy zaspokoiwszy pragnienie, chore włóczęgi odstępowały narzeczcie od studzien i fontann, pozostawaly po nich niby pamiątka na zrębach cystern i wargach konch gruźli jadowitych wybroczyn i gęstej, zielonawożółtej ropy...

W końcu u schyłku miesiąca, w okresie Dni Krzyżowych⁹⁴, wybuchła na „Bugaju” zagadkowa choroba. Pierwszą jej ofiarą był kuśnierz Wyrostek, który w samo południe, przechodząc przez targowicę przedmieścia, upadł nagle na bruk z przeraźliwym okrzykiem i wśród okropnych męczarni wyzionął ducha w przeciągu kilku minut. Tegoż popołudnia umarło wśród podobnych objawów pięcioro ludzi. Wszyscy mieli po śmierci twarze stalowosine, na ustach czerwoną pianę, a pod pachami duże, krwią nabiegłe obrzękliny. Nazajutrz zaraza rozszerzyła się gwałtownie, ogarniając całe przedmieście: nie było domu, do którego by nie zawitała w gościnę. Ludzie ginęli dziesiątkami jak muchy; czarny mór zwał ich z nóg, gdzie tylko dopadł: na ulicy, w kościele, po sklepach, w domu. Nie uchował się przed nim nikt, kogo upatrzył sobie za ofiarę; nie było takiej kryjówki, z której by go nie wywlokły szpony niewidzialnego wroga, nie było tak grubego muru, przez który by go nie dosięgły. Paniczny strach ogarnął pozostałych przy życiu, którzy w dzikiej ucieczce rzucili się ku miastu i rogiatom. Lecz tu zastali wszystkie drogi zamknięte: żelazny kordon wojska zawrócił ich do gniazda zarazy. Komisja sanitarna wysłana z metropolii rozbiła w samym środku przedmieścia baraki i tu tylko pozwalała szukać ratunku. Lecz nie pomogło poświęcenie trzech młodych lekarzy, którzy podjęli bohaterką walkę z niewidzialnym przeciwnikiem; dnia czwartego ulegli i oni kolejno jeden po drugim, wypuszczając ze skostniałych palców syringi⁹⁵. Zwycięski mór szalał dalej...

Choroba, Żebrak, Miasto,
Ciało

⁹²rzęsny — dziś raczej: rzęsisty. [przypis edytorski]

⁹³przymiot a. *przymiotna choroba* (daw.) — kila, syfilis. [przypis edytorski]

⁹⁴Dni Krzyżowe — w chrześcijańskim kalendarzu liturgicznym: wiosenne dni modlitw o urodzaje i za gło-dujących, obchodzone przez trzy kolejne dni poprzedzające uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego, wypa-dająca tradycyjnie w czwartek 40 dni po Zmartwychwstaniu, czyli święcie Wielkanocy, zapoczątkowane w po-łowię V w. przez św. Mamerta, biskupa Vienne. Ponieważ Wielkanoc jest świętem ruchomym, obchodzonym w pierwszą niedzielę po pierwszej wiosennej pełni księżyca i może wypaść najwcześniej 22 marca, a najpóź-niej 25 kwietnia; Dni Krzyżowe mogą wypaść, zależnie od roku, w ostatnie dni kwietnia lub później, aż do początków czerwca. [przypis edytorski]

⁹⁵syringą (z wł.) — strzykawka lekarska. [przypis redakcyjny]

Wtedy oczy wszystkich zwróciły się na księdza Dezyderego: ponury prałat za niemą zgodą mieszkańców „Bugaju” objął nad nimi duchowe dowództwo. Porzucił więc swe zaciszne mieszkanie przy pałacu biskupim koło katedry i przeniósł się do małego, dzikim winem opiętego domku na przedmieściu, by wziąć w swe mocne, stalowe ręce rząd dusz potępieńców.

Zaczął od procesji błagalnych. W dąbrowie na wschodniej rubieży „Bugaju” spuścili drwale olbrzymie, stuletnie drzewo, poobcinali konary, ogołocili z gałęzi. Przyszli cieśle, ściosali pień, wygładzili granie, przybili potężną przecznicę i zrobili krzyż. Potwornych rozmiarów, bo na 20 metrów długie, a na 8 szerokie drzewo męki, poświęcone w kościółku św. Wojciecha na Przyłaskiej Kępie, spoczęło na barkach pokutników; wspierając jedni drugich, w znoju, w pocie i udręce, z oczyma nabiegłymi krwią, w zgrzebnych koszulach, parcianych opończach lub szorstkich, z wyciętymi po bokach na ręce otworami worach, dźwigali ten krzyż pokutny z pieśnią na ustach, a rozpaczą w duszach. I szła straszliwa procesja przy blasku świec ogromnych, triańców w kształcie trójgranu⁹⁶, gromnic śmiertelnych i latarek krepą osnutych przez ulice przedmiejskie, place, sady, ogrody, wlokła się wśród jęku dzwonów pod turkusową kopułą majowego nieba przez pola, ścieżki i drogi, prażona żarem szalejącego słońca, śniada od pyłu, szara od kurzawy, którą wiatr skwarny wzbijał tumanami nad ludzkim pogłowiem. Z zachrypłych od prochu krtani, ze zduszonych strachem gardzieli płynęła ciężka jak roztopiony ołów i groźna jak potępienie melodia suplikacji: „Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!”...

W skwarze dnia upalnego, w pogodę pastwiącego się jak na ironię słońca biła z ziemi w przeczysty lazur nieb okrutna skarga-modlitwa.

Pośród lanu głów czernił się krzyż-olbrzym długą, żalobną, wyciągniętą sztywnie belką i posuwał się powoli naprzód w podrzutach barków i pleców. Gdy wyczerpani ciężarem pokutnicy walili się z nóg i omdlewali ze znużenia, w miejsce ich podsuwali się pod brzemię inni, by dźwigać je dalej w męce i katuszy. Wiatr wplątywał im się we włosy i wichrzył w nich nielitościwie, szarpał dziko krucze i płowe bugaje⁹⁷ niewiast. Z opuszczonych nisko ku ziemi przez drętwiejące palce świec ściekały cicho duże, gorące łzy...

Pod wieczór, gdy już rozpałało się na niebie pokrławie zachodu, a spod uznożonej ziemi zdały się iść w bezmiary przestrzeni strzeliste akty bólu i rozpacz, zatrzymała się procesja przed jedną ze studzien. Tu w blaskach konającego słońca pochylała się nad marmurową konchą wodotrysku słodka postać Madonny. Ostatnie rzuty promieni całowały koralową pieszczotą stopy Przedziwnej, spływając po fałdach jej szat na lśniąca miriadem⁹⁸ migotów gładź wody. Z przepelnionej po brzegi muszli przelewał się z szelestem zatruty jadem płyn i ściekał srebrzystym obrusem w zbiornik cysterny. Wśród ciszy wieczora zabrzmiał głęboki, metaliczny głos księdza:

Śliczna Panno, Gwiazdo czysta, Maryja!
Opiekunko źródeł, studzien, Maryja!

— Maryja! — podjął melodię tłum. — Maryja! O Maryja Królowa!

Poszybowiała pieśń przez wieczorne mroki hen, w dal, pomiędzy domy i ulice, rozeszła się w szerokich kręgach po polach i łągach, aż zgłuchła gdzieś na skraju dąbrowy pośród drzewnych ustroni.

Z wysuniętym na czoło feretronem Najświętszej Panny szła procesja od studni do studni, od cysterny do cysterny, wielbiąc i adorując Opiekunkę źródeł i fontann.

A późno w noc, gdy już cienie otuliły umęczoną ziemię, orszak dziewic, usiadłszy z ołtarzykiem procesyjnym do łodzi, przy świetle pochodni odpłynął z nim na Przyłaską Kępę. Tu otoczony blaskiem żagwi i lamp jaśniał z dala w potokach światła wizerunek Przeczystej, odbierając przez noc całą hołd adoracji. Najpiękniejsze dziewice „Bugaju” błagały aż do świtu Opiekunkę studzien o uzdrowienie ich wód i źródeł...

⁹⁶trójgran — trójkat. [przypis redakcyjny]

⁹⁷bugaj (daw.) — kępa młodych pędów drzew lub krzewów; tu: włosy. [przypis edytorski]

⁹⁸miriadem — dziś popr. r.ż.: miriada. [przypis edytorski]

Aż w trzeci i ostatni z Dni Krzyżowych, w chwili gdy procesja pokutna okrążała stary cmentarz, pojawiła się nagle pośród półzapadłych grobów gromada ludzi, biczujących się wzajemnie skórzanymi pletniami po obnażonych plecach. Świst razów mieszał się z tępyim stękiem smaganych ciał i jękiem modlitwy:

— Boże, bądź nam miłościwi! Boże, zlituj się nad nami! W potokach krwi naszej ugaś, Panie, pożar Twego gniewu!

I siekli się bez litości po barkach, po ramionach, po lędźwiach, bili kańczugami kurczące się od bólu plecy, chłostali do krwi skórę. Mężczyźni, niewiasty zamężne, dziewczęta, dzieci nawet. Żar pokutniczy przemógł wstyd i bez sromu wystawiały kobiety grona piersi na razy smagańców. Spłynęły strugami krwi białe łona, pokryły się siecią sinych pręg cudnie sklezione biodra i kulsze...

Umilkła pieśń procesji; zahipnotyzowana widokiem samodręczycieli rzesza zatrzymała się u cmentarnego obejścia i jak skamieniała śledziła ruchy opętańców. Ponad krzyk ich pohutnywania wybił się nagle ostrym, wibrującym tonem czyjś histeryczny śmiech. Jakaś kobieta młoda i dorodna wypadła z głębi procesyjnego zastępu i zdarłszy z siebie suknie, nastawiła śnieżne plecy pod ciosy pletni. Trysła krew, plamiąc czerwoną strugą niewieścią bieliznę.

Wtedy ogarnął ludzi jakby szal. W jednej chwili procesja rozprzęgła się. Porwani straszliwym przykładem, ogałali się z szat i z dzikim okrzykiem wtargnąwszy pomiędzy biczowników, poddawali się chłości. Inni, zwłaszcza mężczyźni, wrywali im z rąk świszczące narzędzia kaźni i z kolei zadawali sobie okrutne razy. Wkrótce na całym przedmieściu rozszalała opętana gońba flagelantów⁹⁹. Hordy zziających, ociekających własną i cudzą krwią ludzi, z podniesionymi do ciosu pętłami sznurów i rzemieni, przewalały się z jednego kąta „Bugaju” w drugi. Z żarem żądz w obłąkanych oczach wystawiały niewiasty swój biały srom pod uderzenia ważkich, Nielitościwych rąk męskich, z niewysłowionym uczuciem lubieży czuły na swych skatowanych piersiach, plecach, lędźwiach moc ich dziką, okrutną, nieubłaganą, tę samą moc, co kiedy indziej miażdżyła im łona w przesłodkim uścisku ramion i przygniatała ciężarem bioder w pieśczołach łóż... Bo poprzez mękę kaźni zrodziła się rozkosz...

Na stopniach kościółka, na tle ciemnej zieleni dąbrowy stał z krzyżem w dłoni ksiądz Dezydery. Stał olbrzymi, posepny i wodził ponurym, zamyślonym spojrzeniem po biczowniczej zgrai. Na twarzy surowej, nieprzeniknionej ni cienia wahania, ani śladu wątpliwości: kamienna, nieubłagana maska...

Z młodego zapustu¹⁰⁰ wyszła ku niemu gromadka siostr zakonnych i ukłękła na podwórku kościelnym. Smukła, niezwyklej urody mniszka wystąpiła z grona towarzyszek i powolnym, majestatycznym krokiem zaczęła iść ku stopniom kościoła.

— Siostra Weronika! — poszedł szmer po tłumie. — Siostra Weronika!

A ona, stanąwszy na progu świątynki, podawała prałatowi klasztorną dyscyplinę, błagając go słowem i oczyma:

— Ojciec duchowny, nie szczędź i mnie razów! Niechaj i na mnie spłynie błogosławieństwo kaźni!

I na oczach tłumy obnażyła się po pas, pochylając kornie w oczekiwaniu chłosty cudny luk swych pleców.

Ksiądz przyjął z rąk jej dyscyplinę i odstąpiwszy o krok jakby dla nadania sobie rozmachu, podniósł w górę ramię... Lecz w tej chwili jak spod ziemi wyrosła obok niego postać Pielgrzyma z Żytomierza. Kaptur pątniczy zesunął mu się z głowy i odsłonił zmienioną od gniewu twarz Pawła Kuternóżki. Zanim prałat zdołał spuścić karzące ramię, uczuł, jak żelazna jego ręka miażdży mu palce. Więc wypuścił pletnię ze zmartwiałej dłoni i wlepił spojrzenie w twarz napastnika. Przez długą chwilę wśród śmiertelnego milczenia tłumów mierzyli się oczyma pełnymi nienawiści.

— Łotrze! — zasyczał wreszcie chrapliwy, zdławiony od gniewu głos Kuternóżki. — Łotrze, nie waż mi się jej dotknąć!

Na dźwięk słów siostra Weronika drgnęła i podniósłszy się z klęczek, spojrzała na pielgrzyma. W oczach jej zaświtało nagle brzask straszliwego rozpoznania — zbladła, za-

⁹⁹flagelanci (z łac.) — biczownicy. [przypis redakcyjny]

¹⁰⁰zapust (starop.) — zagajnik. [przypis redakcyjny]

chwiała się i jak gołębnica śmiertelnie trafiona zatrzepotałszy w powietrzu skrzydłami ramion, upadła na wznak na stopnie kościoła...

Pod osłoną nocy skąpo rozświetlanej poświatą księżycy przemykał się Kuternóżka wzdłuż klasztornej muru. Ilekroć światło miesięczne wychynęło spoza zwałów chmar, nasunięty starannie na głowę jego kaptur pielgrzymi rzucił cień dziwaczny, ostrostożkowy.

Noc była ciepła, majowa. Sprażona całodziennym skwarem ziemia oddawała wchłonięty żar ciemnymi falami. W klasztornej ogrodzie zanosily się słowiki, pachniały bzy. Po niebie chmurnym przepływał obłoczne lawice zadumany księżyc...

Pawełek zatrzymał się przed żelazną furtą. Po namyśle nacisnął ostrożnie klamkę i próbował otworzyć. Brama była zamknięta. Wtedy uchwycił się prawą ręką za wystający jej uszak, wspiął się w górę i postawił jedną nogę na klamce drzwi. Był w połowie wysokości muru; nad nim sterczała jeszcze gładka, ceglasta ściana na 3 metry z górą.

Oparłszy się plecami o framugę bramy, z trudem utrzymując równowagę, odetchnął znużony wysiłkiem. Wtem przyszła mu pewna myśl. Wydobyl z kieszeni pątniczego burnusa duży, składany nóż i obnażywszy jego ostrze, zaczął nim wiercić dziurę w murze mniej więcej w poziomie własnego pasa. Drugą tej samej objętości wyłobił w odległości kilku centymetrów od swego prawego biodra, a trzecią ponad głową w promieniu zasięgu ręki. Skończywszy, schował nóż i przez pewien czas odpoczywał dla nabrania sił. Potem, włożywszy rękę w wywiercony przez się otwór nad głową, niby w ucho klamry, dźwignął się całym ciałem w górę. Przez chwilę nogi zawisły w powietrzu, szukając oparcia. W końcu znalazły je i skwapliwie zanurzyły się kończynami palców w wyłobienia muru. Teraz stał jak w strzemionach. Pozostał do pokonania kawałek ściany nie wyższy niż 1 metr. Szczęście mu sprzyjało. Już zabierał się do ponownego wiercenia otworów, gdy usłyszał nad głową szmer lekkiego uderzenia. Podniósł oczy i ujrzał nad sobą przechyloną spoza muru gałąź klonu rozchybotaną na wietrze. Uczępił się jej kurczowym ruchem, poderwał całym sobą wzwyż i zatknął lewą nogę w otwór górny, odbił się z całej siły. Manewr wypadł pomyślnie; w chwilę potem siedział okrakiem na zębnie szczytowym muru.

Odrzucił kaptur i otarł czoło; pełną piersią wdychował¹⁰¹ balsamiczne wonie bijące z dołu, od ogrodu. Na prawym jego udzie spoczywała zbawcza gałąź klonu, uderzając go od czasu do czasu łagodną piessczotą. Na lewo, w odległości 50 metrów stożyły się w niebo strzałami iglic klasztorne wieże. Od miejskich zegarów nadpłynęła wtedy godzina jedenasta. Dźwięk mosiężnych młotków ocucił go z zamyślenia.

„Czas już — pomyślał, otrząsając się. — Czas już na mnie”.

I zwinnie jak kot zesunął się po klonie w ogród. Tu przystanął i oparty o pień drzewa spojrzął w głąb.

Księżyc, przedarłszy się zwycięsko przez złoża chmur, wypłynął tymczasem na pełne morze granatowego nieba i siał magnezjowe blaski na ziemię. Ogród nurzał się cały w zielonosrebrzystej ich powodzi. O kilkadziesiąt kroków lśniło dreszczem wodnych zmarszczków jezioro, przedzielone na pół długim, wąskim przylądkiem, wbiegającym w jego środek. Na rozszerzonym w kształcie półwyspu wylocie przylądka biała obłana z trzech stron wodami kaplica. Przez otwarte drzwi widniał ołtarz oświecony mdłym światłem dwóch świec, w dolnej swej części przesłonięty jakąś czarną, niewyraźnie rysującą się masą. W górze, pod stropem krwawiła lampka wieczysta...

Fale jeziora podrywane co chwila podmuchami wiatru uderzały z cichym pluskaniem o kamienny zrąb kaplicy i odtrącone łagodnie od połogich jego szkarpów, wracały do łożyska. Na kalinie, co samotnie wystrzeliła tu ze skalnego zbocza, zarzucając na dach świątyni kraśne korale warkoczy, słowik lkał piosenkę miłości. W głębi poprzerywane mozaiką światła i cieni szumiało tajemniczo rozgwarem drzew tło dalsze...

Od klasztoru zabrzmiiała pieśń. Z perspektywy ogrodowych alej płynęła smutna melodia *Salve Regina*. Głosy czyste, rzewne, dziewicze. Poprzez ponurą, rozdartą od bólu arię chóru przebiegał głęboki, tęsknotą zaświatów natchniony wtór altów. U wylotu klonowej ulicy zamigotały światła świec i latarek, w półmroku drzew zamajaczył orszak mniszek.

¹⁰¹wdychiwał — dziś raczej: wdychał. [przypis edytorski]

Szły powoli, oskrzydłając potrójnym szeregiem białych, w weselne kwefy otulonych postaci wysoko na ramionach sześciu sióstr spoczywające mary. Szły powoli, z pieśnią na ustach, dźwigając beczenny ciężar przedwcześnie zgasłej towarzyszki. Na białej, atlasowej, w srebrne lilie przetykanej poduszce, w mirtowej wianka koronie spoczęła przepiękna jej głowa. Spod opuszczonych rzęs padał cień na twarz alabastrowo bladą, w rękach na piersi złożonych błyszczał w posrebrzu księżycy krzyż. Na ustach, z których skon nie zdołał zetrzeć barw koralu, zastygł uśmiech-zagadka. Zastygł i rozlał po twarzy wyraz niewypowiedziany...

Tak w noc majową, pijaną od woni czeremch i bzów noc, szła na miejsce wiecznego spoczynku siostra Weronika. A niosły ją siostry-powiernice, czyste dziewy i panny zakonne, z Chrystusem poślubnie związane...

Minęły aleję klonów, okrążyły jezioro i weszły na przylądek. Rozchybotane na wietrze płomyki gromnic dwoiły się w jeziorzanej toni i drugi orszak wylaniał się z głębi.

Gdy przestępowały próg kaplicy, wewnątrz rozbłysło wzmożoną siłą światła i odezwały się organy. W ciszy nocnej popłynęła po falach jeziora przesłodka melodia *Ave Maria* Gounoda.

Orszak mniszek rozdzielił się, przepuszczając środkiem mary. Na tle ołtarza umarzonego w lilie i konwale zaczerniał w powodzi świec katafalk. Siostry zdjęły z ramion nosze ze zwłokami i podłożywszy ręce pod ciało, ostrożnie jak dziecię złożyły je w trumnie. Przy dźwiękach nieustającej muzyki organów pochyliła się nad umarłą przeorysza i lekko dotknęła ustami jej czoła. Potem przybliżyły się ku marom po kolei inne i każda żegnała siostrę pocałunkiem rozstania. A gdy już wszystkie oddały jej ostatnią pieszczotę, utworzyły ponownie wydłużoną linię orszaku i cicho odeszły ku klasztorowi...

Umilkły organy i zgluchła pieśń — tylko światła przy burach pełgotały równym, spokojnym płomieniem. W cmentarnej ciszy, w okoku kwiatów i wieńców, w osamotnieniu śmierci bezwzględny pozostała siostra Weronika; z uśmiechem na ustach, z pogodą na białym, marmurowym czole spała słodko na śnieżnej pościeli...

Jak wryty stał Pawełek pod klonowym drzewem, śledząc przesuające się przed oczyma podobne wizjom snu obrazy. Lecz gdy zgasły ostatnie akordy muzyki i cisza śmierci zaległa ogród, pchnięty nieprzewyciężonym pragnieniem zaczął skradać się ku kaplicy. Musiał ją zobaczyć raz jeszcze jeden, musiał nasycić oczy po raz ostatni przebolesnym widokiem, zanim... będzie za późno...

Stanął w drzwiach kaplicy, zapuszczając w głąb chciwe, chore tęsknotą spojrzenie. Odpowiedziała mu uśmiechem — tym samym dziwnym, zagadkowym uśmiechem, co wtedy... Ten uśmiech, ten jej uśmiech...

— Ty cudna, przeczysta! Liliowa dziewico moja!... Ha, ha, ha! Ha, ha, ha! Co za śmieszna kombinacja! Siostra Weronika i ja! Siostra Weronika i Pawełek Kuternóżka!...

Zdjęła go szaleńcza wesołość, a potem ból, obłąkany ból i tęsknota. Słaniając się na nogach, przystąpił do wezglowia. Usta jego spragnione, gorączką tętniące, wpiły się w jej chłodne, koralowe wargi i chłoneły straszliwą rozkosz. Nagle płomień przeszedł po nim. Zbrodnicza, świętokradcza żądza wypełzła z głębin najskrytszych jestestwa i szepem krwi domagała się ukojenia...

Położył rękę na jej pierś krągłą, dziewiczą i drżącymi od namiętności palcami zaczął zdzierać z niej welon i zakonną szatę. Wtem uczuł na ramieniu czyjąś rękę. Odwrócił się i ujrzał spokojną, lecz stanowczą twarz księdza Alojzego.

— Co chcesz uczynić?

Przez chwilę ważyły się ich spojrzenia. Kuternóżka pierwszy spuścił oczy: nie mógł wytrzymać blasku tamtych jasnych i czystych jak lazur. Nagle wyswobodził ramię spod ręki księdza i rzucił się do ucieczki. Dziki strach pędził go przed siebie. W kilku sekundach przebył przylądek, przebiegł jakąś łąkę, przedarł się przez gaj brzoźowy i dopadł pnia starej lipy tuż pod murem. W mgnieniu oka wtargnął pomiędzy jej konary, wspiął się na wierzchołek, a stąd zesunął na szczyt muru. Po chwili jednym szalonym skokiem znalazł się po drugiej stronie. Nie oglądając się, ruszył na przelaj przez puste pola i ugory.

Pędził bez przerwy, bez wytchnienia, zaczepiając o krzewy, potykając się o grudy i śródpolne kamienie. W końcu, gdy na wschodzie wyciągnęła się mleczna linia brzasku, dotarł do zrębów lasu. Świtało już na niebie, gdy zanurzał się w chaszczce u skraju dąbrowy.

Roztworzyły się przed nim i zamknęły z powrotem gościnne ich pierzeje. Zakryły przed okiem ludzkim drzew zielone splawy...

AMELIA

W połowie czerwca Pomian wrócił z podróży. Gdy po opuszczeniu pociągu przeszedł sklepiaste tunele pod peronem i znalazł się na białym, w kostki wykładanym dojeździe dworcowym, ogarnęło go uczucie zdumienia. Całe otoczenie wydało się dziwne i jakby nieswoje. By rozprostować trochę zdrętwiałe długą jazdą członki, nie wziął dorożki, lecz zostawiwszy pakunki w szatni, poszedł ku miastu długą, wysadzaną lipami aleją ulicy Kolejowej. Szczególne uczucie „dziwności” wszystkiego, co go otaczało, nie opuszczało go ani na chwilę. A przecież od czasu jak wyjechał, upłynęły zaledwie trzy miesiące.

„Czyżby się co tutaj zmieniło?” — pomyślał, wodząc spojrzeniem po rysujących się w dali wieżach kościołów, spiętrzoną w perspektywie chaosie dachów i czubach rozkwitłych w pełni drzew.

Nie. — Raczej uderzył niemiłe „normalny” wygląd miasta. Wszedłszy głębiej w istotę swego stanu, nabrał przekonania, że tym, co go teraz raziło, był brak czegoś wyjątkowego w otaczającym go obecnie środowisku. Po prostu Pomian spodziewał się, że zastanie tu wszystko „jakoś inaczej”. Tymczasem przynajmniej na razie nic nie zapowiadało wyglądanej zmiany; wszystko było „po staremu”. Twarze przechodniów obojętne przesuwaly się przed jego spojrzeniem leniwo i szaro jak codzienność.

„Rzecz niepojęta! — myślał, skręcając koło kościoła św. Elżbiety na Klasztorną. — Więc się tutaj *nic nie stało*? Ludzie tacy jacyś spokojni, jak gdyby nigdy nic. A może by tak kogoś zagadnąć w oględny sposób?”

Tu opadło go uczucie nagłego zawstydzenia.

Nie wypada — mogą wyśmiać. Może rzeczywiście nic tu szczególnego nie zaszło; może owa „obcość”, jaką tutaj odczuwam, jest czymś chwilowym, czymś, co tkwi tylko we mnie? Należy być ostrożnym.

Dopiero teraz poczuł silny głód. Miał wrażenie, że od 24 godzin nic nie jadł. Spojrzał na zegar wieżowy. Dochodziła szóstka. Było jeszcze bardzo rano.

„Restauracje za pewnością jeszcze zamknięte — wyciągnął nieprzyjemny dla siebie wniosek. — Szkoda, że nie zjadłem śniadania na dworcu”.

Wtem na rogu ul. Katedralnej, po prawej, spostrzegł otwarte gościnne podwoje kawiarni Centralnej. Uśmiechnął się zadowolony i wszedł do wnętrza.

— Jedna biała cedzonia! — rzucił półgłosem dyspozycję kelnerowi, zanurzając się z rozkoszą w przytulne ramiona fotelu pod oknem. Po chwili pokrępiął się już wonnym odwarem, przeglądając równocześnie dzienniki.

— Szarzyzna — mruknął po pewnym czasie, odkładając znudzony gazetę. — Codziennosc.

I ziewnął przeciągle... Potem wyjrzał przez okno. Znużone spojrzenie przesunęło się po absydzie katedry, spłynęło po zboczach graniastej wieży i przerzuciło się ociężale na pierzeję domów u zbiegu Katedralnej i Mniszej. Powoli uwaga skupiła się na narożnej kamienicy *vis-à-vis* baszty wieżowej z zegarem. Nie wiadomo dlaczego, z osobliwą uprzczywością obserwował partię parterową domu pod nr 18. Musiał tam być zapewne jakiś sklep lub magazyn, bo okna i drzwi zasunięto żelaznymi storami. Wtem ze zdumieniem odczytał napis nad wyjściem; Stefan Zieleniewicz.

— To niemożliwe! — zachnął się niemal głośno. — To niemożliwe!

— Co takiego, proszę szanownego pana? — zapytał uprzejmie, pochylając się nad nim, starszy kelner, Marcin, dobry znajomy z dawnych, kawiarnianych czasów. — O co chodzi?

— Co to za sklep? — zapytał Pomian wskazując oczyma wywieszkę.

— Zieleniewicz i Spółka: sklep wyrobów i przetworów żelaznych — objaśniał spokojnie Marcin. — Stara, solidna firma. Szanowny pan przecież tutejszy. Nic pan o niej dotychczas nie słyszał?

— Ależ tu był jeszcze niedawno temu sklep z dewocjonaliami! — odpowiedział prawie urażony Pomian.

Okrągłe oczy sługi przybrały wygląd kulisty.

— Sklep z dewocjonaliami? — powtórzył, jakby nie dowierając własnym uszom. — Tu, tu naprzeciw naszej kawiarni?

I nagle roześmiał się serdecznie.

— Nie, szanowny pan żartuje. He, he! Co by też Zieleniewicz powiedział na ten koncept? He, he, he! Zieleniewicz w resorcie dewocjonalnym? Hi, hi, hi! Dziś mu jeszcze to zakomunikuję jako projekt.

Pomian był wściekły.

— Panie Marcinie! — rzekł z naciskiem, tłumiąc hamowaną z trudem pasję. — Tylko bez głupich żartów! Bardzo proszę! Jeśli mówiłem o sklepie z dewocjonaliami, to nie miałem na myśli Zieleniewicza w charakterze jego właściciela.

— Tylko kogo, proszę szanownego pana? — dopytywał się ciekawie z filuternym uśmiechem Marcin. — Tylko kogo?

— Pawła Kuternóżkę — odparł chłodno, akcentując każdą sylabę, rozjątrzony do ostateczności gość.

W pierwszej chwili kelner zdębiał. Odstąpił parę kroków od stolika i nie spuszczał oczu z Pomiana, śledził wyraz jego twarzy.

„Kpi czy o drogę pyta?” — myślał, na próżno usiłując wyczytać prawdę ze zmienionych od afektu rysów gościa.

Wreszcie znać zorientował się w sytuacji, bo poważniejąc, rzekł pojednawczo:

— Zaszła tu widocznie pomyłka. Szanowny pan zapewne pomieniał ze sobą nazwiska i lokale. Ów Kuternóżka prawdopodobnie ma czy też miał sklep z towarami religijnymi gdzieś przy innej ulicy. Z drugiej strony jednak nie mogę przypomnieć sobie, by w naszym mieście istniał kupiec noszący podobne nazwisko — a siedzę tutaj już 30 lat i znam wszystkie miejskie firmy jak własną kieszeń. Chociaż... *pardon!*... Zaraz, zaraz... teraz przypominam sobie jak przez sen... Tak, tak — na pewno. To nazwisko, które chwilowo wypadło mi z pamięci, nosił swego czasu właściciel składu trumien, przy ul. Zielonej. Paweł Kuternóżka — tak, tak — to ten sam. Teraz przychodzi mi nawet na pamięć piosenka, którą mu pod oknami wygwizdywały złośliwe nasze łąziki. Była trochę nieprzyzwoita. Ale to już dawne czasy. Biedny Pawełek dawno już nie żyje; umarł temu 20 lat z górą.

Pomian ochłonął. Spokojny ton Marcina, a zwłaszcza wyraz szczerzego zakłopotania na jego poczciwej, starannie wygolonej twarzy dały mu dużo do myślenia. Postanowił więc być oględniejszym w rozmowie.

— Więc naprawdę — zapytał, ujmując go poufale za ramię — tam naprzeciw jeszcze 3 lub 4 tygodnie temu nie było nad wejściem do sklepu nazwiska Kuternóżki?

— Ależ naturalnie, że nie. Zieleniewicz zajmuje ten lokal od jakich 40 lat; tkwił już tu, gdy ja, mając lat 19, przyjechałem do naszego miasta; od tego czasu nie ruszył się z tego miejsca i zestarzał się na nim jak ja w tej kawiarni.

Pomian podparł głowę ręką i zamyślił się.

— To dziwne — rzekł po czasie, zapominając o obecności sługi — to dziwne... Skąd mi się wzięło to nazwisko?

— Może jakiś kupiec tak samo się wabiący ma sklep w innym mieście? — poddał usłużnie Marcin. — Szanowny pan podobno¹⁰² wraca z dalekiej podróży...

— Nie, nie — zaprzeczył żywo gość — to stanowczo nie. Jeśli *to wszystko* było, to tylko tu. Zresztą *to samo otoczenie, ten sam krajobraz, położenie, szczegóły drugorzędne...* Nie, nie — ta ewentualność wykluczona... Hm... to nazwisko...

— Trochę dziwne — przerwał mu tok rozmyślań Marcin. — Powiedziałbym nawet: trochę komiczne. He, he, he!... Kuternóżka — Kuternoga, czy coś podobnego. „Kuter, kuter, kuternoga, co nie wierzy w Pana Boga” — powiadają ludziska. He, he, he! To się nazwał! No! I w dodatku „Pawełek”. Jak na kpiny.

I hamując świeży wybuch wesołości, kelner odszedł w głąb kawiarni, by nie drażnić więcej niesamowitego dziś gościa. Pomian zapłacił i wyszedł.

Czerwcowy poranek rozlał tymczasem po świecie różane blaski. Na kopułach kościoła i strzałach wież zapłonęły czerwone ognie, ponad dachami domów zaczęły przewalać się

¹⁰²podobno (daw.) — tu: prawdopodobnie, zapewne. [przypis edytorski]

sinoszare woale dymów. Skądś od fabryk nadciągnęły przeciągłe jęki syren, a od gościńców turkoty wozów. Rozbudzone miasto zaszemrało rozgwarem dnia...

Szedł powoli wąską uliczką między wieżą dzwonnicy a absydą katedry. Lubił ogromnie ten zaulek, przypominający mu średniowieczne partie wielkich miast Europy, znane ze sztychów i starych obrazów. Unosiła się nad tą częścią miasta jakby jakaś tajemnicza półmgła wieków, jakieś senne, starcze dumanie. Potężny, brzemieniem lat ubiegłych przesycony nastrój spływał od bloków kamiennych wieżycowej baszty, drzemał po gzym-sach i wnękach katedralnych wykuszy. Pod nogami dudniły czasem głucho płyty, zdradzając istnienie podziemnych lochów, a w skwarne dnie lata wydobywał się skądś spomiędzy szczelin i przepuklin kościelnego dziedzińca szczególnie, stęchlizną grobów przesiąknięty wyziew. Podobno niegdyś rozciągał się dookoła katedry cmentarz; dziś miejsce jego zajął zielony, trawą porosły wirydarz z kępami bukszpanu pod strażą kilku rozrzuconych cyprysów.

U węgła dzwonnicy, pod kamiennym słupkiem u wylotu uliczki siedziała jak zwykle stara żebraczka, Teklusia. Pomian pozdrowił ją skinieniem głowy, rzucając jałmużnę na podolek brudnej, pstrej od lat spódnicy.

— Bóg zapłać, panie — podziękowała zawiądnym głosem, podnosząc ku niemu zgasłe, okaprawiałe oczy. — A! To wielmożny pan! Co to? Wielmożny pan chorował? Od kilku miesięcy nikt mnie tak jeszcze nie obdarował. Nie było mego dobrodzieja, nie było. Cosik wielmożny pan błąd, hę? Pan Bóg może chorobę dopuścił?

— Nie było mnie przez parę miesięcy w mieście: wyjeżdżałem — zbył krótko pytanie. — A co tu u was słyhać, Teklusi? Jak przeszła Wielkanoc?

— At, jak zwykle. Wszystko odbyło się jak co roku.

— *Wszystko* jak co roku? — zapytał z niedowierzaniem w głosie. — Nic nie zaszło ważnego?

Stara popatrzyła nań z odcieniem zdumienia.

— A dyć jak mówię, że nic nowego, to nic nowego. A bo i cóż by się stać takiego mogło? Ot, zwyczajnie jak w post księży kazali z ambon, potem spowiadali, odprawiali suplikacje, a ludzie kajali się z grzechów, by po Wielkiejnocy znów w te same grząźć, jak, za przeproszeniem pana, te świnie w błoto.

Pomian uczynił gest zniecierpliwienia.

— Ależ nie o to mi idzie... A jak tam było z procesjami?

— Ano były, jużci były procesje i stacje krzyżowe.

— I stacje też? — podchwycił Pomian, nie wiadomo dlaczego nagle wzruszony.

— A jużci i stacje — powtórzyła trochę zdziwiona jego zainteresowaniem dla obrzędów kościelnych. — Chodzili po kościołach od jednej do drugiej — ot, jak co roku.

Pomian zaniepokoił się.

— Jak to po kościołach? Więc wewnątrz, nie gdzieś poza ich obrębem?

— A jużci że wewnątrz. A kędyż mieli chodzić, jak nie po kościele, gdzie są stacje Męki Pańskiej porozwieszane po ścianach? A dyć tak bywa co roku.

Pomian kręcił z niedowierzaniem głową.

— Więc nic nadzwyczajnego tutaj w tym czasie nie zaszło? Przecież przypomnijcie sobie, Teklusi!

Zebraczka pochyliła głowę z namysłem.

— Mam nareszcie — rzekła z tryumfem, podnosząc ku niemu oczy.

— No, co takiego? — naglił niecierpliwie.

— We Wielkim Tygodniu ksiądz kanonik Tylżycki wykluczył z Bractwa Różańcowego Antoninę Kownacką, wdowę po stelmachu, co to ją przyłapano na cudzołóstwie z człekiemi żonatym.

— A bodajże cię lichu! — zaklął pod wąsem Pomian, rozgniewany na Bogu ducha winną staruszkę. — To ci nowina! No!

I już chciał ją pożegnać, gdy spoza absydy katedralnej wyloniła się imponująca postać księdza. Duchowny, nie zwracając na nich uwagi, przeszedł mimo zamyślony.

— Czy to ksiądz Dezydery? — zapytał Pomian, zwracając się raz jeszcze do żebraczki z uczuciem człowieka chwytającego się ostatniej deski ratunku.

— Ksiądz prałat Dezydery Prawiński — poprawiła go z naciskiem Teklusia.

Pomian uśmiechnął się zadowolony.

— Podobno bardzo srogi spowiednik i kaznodzieja? — zagadywał w dalszym ciągu.
— Juźci surowy jest, bo ludziska w mieście paskudne, a to święty człowiek.
— Słyszałem, że to on prowadził tego roku procesję błagalną w Dnie Krzyżowe na „Bugaju”?

Stara wybałuszyła nań kaprawe¹⁰³ oczy.

— Hę? Na „Bugaju”, powiadacie, panie? A gdzie to ten „Bugaj”? Miejsce jakie od-pustowe czy co?

Pomian uczuł, że zabląkał się znów pomiędzy jakieś wertepy.

— Jak to, babusiu: nie wiecie, gdzie jest przedmiejski przysiółek zwany powszechnie Bugajem? Nad rzeką, tuż za Zieloną Rogatką.

— Ha, ha, ha! — zachichotała cicho Teklusia. — Juź wiem, juź wiem, co wielmożny pan ma na myśli. Ale to nie żaden „Bugaj”, proszę łaski pana, jeno „Dębinowa Kępa”. Wielmożnemu panu coś się pewnikiem pomyliło. A co do owych Dni Krzyżowych: nic mi nie wiadomo. Ktoś wielmożnemu panu nabajał o tym dubów smalonych. Gdyby coś tam takiego było, pierwsza bym o tym wiedziała. Pan Pieniążek, zakrystian, mój kmo¹⁰⁴ i powinowaty, coś by mi o tym powiedział.

— Ostawajcie z Bogiem, matko — pożegnał babkę Pomian, przerywając indagację¹⁰⁵.

— Boże was ta prowadź, panie! Bóg zapłać za jałmużnę! Pan Jezus niech użyczy! — odpowiedziała, przeprowadzając go spojrzeniem starych, zakisłych oczu.

W 20 minut później Pomian był już u siebie przy ul. Źródlanej. Przyjął go Józef, jak gdyby nigdy nic, z łagodnym, wyrozumiałym uśmiechem. Poczciwy wyga nigdy się niczemu nie dziwił. Tak już przywykł do rozmaitych dziwactw i niespodzianek w życiu swego pana, że wszystko, cokolwiek odbiegało od codziennej normy, przyjmował jako rzecz naturalną i samo przez się zrozumiałą. Zresztą, co właściwie zaszło nadzwyczajnego? Wyjechał pan nagle na trzy miesiące, nie wiadomo dokładnie dokąd, wyjechał, prawdę mówiąc, wtedy, kiedy już był czas najwyższy po temu, i wrócił równie nagle, jak odjechał. Co to komu szkodziło? Co to kogo obchodziło? Jego, Józefa, z pewnością najmniej. Poza tym owe „wyjazdy” i „podróże” nie były mu pierwszozną. Zawsze jakoś co pewien czas, co parę lat, gdy się pan czymś bardzo przejął lub czymś bardzo zirytował, przychodziły najpierw owe „przemiany”, które on, Józef, nazywał po swojemu „forpartrolami” lub „forpocztami”, a potem następowały „wyjazdy” i to — rzecz znamienna — zwykle na 3 miesiące. Sługa tak już do tego przywykł, że dziwnym by mu się wydało, gdyby było inaczej.

Dlatego i teraz spodziewał się powrotu pana już od paru dni i wszystko przygotował na przyjęcie. W parę minut po przybyciu Pomian rozkosznie wyciągnięty na sofce popijał już swoją czarną kawę, stanowiącą *clou*¹⁰⁶ i *finale*¹⁰⁷ drugiego śniadania. Wkrótce jednak znużenie po podróży zmorzyło go snem: ostrożnie wyjął mu Józef z bezwładnych palców tlejący jeszcze niedogarek¹⁰⁸ cygara i podsunał poduszkę pod głowę...

Zbudził go dopiero późno po południu dźwięk zegara z wieży farnego kościoła. Przeciągnął się leniwo na posłaniu i spojrzal w okno. Słońce kłoniło się już ku zachodowi, oblewając szczyty domów i świątyn. Smutny, pożegnalny jego refleks, przywarłszy do jednej ze ścian pokoju, powoli wędrował w górę gdzieś w kierunku stropu i bladł w oczach, dogorywał...

Pomian podniósł się ociężale z sofy i podszedł ku biurku. Na zielonym tle sukna odcinał się wyraźnie, niemal wyzywająco, biały prostokąt papieru.

List!...

Wziął go do ręki i na chwilę zawahał się: otworzyć zaraz czy odłożyć do jutra? Może coś nieprzyjemnego?

¹⁰³kaprawy — zaropiał i zaczerwieniony (o oku); mający zaropiałe, zaczerwienione oczy (o człowieku). [przypis edytorski]

¹⁰⁴kmoir (z średniow. łac. *compater*: współojciec) — kum, ojciec chrzestny. [przypis edytorski]

¹⁰⁵indagacja — badanie, wypytywanie. [przypis edytorski]

¹⁰⁶clou (fr.) — przren.: główny punkt, największa atrakcja. [przypis redakcyjny]

¹⁰⁷fnale (wł.) — finał, zwieńczenie. [przypis edytorski]

¹⁰⁸niedogarek — niedopalek. [przypis edytorski]

Lecz delikatna woń fiołków ulatniająca się z listu podziała zachęcająco. Rozerwał kopertę i rzuciwszy okiem na podpis, zdumiał się. Pisała pani Amelia Pradera, wdowa po śp. ministrze.

„Szczególne! — pomyślał, wpatrując się z niedowierzaniem w piękny, silnie zindywidualizowany charakter pisma. — Szczególne! Czego może chcieć ode mnie ta kobieta?”

I szybko przebiegł oczyma treść listu.

„Szanowny Panie! — pisała żona jego wroga. — Spełniając ostatnią wolę śp. Męża mego, pragnęłabym widzieć się z Szanownym Panem i zamienić z Nim parę słów w pewnej ważnej, dotyczącej śp. Męża mego, sprawie. Sądzę, że najodpowiedniejszym terenem dla naszego spotkania będzie mój dom; byłabym Mu szczerze wdzięczna, gdyby zechciał odwiedzić mnie w którąś środę lub sobotę między piątą a siódmą po południu. Mieszkam obecnie przy ul. Lipowej l. 23, I p. Proszę przyjąć wyrazy szczerego szacunku,

Amelia Pradera”

„*Sapristi!*¹⁰⁹ — pomyślał, odrywając oczy od pisma i zatapiając je w roztocz słonecznego zachodu. — Spełnia jego ostatnią wolę. Czyżby Pradera, idąc na spotkanie ze mną, przeczuwał pewną śmierć i zostawił testament ze specjalną klauzulą odnoszącą się do mojej osoby? Hm... Dlaczego ona wzywa mnie dopiero dzisiaj, kiedy od jego śmierci upłynęło już niemal 9 miesięcy? Dlaczego nie uczyniła tego wcześniej? Czyżby i co do tego stosowała się do jego woli? W ogóle czego on może chcieć ode mnie z tamtej strony? Dziwne, bardzo dziwne”.

Usiadł przy biurku i zamyślił się. List Amelii ożywił od nowa wypłowywały już trochę od czasu splot myśli i uczuć związanych z tajemnicą śmierci Pradery. Odżyło zainteresowanie dla „sprawy”, zmartwychwstały spod zgłiszcz i popiołów wspomnienia i wątpliwości. Od paru miesięcy bowiem przestał zajmować się ponurą aferą i tylko przygodnie dowiadywał się z gazet, że śledztwo prowadzone jest w dalszym ciągu, lubo bez wydatnych rezultatów; podobno nawet uwięziono parę osób podejrzanych o zamach na życie wielkiego męża stanu, lecz później musiano je wypuścić na wolność z powodu braku dostatecznych dowodów. W ogóle, o ile mu było wiadomym, sprawa znajdowała się obecnie w stadium długotrwałej stagnacji; jak wszystko na świecie, i ona zesza w końcu z porządku dnia i coraz to rzadziej odzywały się jej echa na łamach dzienników. Niemniej Pomian był głęboko przekonany, że władze policyjne i sądowe nie zrezygnują tak prędko z dochodzeń i że „historia” prędzej czy później wypłynie znów na powierzchnię.

Podniósł z zamyśleniem głowę i raz jeszcze objął krótkim spojrzeniem treść listu. Wtedy wyodrębniły się słowa zaproszenia: „w którąś środę lub sobotę między piątą a siódmą”.

— Wszakże dziś właśnie sobota!

Spojrzał na zegarek.

— Szósta. Jeszcze czas.

Zadzwonił na Józefa.

— Mój żakiet i lakiery!

Koło godziny wpół do siódmej przyciskał taster¹¹⁰ u dzwonka do mieszkania przy ul. Lipowej l. 23 na I piętrze.

Otworzyła mu zgrabna, czarnooka pokojówka. Uchylił kapelusza.

— Pani w domu?

Dziewczyna zawahała się.

— Jaśnie pani dzisiaj nie przyjmuje — odpowiedziała z przymusem.

Wówczas podał jej wizytówkę, równocześnie wciskając w rączkę banknot.

— Może panienka zechce oddać pani mój bilet.

Kokieteryjna główka w białym czepeczku znikła za drzwiami, by po kilku minutach zjawić się z powrotem z czarującym uśmiechem na ustach:

— Jaśnie pani prosi.

¹⁰⁹*sapristi!* (fr.) — Do licha! [przypis redakcyjny]

¹¹⁰*taster* (z niem.) — przycisk. [przypis edytorski]

I przepuściwszy gościa do wnętrza, wskazała mu salon na prawo.

— Jaśnie pani za chwilę wyjdzie.

Usiadł przy stole, machinalnie biorąc do ręki album z fotografiami. Wzrok zatrzymał się na pierwszej zaraz karcie. Z ram kartonu wзираły ku niemu podobizny Pradery i jego żony. Było to zdjęcie weselne, gdyż oboje byli w strojach godowych. Kobieta, przytuliwszy głowę do jego ramienia, patrzyła w przyszłość pełna ufności i szczęścia — mężczyzna o znanych mu, nienawistnych rysach uśmiechał się wyzywająco z miną zdobywcy i tryumfatora.

„*Sic transit gloria mundi*” — pomyślał, wpatrując się w twarz wroga.

Wtem usłyszał za sobą szelest sukni. Obrócił się i wstał od stołu. — Odpowiedziała na jego ukłon głęboki skinieniem cudnej, jasnoblonde głowy i nie podając mu ręki, wskazała miejsce naprzeciw siebie. Usiedli i przez chwilę mierzyli się długo oczyma.

Po raz pierwszy w życiu Pomian mógł się jej przypatrzeć z bliska; dotychczas bowiem widział ją dwa razy, i to tylko przelotnie: raz w otoczeniu tłumu na sali balowej w ambasadzie francuskiej, po raz drugi w czasie jakiejś parady na uroczystości publicznej, gdy przejeżdżała powozem u boku męża.

Amelia Pradera była wspaniałą kobietą; *une femme superbe*¹¹¹ w całym tego słowa znaczeniu. Wysoka, cudownie zbudowana, z gorsem o liniach dyskretnych, a niemniej ponętnych, poruszała się z wdziękiem, lekko kołysząc się na biodrach, których zarys przedziwny, kuszący uwydatniała obcisła, żałobna suknia. W pewnym szczególnym kontraście do bujnej, żywiołowo rozwiniętej postaci pozostawał owal twarzy pociągłej, z orlim nosem, o rysach może trochę zaostzonych; łagodziły je oczy ciemne, przedziwnie opalizujące, pełne zadumy i ognia zarazem. Cera śniada, smągława, rzadka u blondynek, dziwnie zlewała się z barwą włosów jasnych, o połyskach złocistych.

Niezwykła jej uroda działała silnie na zmysły, budząc równocześnie uczucia nieokreślonego niepokoju i podziwu. Piękna pani należała do typu kobiet, które wznecając pożądanie u płci drugiej, zarazem narzucają jej pewien patos dystansu. Z niewiadomego powodu w mężczyźnie zakochanym w tego rodzaju kobiecie rodzi się obawa, czy zdobycie jej fizyczne nie będzie świętokradztwem — obawa, która potęgując pociąg płciowy, równocześnie nie pozwala przekroczyć granic i utrzymuje w stanie dręczącego zawieszania. Amelia Pradera kojarzyła w sposób wyjątkowy sprzeczne ze sobą żywioły: miała coś z anioła i coś z lubieżnej, zdolnej może do orgiastycznego szału samicy.

— Zastosowałem się do życzenia łaskawej pani — przerwał Pomian trochę już zenująca milczenie.

— Dziękuję — odpowiedziała głosem dźwięcznym, altowym. — Nie chcąc dłużej nadużywać pańskiej cierpliwości, powiem od razu, o co chodzi... W parę dni po śmierci męża znalazłam w biurku jego pomiędzy papierami dwa listy: jeden do mnie, drugi do pana. W liście do mnie mąż mój wyraził we formie ostatniej woli życzenie, abym po upływie 8 miesięcy od jego zgonu odesłała ten list pod pańskim adresem.

I drżącą ręką podała mu pismo. Pomian, odebrawszy list, włożył go starannie do portfela i powstał, składając ukłon pożełgalny.

Wstrzymała go gestem ręki.

— Miałabym do pana małą prośbę.

— Słucham panią.

— Proszę przeczytać list teraz przy mnie. Może treść jego wymagać będzie natychmiastowej odpowiedzi.

Spojrzał na nią zdumiony.

Czyżby znała treść listu?

Pani Amelia lekko zarumieniła się pod tym spojrzeniem.

— Nie — odparła z zakłopotaniem — to nie to, co pan przypuszcza. Proszę, niech pan usiądzie i przeczyta. Ja tymczasem zajmę się czym innym.

I ze źle udawaną obojętnością zaczęła przerzucać kartki jednej z książek na stole.

Pomian usłuchał i, wyjąwszy list, przez chwilę przypatrywał mu się z zajęciem. Na białej, zwykłego formatu kopercie, starannie opieczętowanej, z lewej strony widniał adres,

¹¹¹*une femme superbe* (fr.) — pyszna kobieta. [przypis redakcyjny]

nakreślony znaną mu ręką o zdecydowanym charakterze. Po chwali wahania rozłamał pieczęcie i zaczął czytać:

„W., 22 września br.

Pomianie!

Zapewne zdziwi Cię prośba, z którą zwracam się do Ciebie na parę godzin przed momentem dla nas obu rozstrzygającym. Lecz myślę o tym, że w chwili gdy przeczytasz to pismo, mnie już nie będzie pomiędzy żyjącymi i że nie potrzebuję się już krępować względami, z którymi zwykle w życiu ludzie się liczą. Zresztą nie mam innej drogi ani sposobu.

Gdybym zginął, proszę Cię i zaklinam w imię naszej wielkiej nieprzyjaźni, w imię naszego szczytnego antagonizmu — zaopiekuj się Amelią! Powierzam Ci Ją z pełną ufnością, pewny, że nadziei moich nie zawiedziesz, gdyż wierzę głęboko, że tylko Ty, tylko Ty jeden zdołasz Jej mnie zastąpić. Zegnaj!”

Testament

Pomian, przeczytawszy list, nie odrywał odeń oczu. Ostatnie słowa wielkiego wroga brzmiały tak nieprawdopodobnie, że wpatrywał się w ich znak zewnętrzny niby w zawily, fantastyczny hieroglif. Aż wyczuł na sobie ciężki wzrok Amelii.

Podniósł oczy.

— Pan skończył? — zapytała z odcieniem zniecierpliwienia.

— Tak, łaskawa pani.

— I nic mi pan nie ma do powiedzenia?

Utopił w jej twarzy badawcze spojrzenie; chciał przeniknąć do głębi tę dumną kobietę.

Czy ona wie, o czym pisze Pradera? Czy domyśla się, jaki to rodzaj prośby?

Lecz w twarzy pięknej wdowy wyczytał tylko trwożny niepokój. Wtedy skrytykowała się w nim nagle decyzja. Objął szczególnym spojrzeniem siedzącą naprzeciw kobietą i rzekł mocno:

— Ostatniej woli męża pani stanie się zadość.

— Dziękuję panu.

Podala mu rękę. Podniósł ją i przycisnął do ust.

— Rzecz dziwna — rzekł po chwili wzruszony, opuszczając jej rękę. — Czy łaskawa pani wie, jakim był mój stosunek do śp. ministra?

— Wiem. Zwalczaliście się nawzajem na niejednym polu.

— Byliśmy śmiertelnymi wrogami, łaskawa pani.

— Wiem o tym. Wiem o *wszystkim*. Nawet o tym, o zaszło między wami w wigilię jego śmierci.

— Nawet i o tym?

— Tak. Kazik nie miał przede mną tajemnic. I o tym wiem, że w ów straszliwy poranek mieliście się spotkać za miastem.

Zdumienie Pomiana wzrastało z każdą chwilą. Nie pojmował, jak mimo wszystko mogła z nim tak rozmawiać.

— I mimo to nie odczuwa pani niechęci do wroga męża swego? — zapytał, nie tając dłużej swej wątpliwości.

Po twarzy Amalii przepełnął dziwny uśmiech.

— Na razie nie zastanawiam się nad tym — odparła wymijająco. — Proszę nie zapominać, że spełniam tylko ostatnią jego wolę. Sam fakt, że mąż mój zwrócił się do pana z prośbą w takiej chwili, świadczy najlepiej o tym, że miał do niego pełne zaufanie, że pana widocznie mimo wszystko wysoko cenił... Ale wracając do obchodzącej nas bezpośrednio sprawy — czy nie mogłabym być panu w jakiś sposób pomocną przy zrealizowaniu ostatniej woli Kazia?

Pomian uśmiechnął się. Sytuacja wydawała się arcykomiczna.

— Nie pozostaje mi nic innego, jak zapoznać panią z treścią listu. Sądzę, że gra w otwarte karty będzie tu najodpowiedniejsza.

I oddał jej list do przeczytania. Wzięła pismo skwapliwie i szybko przebiegła oczyma. Pomian studiował z uwagą wyraz jej twarzy w tej chwili. Było nim zrazu zdziwienie, potem szalony gniew i wzburzenie, wreszcie uśmiechnięta złośliwie ironia. Cała gama uczuć przesunęła się po smagłym licu pięknej wdowy, by w końcu ustąpić miejsca wyrazowi szyderstwa. W oczach jej zaświtały jakieś przykre blaski, przed którymi należało się mieć na baczności. Ta piękna kobieta była niemal brzydka w tej chwili. Mimo woli odsunął się od niej, jakby odepchnięty niewidzialną siłą.

„Zdaje mi się — pomyślał — że uczyniłem ruch fałszywy. Ale mniejsza o to. Przynajmniej wiemy, na jakim gruncie stoimy. Lepsze to niż zabawa w ciuciubabkę”. — A głośno dokończył:

— Zdaje mi się, lepiej było nie oddawać pani listu. Mam wrażenie, że treść jego sprawiła pani niemiłą niespodziankę.

— Przeciwnie. Jestem panu za to serdecznie wdzięczna. Będziemy zatem przyjaciółmi, panie Tadeuszu?

Pomian osłupiał. Naprzeciw niego stała w blaskach zachodzącego słońca jakby zupełnie inna kobieta. Złośliwe błyski w oczach sprzed chwili rozplynęły się gdzieś bez śladu; z uśmiechem zalotnym, niemal tkliwym patrząc mu w twarz, podawała rączkę małą, wypieszczoną:

— Będziemy przyjaciółmi, nieprawdaż? — powtórzyła z powłóczyстым spojrzeniem.

— Postaram się zasłużyć na cenną przyjaźń pani — odparł prawie machinalnie.

— Do widzenia zatem w najbliższą środę między piątą a siódmą.

I poparła zaproszenie czarującym uśmiechem.

— Stawię się niewątpliwie — zapewnił, przywierając ustami do jej ręki.

I wyszedł oszołomiony, na rozstaju sprzecznych myśli i uczuć...

„Przyjaźń” z wdową po Praderze wymagała ostrożności. Przyszła zbyt łatwo i niespodzianie, by można było uwierzyć w jej szczerść. Zresztą była rodzajem spadku po znenawidzonym człowieku, którego uczucia względem niego nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Pomian wiedział o tym aż nadto dobrze i nie łudził się bynajmniej. Gdy minęło pierwsze oszołomienie, spowodowane niezwykle treścią listu i zachowaniem się Amelii, przyszła kolej na spokojną i chłodną refleksję. Zanalizował sprawę do przyciesi, rozsunął na włókna subtelnej tkaniny myśli wroga i przeglądnął ją na wylot. Z perspektywy zaświatów wychyliła się ku niemu piękna, mocna, acz trochę brutalna twarz rywala i wykrzywiła się uśmiechem szyderstwa. Gest jego ręki wyciągniętej w znak pojednania wydał się niezręczny i fałszywy.

— Nie zwiedzisz mnie, „przyjacielu”!

Czy ona zrozumiała „intencje” męża? Czy postanowiła działać w myśl jego planów? — Ów uśmiech tajemniczy, który rozlał się po jej twarzy po przeczytaniu listu i zatarł ślady uczuć poprzednich, zdawał się za tym przemawiać. Jeżeli tak było rzeczywiście, Amelia byłaby godną partnerką swego męża. Gra zapowiadała się wprawdzie dla niej niebezpiecznie, bo groziła ewentualnie utratą czci kobiecej, ale właśnie dlatego była równie ryzykowna i dla Pomiana. Pradera wiedział o tym, co robi, i nie przeceniał wcale doniosłości ofiary, jaką czynił ze swej męskiej ambicji. Stawka była wysoka, bo i o nie byle jaką wygraną chodziło. Poświęcał żonę, by choć spoza rubieży śmierci zadać cios nie-nawistnemu przeciwnikowi. Widocznie uznał Amelię za godne siebie narzędzie zemsty; dziesięcioletnie pożycie z nią prawdopodobnie pozwoliło mu poznać dokładnie wszystkie jej cenne pod tym względem „zalety”. Zresztą, być może wyrobił je w niej sam. Któż mógł zaręczyć, czy Amelia nie była tworem ducha potężnego ministra? Czy ta wspaniała, rasowa kobieta, jakby stworzona do władzy i odbierania hołdów, nie była dzieckiem duchowym nieboszczyka? Gdy ją brał od ołtarza w mężowskie objęcia, miała zaledwie lat 17; od owej chwili upłynęło lat 10 pożycia — przez lat 10 oddziaływał na nią swą przemożną indywidualnością, kształtował jej młodziutką duszę, rzeźbił ciało, urabiał w kobietę. Wpływ Praderki musiał pozostawić po sobie silne i trwałe ślady. Że na nie natknie się prędzej czy później, Pomian nie wątpił. Że zechcą i jego wciągnąć w sferę swych oddziaływań, przeczuwał. Niemniej podjął rzuconą sobie zdradliwie rękawicę. Nagroda w razie

zwycięstwa była zbyt ponętna, by nie przyjąć wyzwania. Dlatego rozpoczął grę czujny i ostrożny, postanawiając twardo, że nie da się unieść wichrowi rozhukanych zmysłów...

W najbliższą środę przyjechała go jak starego znajomego. Wyszła ku niemu z buduaru cudownie zaróżowiona, uśmiechnięta i woniejąca. Śnieżnobiałe, głęboko wycięte kimono pozwalało mu przy każdym pochyleniu jej kibici podziwiać przeczyście zwarte jak u dziewicy pęcze jej piersi; rozchylające się swobodnie przy żywszych ruchach rękawy odsłaniały oczom jego ramiona pełne, o barwie skóry bursztynowej, pokryte złotawym puchem.

Po kwadransie rozmowy dość banalnej o wszystkim i niczym wniosła herbatę przystojna pokojówka, czarnobrewa Justynka — ta sama, która otwierała mu drzwi w czasie pierwszej wizyty. Pomian pochwycił jej spojrzenie spoczywające na nim ze szczególną uporczywością. Miał wrażenie, że dziewczyna jest mu niechętna.

— Justynka dawno u pani? — zapytał po jej odejściu.

— Od paru miesięcy — odpowiedziała, przypatrując mu się z uwagą. — Podobna się panu?

— Niczego sobie. Wie pani, zdaje mi się, że ta dziewczyna nierada mnie tu widzi.

Uśmiechnęła się z przymusem, pokrywając nagle zmieszanie.

— Też przypuszczenie! Zdawało się panu.

— Być może.

— Zresztą, sądzę, że chyba tym nie będziemy się krępowali. — I przeszła do innego tematu. Koło siódmej, gdy zaczęło się zmierzchać, zaproponowała mu spędzenie wieczoru razem w cyrku. Zgodził się, chociaż niechętnie, bo nie lubił tego rodzaju rozrywek. Wkrótce potem unosiło ich auto w kierunku placu Solarnego.

Wśród podrzutów pojazdu uczył Pomian, jak parę razy nieznacznie, lubo bez widocznej potrzeby, oparła się oń rozkosznym ciężarem swego ciała. Przypadkiem czy namyślnie, gdy wóz skręcał gwałtownie z Senatorskiej na Zieloną, nogi ich spotkały się i przywarły do siebie kolanami na długą, upajającą chwilę.

Koło trzy na ósmą siedzieli już obok siebie w jednej z łóż pierwszego piętra. Gdyby nie obecność uroczej wdowy, Pomian byłby się wtedy zanudził na śmierć. Program przedstawienia stereotypowy, pełen efektów grubych i drażniących zmysł wzroku, irytował go i męczył. Natomiast mógł swobodnie obserwować Amelię.

Pani Pradera zdawała się śledzić przebieg ewolucji cyrkowych ze szczerym zajęciem. Zwłaszcza jedna z nich, pod koniec przedstawienia, przykuła jej uwagę. Były to nader trudne i ryzykowne ćwiczenia na ruchomych rekach zawieszonych niemal pod samym stropem cyrku.

Popisywały się trzy akrobatki: dwie starsze, dorodne, atletycznie rozwinięte, w wieku około lat 30, i trzecia, młoda, najwyżej dwudziestoletnia, smukła i gibka jak trzcina. Jej to przypadła w udziale najtrudniejsza część zadania. Po dokonaniu szeregu ewolucji na drążku szczytowym piękna Esmeralda rzuciła się w dół w linii ukośnej i przepłynąwszy tak w powietrzu pewną przestrzeń, spadała w ramiona czekającej już na nią na jednym z niższych reków akrobatki. Po paru minutach wypoczynku obie wprawiły w ruch swój drążek, śledząc bacznie równoczesne wychylenia zawieszonego w odległości kilku metrów na tym samym poziomie trzeciego reku, na którym kołysała się ich towarzyszka. W chwili największego zbliżenia obu drążków Esmeralda lotem strzały przebywała dzielącą je przestrzeń i w krytycznym momencie, pochwyciona za ręce przez koleżankę, znachodziła¹¹² chwilowy przytułek obok niej na rozchybotanej huśtawce. Następowala trzecia, najtrudniejsza część ewolucji. Odetchnąwszy po dwukrotnej arcyryzykownej żegludze w powietrzu, zuchwała dziewczyna potężnym podrzutem ciała odbijała się od bezpiecznej przystani i z wyciągniętymi przed się rękoma płynęła w górę ku swemu pierwotnemu stanowisku. Dosiąwszy zbawczego reku, chwytala go chciwie palcami i przez chwilę zawieszona w pozycji pionu wahała się, dysząc ze zmęczenia. Po paru sekundach jednym rzutkiem młyniec okrążyła drążek, po czym, podciągnąwszy ciało w górę do poziomu brzucha, zręcznym półobrotom w lewo siadała na żelaznym wałku huśtawki. Jej mała, złotowłosa główka pochylała się w dół, ku widowni, a ręka, podniesiona ku

¹¹²znachodzić (daw.) — znajdować. [przypis edytorski]

uśmiechniętym ustom, posyłała tłumom pocałunki. Odpowiadano jej za każdym razem frenetycznymi okrzykami i burzą oklasków.

Lecz karkołomne ewolucje widocznie zmęczyły ją: po trzykrotnym odbyciu w powietrzu niebezpiecznej wędrownki znać było po niej silne wyczerpanie; uśmiechnęła się wprawdzie ku oklaskującej ją publice, lecz był to uśmiech wymuszony. Oparła znużoną głowę o jeden ze sznurów reku, przytrzymując go równocześnie ręką dla dodania pewności tej ruchomej podporze. Pomianowi zrobiło się nieswojo. Nie mógł patrzeć na to bezmyślne igranie z życiem; czuł dla tej bladej dziewczyny, zawieszanej tam pod stropem cyrku na wysokości kilku pięter, i litość, i gniew, i pogardę. Gdyby to od niego zależało, kazałby jej natychmiast opuścić się w dół na arenę po sznurze ochronnym, wahającym się tak ponętnie w zasięgu jej ramienia.

Lecz dyrektor cyrku, p. Gamastoni, w czerwonym dżokejskim fraku śledzący każdy jej ruch tam z dołu, przy rozpostartych sieciach, nie chciał zawieść nadziei P. T. Publiczności, która na podstawie programu spodziewała się powtórzenia karkołomnej sztuki po raz czwarty.

— *Encore une fois!*^{113!} — zachęcał z dołu ze słodkawo-groźnym uśmiechem cyrkowego tyrana. — *Encore une fois, mademoiselle!*¹¹⁴ *Esmeralda!*...

Pomian przeniósł na chwilę spojrzenie na uroczą postać pani Amelii i mimo woli zadrżał. Wychylona z łoża do pół ciała piękna wdowa pożerała oczyma wahającą się akrobatkę. Nagle uczuł, jak ręka jej ściska jego rękę, i usłyszał szept słów jej dziwnych:

— Jaka ona wyczerpana! Ile ją będzie musiał kosztować ponowny wysiłek! O, co za rozkosz! Co za szalona rozkosz!

I odpiąwszy od piersi cudną pąsową różę, rzuciła ją w stronę pasującej się ze słabością dziewczyny.

— *Encore une fois, belle Esmeralde!*^{115!} — zabrzmiał wśród ciszy zaniepokojonej nagle widowni głos jej dźwięczny, altowy.

Róża i słowa podziały magnetycznie: Esmeralda, przemógłszy obawę, spłynęła po raz czwarty w objęcia towarzyski. Lecz heroiczny wysiłek pochłonął resztę jej sił; do skoku na sąsiedni rek nie była już zdolna; na pół omdlała musiano sprowadzić przy pomocy sznurów na arenę.

Pomian spojrział na swą sąsiadkę.

— Nie należało jej zachęcać — rzekł z wyrzutem.

— Tak pan sądzi? — odpowiedziała, uderzając go oczyma pełgającymi dziką radością. — To właśnie było piękne!

— To właśnie było brutalne — poprawił z naciskiem.

— Pan dziś nie w humorze; w podobnym nastroju zostaje się w domu.

Milcząc, wsiedli do auta i odjechali. Pożegnanie przed bramą domu, na ulicy, było krótkie i zimne. Amelia nie ponowiła zaproszenia na sobotę. I jemu nie śpieszno było do najbliższej wizyty. Scena w cyrku pozostawiła osad niesmaku, wrogi ponownemu zbliżeniu. Zbyt prędko odkryła przed nim instynkty tygrysy. Mogły one pociągać w nim samca, lecz mogły i odpychać jego wysokie człowieczeństwo.

Ostatecznie nie poszedł tam w sobotę.

W dwa dni potem otrzymał bilecik pełen wymówek i dąsów.

„Poczekaj jeszcze trochę! — pomyślał po przeczytaniu. — Odrobina cierpliwości nie zaszkodzi”.

I zamiast w środę poszedł na Lipową w piątek, wybierając jeden z dni, w którym rzekomo przyjmowała gości oficjalnie.

Musiał dzwonić parę razy, zanim mu otworzono. W ogóle miało się wrażenie, że tego popołudnia goście nie byli tu mile widziani i że tylko dla niego zrobiono wyjątek. Byłby przysiągł na to, że przed wpuszczeniem go do wnętrza był obserwowany przez czyjeś oko, które wyglądało przez oszklony wyzior umieszczony w drzwiach nad skrzynką na listy. Zdawało mu się też, że słyszał stłumione szepty w korytarzu.

¹¹³*encore une fois* (fr.) — jeszcze raz. [przypis redakcyjny]

¹¹⁴*mademoiselle* (fr.) — panna, panienska. [przypis edytorski]

¹¹⁵*Encore une fois, belle Esmeralde* (fr.) — jeszcze raz, piękna Esmeraldo. [przypis edytorski]

Gdy wszedł do wnętrza, ze zdziwieniem spotkał się w progu z Amelią. Sama pani raczyła mu otworzyć; był to fakt w tym *comme il faut*¹¹⁶ domu niezwykle. Pomian nie omieszkiał wyrazić swego zdumienia.

— Justynka dziś chora, musiałam ją wyręczyć — tłumaczyła jakby trochę zmieszana, zamykając za nim drzwi na klucz.

„Kłamię” — pomyślał, zdejmując zarzutkę.

Gdy Amelia, wyprzedziwszy go o parę kroków, przeprowadzała gościa do salonu, Pomian ujrzał w zwierciadle na lewej ścianie przedpokoju przez uchylone drzwi od kuchni Justynkę. Stała w bieliźnie, bosa, z rozpuszczonymi włosami i wypiekami na twarzy zmienionej od rozkoszy czy bólu. Koszula do spinania na boku obsunęła jej się z ramienia i odsłoniła pierś dziewczyny, jędrną i soczystą jak jagoda. Pierś ta była skrwawiona; parę rubinowych kropel, wywołanych jakby przez ukłucie igłą lub szpilką, wykwitło w okolicy sutki prawej. Justynka, zajęta oglądaniem miejsca zranionego, nie spostrzegła, że jest obserwowana.

Pomian udał, że niczego nie zauważył, i w milczeniu wszedł za Amelią do pokoju bawialnego. Rozmowa zrazu jakoś nie kleiła się. Czuł, że przyszedł tu nie w porę i że w czymś przeszkodził. Amelia wyglądała na zażenowaną i unikała jego spojrzeń. Dopiero po podwieczorku, który podała własnoręcznie, nastrój trochę poprawił się; napięcie sytuacji złagodniało i pani, odzyskawszy swobodę ruchów, wszczęła ożywioną rozmowę na temat bieżącej literatury.

Amelia zdradzała duże odczytanie, ale było ono nader jednostronne. W sztuce zajmowało ją tylko ciało i płeć: zagadnienia seksualne, zwłaszcza objawy miłości anormalnej i przewrotnej, pochłaniały wyłącznie jej wyobraźnię; dla subtelniejszych i wyższych fenomenów życia zdawała się nie mieć zmysłu.

Pomian w lot zauważył, że pragnie go wciągnąć w krąg własnych zainteresowań, ignorując równocześnie zupełnie jego upodobania i świat jego duszy. Spostrzegłszy intencję, uśmiechnął się wewnętrznie pełen pobłażania dla tej kobiety. Bawiły go nawet jej wysiłki, zmierzające wyraźnie do tego, by go „przerobić” na swój tryb. Cóż mu to szkodziło, że tej rasowej samce zdawać się będzie przez jakiś czas, że pozostaje pod jej „wpływem”? Owszem, udawał nawet nowicjusza w tej dziedzinie i pozwalał się „wychowywać” na jej sposób. Wkrótce doszedł do przekonania, że płciowość pani Pradera musiała być brutalna i wymagała ofiar.

— Mam dla pana ciekawą książkę — powiedziała nagle wśród rozmowy. — Przypuszczam, że pana zajmie. Jest tam w szafce u dołu, w trzecim rzędzie na prawo. Proszę ją sobie przegłębnie; jest oprawiona w czerwoną skórę. Ja tymczasem zagram panu moją ulubioną *Appassionata*¹¹⁷; niechaj posłuży jako tło nastrojowe do lektury.

I usiadłszy przy pianinie, wzięła pierwsze akordy sonaty. Pomian podszedł do biblioteki i odchylił skrzydło oszklonych zieloną matówką drzwi.

Zbiór był niewielki, lecz stylowy. Przeważali mistrze francuscy, a wśród nich znawcy płci i miłości. Był tedy rubaszny i rozpasany Rabelais¹¹⁸ i frywolny Brantôme¹¹⁹, wnikli-

¹¹⁶*comme il faut* (fr.) — jak należy. [przypis redakcyjny]

¹¹⁷*Appassionata* — sonata f-moll Ludwika van Beethovena. [przypis redakcyjny]

¹¹⁸*Rabelais, François* (ok. 1484–1553) — francuski pisarz, lekarz, były zakonnik; autor arcydzieła francuskiego renesansu, pełnej rubaszego humoru powieści (epopei) satyryczno-fantastycznej *Gargantua i Pantagruel*, pisanej w l. 1532–1564, podejmującej krytykę instytucji kościelno-feudalnych, dogmatów, średniowiecznej metafizyki i scholastycznego system wychowania, kładącej tym samym podwaliny pod nowoczesną myśl odrodzenia. [przypis edytorski]

¹¹⁹*Brantôme*, właśc. *Pierre de Bourdeille* (1535–1614) — pisarz francuski, autor *Pamiętników* (fr. *Memoirs*), dających obraz obyczajów epoki, opisujących ważne postaci ówczesnej Francji i Europy, zawierających anegdoty dotyczące pojedynków itp.; pierwsze tomy, opublikowane w latach 1665–1666, zawierały głównie *Żywoty znakomitych ludzi i wielkich rycerzy francuskich* (4 t.) oraz *Żywoty znakomitych ludzi i wielkich rycerzy obcych krajów* (2 t.), najbardziej znany tom stanowił jednak *Żywoty pań swawolnych*. [przypis edytorski]

wi *connaisseurs des affaires d'amour*¹²⁰, Maupassant¹²¹ i Flaubert¹²², głęboki Balzac¹²³ i realistyczny Zola¹²⁴, demoniczny Huysmans¹²⁵, rozwiązyły Prévost¹²⁶ i lubieżny Pierre Louys¹²⁷. Wśród pisarzy innych narodowości poczesne miejsce zajmował Boccaccio¹²⁸ i Pietro Aretino¹²⁹ oraz współczesny *commediante*, zmysłowy i płytki Gabriele d'Annunzio¹³⁰, galwanizujący od czasu do czasu swą przewiedłą „sławę” jakimś nowym błazeńskim pomysłem¹³¹, który dzienniki europejskie podchwytyją w lot i rozgłaszają po czterech rogach świata. Był i August Strindberg¹³², silny i ponury skald Północy, i wielki mizogin¹³³, Otto Weininger¹³⁴.

¹²⁰*connaisseurs des affaires d'amour* (fr.) — znawcy spraw miłosnych. [przypis redakcyjny]

¹²¹Maupassant, Guy de (1850–1893) — francuski pisarz, przedstawiciel naturalizmu; autor m.in. powieści *Bel-Ami* (1885) oraz wielu opowiadań wyrażających ostrą krytykę obyczajowości mieszczańskiej. [przypis edytorski]

¹²²Flaubert, Gustave (1821–1880) — pisarz francuski, twórca prozy z nurtu realizmu, uważany też za jednego z pierwszych przedstawicieli naturalizmu, sformułował postulat bezosobowości, autor m.in. powieści: *Pani Bovary* (*Madame Bovary*, 1857), *Salambo* (*Salammbô*, 1862), *Szkola uczuć* (*L'Education sentimentale*, 1869), *Kuszenie św. Antoniego* (*La Tentation de Saint Antoine*, 1874); sławę przyniosła mu *Pani Bovary*, powieść o prowincjuszce, która porzuca dziecko, zdradza i doprowadza do bankructwa męża, po czym popełnia samobójstwo; po publikacji Flaubertowi wytoczono proces, uznając jego książkę za deprawującą. [przypis edytorski]

¹²³Balzac, Honoré de (1799–1850) — francuski prozaik okresu romantyzmu, nazywany „mistrzem realizmu”, autor monumentalnego cyklu powieściowego pt. *Komedia ludzka* (obejmującego m.in. powieści: *Ojciec Goriot*, *Sracone zbudzenia*, *Kobieta trzydziestoletnia*), pokazującego życie społeczne, polityczne i obyczajowe we Francji od czasów rewolucji francuskiej do rządów Ludwika Filipa. [przypis edytorski]

¹²⁴Zola, Émile (1840–1902) — francuski pisarz, główny teoretyk i przedstawiciel naturalizmu; opublikował 20-tomowy cykl powieści *Rougon-Macquartowie*, przedstawiający pełny obraz epoki (*Nana*, *Germinal*, *Ziemia*, *Kłęska*); autor najważniejszego artykułu krytycznoliterackiego pt. *Powieść eksperymentalna*, przedstawiającego teorię oraz estetykę naturalizmu; w 1898 zaangażował się w obronę Alfreda Dreyfusa, fr. oficera niesłusznie oskarżonego o zdradę, publikując na pierwszej stronie paryskiego dziennika „L'Aurore” artykuł *J'Accuse!...* (*Oskarżam!*), zarzucając władzom antysemityzm i działania niezgodne z prawem. [przypis edytorski]

¹²⁵Huysmans, Joris-Karl, właśc. Charles-Marie-Georges Huysmans (1848–1907) — francuski pisarz i krytyk sztuki, skandalista. W swej najsłynniejszej powieści *À rebours* (*Na wspak*, 1884) sportretował „dekadenta doskonałego”, diuka des Esseintes; powieść zyskała specyficzny rozgłos, ponieważ w 1895 r. podczas procesu przeciwko Oscarowi Wilde'owi, oskarżyciel odwołał się do niej jako przykładu literatury „sodomicznej”. [przypis edytorski]

¹²⁶Prévost, Antoin (1697–1763) — francuski pisarz, prekursor romantyzmu we Francji, autor powieści *Historia kawalera des Grieux i Manon Lescaut*, poświęconej problemowi mechanizmu działania namiętności. [przypis edytorski]

¹²⁷Louÿs, Pierre, właśc. Pierre Félix Louis (1870–1925) — francuski pisarz i poeta, mistrz fr. literatury erotycznej; założyciel (1891) czasopisma literackiego „La Conque” (Muszla) poświęconego twórczości fr. parnasistów i symbolistów, ale publikujące także utwory debiutantów, takich jak Paul Valéry czy André Gide. Używał różnych pseudonimów, m.in. Pierre Chrysis, Peter Lewys i Pibrac. Autor m.in. zbioru erotyków pt. *Astarte* (1894), zbioru erotycznych lesbijskich utworów pisanych prozą poetycką pt. *Pieśni Bilitis* (wyd. w 1894 r. jako rzekome teksty jednej z gr. poetek staroż. z kręgu Safony, imieniem Bilitis; do trzech utworów z tego tomu Claude Debussy skomponował muzykę); powieści: debiutanckiej, opisującej życie kurtyzany w staroż. Aleksandrii pt. *Afrodyta* (oryg. *Aphrodite* — *mœurs antiques*, tj. „Afrodyta — antyczne obyczaje”, 1896) oraz *Kobieta i pajac* (oryg. *La femme et le pantin* 1898; adaptację filmową stanowi ostatni obraz Luisa Buñuela pt. *Mroczny przedmiot pożądania*), a także czysto libertyńskie w duchu: *Les Aventures du roi Pausole* („Przygody króla Pausole'a”, 1901) czy *Pervigilium Mortis* (1916). [przypis edytorski]

¹²⁸Boccaccio, Giovanni (1313–1375) — włoski pisarz, humanista; autor zbioru stu nowel zatytułowanego *Dekameron*, rozwinął prozę artystyczną, gatunek noweli oraz stworzył tzw. *teorię sokola* (kluczowego, powracającego w noweli motywu). Wiele spośród jego tekstów ma zabarwienie erotyczne. [przypis edytorski]

¹²⁹Aretino, Pietro, właśc. Pietro Bacci (1492–1556) — włoski pisarz, publicysta i szantażysta, zw. biczem książąt; pochodził z Arezzo (stąd jego przydomek Aretino); uważany za twórcę pornografii, znany jako autor *Żywotów kurtyzan* (1536) oraz dialogów i rozważań włożonych w usta kurtyzan, odzwierciedlających renesansową swobodę erotyczną (*Rozważania*, oryg. *Ragionamenti* 1536–1556). [przypis edytorski]

¹³⁰Annunzio, Gabriele Michele Raffaele Ugo d' (1863–1938) — włoski lotnik wojskowy, poeta, dramaturg, prozaik oraz polityk; znany zwłaszcza dzięki powieści *Triumf śmierci* (1894); często wskazywany jako jeden z prekursorów włoskiego faszyzmu. [przypis edytorski]

¹³¹nowym błazeńskim pomysłem — aluzja do różnych efekciarskich demonstracji wojennych i politycznych pisarza. [przypis redakcyjny]

¹³²Strindberg, August (1849–1912) — pisarz i malarz szwedzki, ustanowił nowy język literacki i formę nowoczesnego dramatu, zaszczerpił w Szwecji europejskie prądy literackie (np. naturalizm, ekspresjonizm); autor m.in. dramatów *Ojciec* (1887), *Panna Julia* (1888), *Pierwsze ostrzeżenie* (1892), *Do Damaszku* (1898), *Zbrodnie i zbrodnie* (1899), *Gustaw Waza* (1899), *Sonata widm* (1907); powieści *Czerwony pokój* (1879), *Historie małżeńskie* (I, 1884; II, 1886), *Spowiedź szaleńca* (1888), *Inferno* (1897); eseju z zakresu krytyki sztuki *Nowe sztuki czyli rola przypadku w powstawaniu dzieła sztuki* oraz obrazów w duchu ekspresjonizmu, m.in. *Kraina czarów* (1894) czy *Miasto* (1903), a także eksperymentalnych fotografii (m.in. cyklu autoportretów z lat 1886, 1893 i 1906). [przypis edytorski]

¹³³mizogin (z gr.) — wróg kobiet. [przypis redakcyjny]

¹³⁴Otto Weininger (1880–1903) — filozof i psycholog austriacki, autor głośnego dzieła *Płeć i charakter*. [przypis redakcyjny]

Szczególnym pietyzmem otoczyła pani Amelia lirykę miłosną Safony¹³⁵ z Lesbos. Utwory greckiej poetki w przekładach: polskim, francuskim i niemieckim, zwracały na się uwagę wytworną i pełną smaku powierzchownością.

Osobny kącik przeznaczony był dla pisarzy-zboczeńców, których życie bogate w płciowe osobliwości i wykojeżenia znalazło częściowe, bo hamowane względami na cenzurę, odbicie w utworach. Nie wszystko, z czym się tu można było spotkać, stało na poziomie sztuki; książki niektórych przedstawicieli tego rodzaju literatury miały chyba tylko specjalną, psychiatryczną wartość jako interesujące okazy zwyrodnień i zbroceń popędu płciowego.

Właśnie ku temu cichemu zakątkowi biblioteki skierowała swego gościa pani Amelia. Tutaj z elukubracjami osławionego zwyrodnialca Sacher-Masocha¹³⁶ sąsiadowały dwa tomy ujęte w oprawę z czerwonego safianu. Tytułu ani nazwiska autora nie było na wierzchniej okładce; skromny wydawca ukrył je wstydliwie wewnątrz, by nie rzucały się niepotrzebnie w oczy.

Pomian wyjął książkę i zaczął przeglądać.

— *120 dni Sodomy czyli szkoła rozpusty* — przeczytał tytuł na pierwszej kartce.

„Obiecujący początek — pomyślał, studiując wyuzdaną, lubo świetnie zrobioną wianitę. — A jeszcze bardziej obiecujące nazwisko autora!”

Był nim markiz de Sade¹³⁷. — Książka, którą miał przed sobą, należała do bibliograficznych rzadkości. Było to jedno z tych zakazanych i klątwą obłożonych dzieł, które drukuje się tylko w nielicznej ilości egzemplarzy, a sprzedaje po kryjomu w ciasnym kółku „dyskretnych i wypróbowanych”. Zwyrodniały autor podobno napisał je w więzieniu w Bastylji na wąskiej, 121 metrów długiej taśmie papieru, którą później udało się przemycić na świat boży ku ucieście rozpustników i psychopatów. Pomian słyszał o istnieniu tej książki, lecz dotychczas jakoś nie wpadła mu w ręce.

Mimo woli odwróciwszy się plecami do grającej wciąż Amelii, zaczął przerzucać kartki. Ilustracje zdumiewały swym niekrepującym się niczym bezwstydem — treść bez watorów artystycznych, choć ujęta w formę poprawną, zawierała historię 120 dni spędzonych przez kilku podstarzałych zwyrodnialców w odległym, od świata odcięтым zamku, gdzie bezkarnie dawali upust swym zbroczonym i chorym żądzom. Autor, sam zdeklarowany psychopata na tle seksualnym, pragnął w tym dziele zamknąć wszystkie możliwe rodzaje zbroceń erotycznych, o jakich tylko zamarzyć może zwyrodniała wyobraźnia.

Po przeczytaniu paru ustępów doznał Pomian uczucia niesmaku i znudzenia — ohydne sceny biesiad zamkowych z małymi odmiankami powtarzały się i kończyły mniej więcej w ten sam sposób... Braku inwencji artystycznej nie zdołał markiz nadrobić tupetem rozpustnika.

Chciał już odłożyć książkę, gdy przykuła jego uwagę pełna rozpasania i mocna w rysunku ilustracja końcowa. Pochylny nad świetną heliografiurą i zagłębiony w studio waniu wyszukanej pieszczoty, którą kobieta obdarzała siedzącego na krawędzi jej łóżka mężczyznę, nie zauważył, że Amelia przestała grać. Nagle uczył na ramionach parę pieściwych rąk i czyjś gorący oddech na twarzy.

— Dobrze wykonane, nieprawdaż? — usłyszał ciche, namiętne pytanie.

— Bajecznie!

I nie mogąc opanować rozkielzanej wrzątkiem krwi namiętności, przechylił wstecz głowę i ustami znalazł jej usta....

¹³⁵Safona VII/VI–VI p.n.e.) — grecka poetka liryczna, autorka pieśni weselnych, hymnów, liryki miłosnej lesbijskiej; według legendy nieszczęśliwa w miłości popelniła samobójstwo, rzucając się w morze ze Skaly Leukadejskiej. [przypis edytorski]

¹³⁶Sacher-Masoch, Leopold von (1836–1895) — pisarz austriacki, autor sensacyjnych powieści o tematyce perwersyjno-erotycznej, np. *Wenus w futrze*. [przypis redakcyjny]

¹³⁷Sade, Donatien Alphonse François de (1740–1814) — francuski pisarz, libertyn, głoszący jako wartość życie w zgodzie ze skrajnie pojętą wolnością jednostki, przekreślającą ograniczenia ze strony moralności, religii czy prawa i nakazującą podążanie za wszelkimi popędami i pragnieniami; w ostatniej dekadzie XVIII w. był jednym z najpopularniejszych pisarzy paryskich, następnie zaś najbardziej tępionym przez cenzurę (zacierano wszelkie ślady jego publikacji); większość swego życia spędził w więzieniu lub na wygnaniu; od nazwiska markiza de Sade pochodzi nazwa jednego z zaburzeń preferencji seksualnych, *sadyzmu*. [przypis edytorski]

Niespodzianie drzwi od przedpokoju otworzyły się i weszła Justynka. Piękne czarne oczy subretki¹³⁸ spoczęły na nich z wyrazem nietajonego gniewu.

— A! — wycedziła przez zaciśnięte zęby. — Przepraszam... Nie wiedziałam, że przeskodzę...

Pomian osłupiał. Zuchwałość tej dziewczyny przechodziła wszelkie granice. Krew uderzyła mu do głowy i porwał się z miejsca. Lecz wstrzymał go gest Amelii.

— *Laissez!* — szepnęła błagalnie. — *C'est mon affaire*¹³⁹. Niechaj Justynka wróci do siebie i położy się do łóżka — zwróciła się z kolei do pokojówki nadspodziewanie łagodnie i pojednawczo. — A na przyszłość nie wzywana proszę nie wchodzić do pokoju.

Justynka zdawała się nie słyszeć słów swej pani i przez chwilę jeszcze stała na progu, mierząc oboje złymi oczyma. W końcu, zaniósłszy się krótkim, histerycznym śmiechem, znikła za drzwiami.

— Ona jest o panią zazdrosna — rzekł, krzywiąc się z niesmakiem, po odejściu sługi.

— Co za myśl! — zaprzeczyła energicznie, mieniając się pod jego spojrzeniem. — Jest tylko trochę egzaltowana. Zresztą bardzo poczciwa dziewczyna.

Nie odpowiedział, nie chcąc przedłużać konwersacji na drażliwy temat. Mimo to „egzaltowana” dziewczyna popsowała im zakończenie wieczoru, które zapowiadało się tak ponętnie....

Lecz pocałunek otworzył Pomianowi „wrota raj”. W czasie najbliższej schadzki Amelia oddała mu się bez zastrzeżeń. Namiętność jej odurzyła go. Po kilku godzinach szalonych pieszczot wyszedł od niej oczarowany i z mgłą rozkoszy na oczach.

Rozpoczął się okres dzikiego, nieprawdopodobnego szczęścia.

Nie chciało mu się wprost wierzyć, że można być tak szczęśliwym z kobietą, która nie kocha.

Bo o miłości w ich stosunku wtedy nie było mowy. Była tylko żądza, podsycana u niego jej niezwykle urokiem fizycznym, rozpętana u niej hamulcem wdowieństwa; ta niezwykle zmysłowa kobieta nie mogła obejść się przez czas dłuższy bez pieszczot mężczyzny.

Lecz po pierwszych uniesieniach Amelia zapragnęła zatrzymać dla siebie rolę kierowniczą i skupić w swym ręku wszystkie nici przewodnie stosunku. Tu jednak spotkała się z jego silną, zdecydowaną wolą.

Niespostrzeżenie rozpoczęła się cicha a zawzięta walka, która zogniskowała się niebawem w dwóch kierunkach; jedną osią konfliktu były jej kaprysy erotyczne, drugą wyraźna chęć odwrócenia kochanka od jego dotychczasowych celów i zadań życiowych i zamknięcia go w ciasnym kole seksualnych spraw i zainteresowań. Lecz ani tu, ani tam nie mogła poszczycić się żadnym sukcesem; Pomian był namiętny, ognisty jak płomień — ale też uparty i nieustępliwy jak stal. Ilekroć kochanka usiłowała przekroczyć zakreśloną przez niego barierę, zatrzymywała ją w półdrodzu i osadzała na miejscu niewidzialna moc. Zwłaszcza drażniła ją nieustępliwość, jaką okazywał wobec pewnych jej zachcianek miłosnych. Wszelkie zakusy „edukacyjne” w tym kierunku spełzały stale na niczym. Erotyzm Pomiana, zdrowy i normalny, stawiał żywiołowy opór jej wybrykom, zwłaszcza że te obrażały jego męskość i godność ludzką. Amelia musiała zadowalać się niewinnymi surogatami, które jej symbolizowały „rzeczy większe”. Mimo całej namiętności, jaką miał dla niej, Pomian nie dał się ani razu zbrutalizować.

Nie zdołała go też odwieść od raz obranej drogi i skierować lotu ku przyziernym wądołom. Ignorowanie jego twórczości i uporczywe przechodzenie do porządku dziennego nad jego sukcesami przyjmował z uśmiechem pobłażania. Nie kochali się przecież, tylko pożądali wzajemnie — cóż mu więc mogło zależeć na jej opinii i życzliwości? Mógł jej być tylko wdzięcznym za poczucie pełni życiowej, za wzmożenie tętna wewnętrznego, które wywołała w nim swą namiętnością. Czegóż więcej można było żądać od tej kobiety?

Niczego. Stanowczo niczego.

¹³⁸subretka (z fr. *soubrette*) — pokojówka, służąca; typ postaci wywodzący się z komedii dell'arte, występujący w operetce i operze komicznej. [przypis edytorski]

¹³⁹*Laissez... C'est mon affaire* (fr.) — Daj pokój... To moja sprawa. [przypis redakcyjny]

Nawet czasu nie zdołała mu zrabować, tego drogiego czasu, którego on, artysta, umiał tak genialnie używać. Mimo widocznych jej wysiłków w tej mierze osoba jej nie „wypełniła” mu sobą po brzegi „każdej chwilki”, każdej sekundy. Pozostał sobą i nie pozwolił na niebezpieczną osmozę: nie przesiąkło weń nic z jej pośledniejszej jaźni. Czuła to i bolało to dotkliwie jej kobiecą próżność. Z drugiej strony pociąg fizyczny do kochanka i niechęć do zawiązywania nowej znajomości wstrzymywały ją na razie od gwałtowniejszej reakcji. Lecz sytuacja zaostrzała się z tygodnia na tydzień i starcie stawało się nieuchronne. Aż w któryś z ostatnich dni sierpnia przyszło do wyładowania.

Pomian był dnia tego w wysmienitym humorze. Jego ostatnią powieść przyjęła krytyka nader życzliwie i właśnie w numerze porannym jednej z gazet pojawiła się entuzjastyczna ocena jego utworu. Chociaż Amelia jako prenumeratorka „Przeglądu” recenzję niewątpliwie czytała, mimo to zachowała w tej sprawie dyskretne milczenie, ani słowem nie czyniąc żadnej w tym względzie aluzji. On też nie podzielił się z nią wesołą nowiną, skierowując rozmowę na zupełnie inne tory. Lecz wesołości swej i zadowolenia nie starał się bynajmniej ukrywać, co znów psuło widocznie humor kochance; parę razy wyczuł na sobie jej gniewne spojrzenie.

Mimo to koło godziny siódmej wieczorem niechęć pięknej pani ulotniła się i sama zaproponowała mu spędzenie kilku chwil w jej rozkosznej sypialni.

Jakby wynagradzając mu początkową oziębłość, roztoczyła Amelia przed nim tego wieczora całe nieprzebrane bogactwo swych pojęć. W pewnej chwili, gdy wśród oplotów jego nóg i ramion odbierała odeń po raz trzeci miłosną daninę, ciałem jej rozżarzonym od pożaru krwi zaczęły wstrząsać spazmatyczne dreszcze, a z piersi wydobyło się ciche, przejmujące łkanie. Płakała z rozkoszy...

Przytulił usta do jej łona i namiętnie wodził nimi po całym jej słodkim ciele...

Nagle, podniósłszy głowę z poduszek, ukąsiła go w ramię tak silnie, że nie zdołał powstrzymać okrzyku bólu. Lecz zaraz uśmiechnął się i tamując chusteczką strumień krwi, zapytał:

— Czy dziś jesteś ze mnie zadowolona, Mela?

— Niezupełnie — odpowiedziała, fascynując go spojrzeniem dziwnie błyszczących w tej chwili oczu.

I wydobywszy z puzderka na nocnym stoliku długą ostrą szpilkę z turmalinową główką, skierowała ją ostrzem ku jego udu.

Spochmurniał i cofając się od łóżka w głąb pokoju, rzekł stanowczo:

— Na to nigdy nie pozwolę. Musisz raz nareszcie zrozumieć, że nie jestem Justynką. W ogóle muszę cię raz przecież oduczyć tych dzikich i barbarzyńskich zachcianek.

Jak pod razem szpicruty zerwała się z łóżka i, piorunując go oczyma, wskazała mu drzwi.

— Justyna! — wyszedł z jej gardła zgłuszony wściekłością rozkaz — Justyna!

Na tle kotary oddzielającej sypialnię od sąsiedniego pokoju zarysowała się postać subretki.

— Jaśnie pani rozkaże?

Lecz naprężenie nerwowe wzięło górę. Amelia blada jak płótno, wstrząsana histerycznymi podrzutami upadła wstecz bez słowa, rozciągając się przepychem nagiego ciała w poprzek łóżka.

— Jezus, Maria! — krzyknęła pokojówka, przesywając go nienawistnymi oczyma. — Co pan tutaj wyprawia?

I rzuciła się do ratowania pani. Lecz Pomian wściekłym ruchem odtrącił ją od omdlałej.

— Wynos się stąd natychmiast! Obejdzie się tu bez ciebie! — I nie zważając już na protesty rozzuchwalonej dziewczyny, zaczął cucić kochankę solami z podręcznej apteczki. Gdy po kilku sekundach otworzyła półprzymknięte oczy, powierzył ją opiece ponuro obserwującej jego ruchy Justynki.

— A język radzę ci trzymać za zębami — rzekł jej po prostu na odchodnym. — Pani potrzebuje teraz spokoju. Zabraniam ci drażnić ją w jakikolwiek sposób. Pamiętaj! — dodał tonem groźby. — Bo cała ta historia może się dla ciebie bardzo smutno skończyć!

I szybko ubrawszy się, wyszedł.

Seks, Rozkosz

ZŁA GODZINA

W niespełna tydzień po przykrej scenie otrzymał list, w którym jak gdyby nigdy nic upraszała go na „przyjacielską herbatkę”. List po przeczytaniu spalił, a z zaproszenia naturalnie nie skorzystał. W dwa dni potem przyszedł list drugi, zdradzający objawy pewnej skruchy. Amelia prosiła, by się więcej „nie dąsał” i puścił w niepamięć „dziecinne w istocie rzeczy nieporozumienie”. Nazwała go przy tym „dużym dzieckiem, które nie rozumie się na żartach”.

Gdy i na to wezwanie pozostał nieczuły, uderzyła po raz trzeci w ton pokory i prośby: w słowach pełnych żalu błagała o przebaczenie. I na ten list nie odpowiedział. Wtedy przyszła do niego sama w porze popołudniowej, koło trzeciej, kiedy go można było zawsze zastać w domu.

Ujrawszy jej twarz zmienioną, jakąś dziwnie drobną i wyszczuploną z parą cudnych, błyszczących gorączkowo oczu, uczył niby wyrzut sumienia i długo trzymał w objęciach tulącą mu się do piersi.

I zrozumieli wtedy oboje, że chwila ta była narodzinami ich miłości.

Amelia zmieniła się do niepoznania. Namiętność jej, przedtem zaborcza i dzika, nabrała odcienia słodczy i głębokiego liryzmu. I w domu jej zaszły w czasie trzytygodniowej nieobecności Pomiana znamienne zmiany. Po gwałtownej scenie z Justynką oddaliła ją ze służby. Miejsce dorodnej pokojówki zajęła kobieta już starsza, poważna, lubo¹⁴⁰ trochę tetryczna¹⁴¹.

Wiadomość ta ucieszyła go bardzo, gdyż widział w tym niewątpliwy zwrot ku zdrowym, normalnym stosunkom. Powoli atmosfera oczyszczała się z nalotów wrogiej mu i wstrętnej jaźni, której dominujący wpływ ciążył dotychczas na wszystkim tym, co dotyczyło Amelii.

Od krytycznego popołudnia, które ich znów zbliżyło ku sobie, nastąpiło w ich stosunku rozstrzygające przesilenie. Zmieniły się upodobania, nabrały zupełnie innego charakteru ich rozmowy i rozrywki. Zaszło piękne i rzadkie zjawisko, które on nazwał po czasie „spirytualizacją żądy”. Cudowny ptak miłości zawitał wprawdzie późno do ich ogrodu, lecz za to pieśń, którą im zanucił, była tym czystsza, tym silniej uczuciem wezbrana...

Pewnego dnia Pomian, wszedłszy do jej buduaru, z przyjemnością zastał ją przy lekturze *Dzikiej kaczki*.

— Czytujesz chętnie Ibsena? — zapytał, uśmiechając się zadowolony.

— Tak mi go zachwalałeś, że nie mogłam się oprzeć pokusie.

— No i?

— Potężny i głęboki. Za głęboki dla mnie — rzekła z pokorą, kładąc mu głowę na ramieniu. — Będziesz mi musiał niejedno wytłumaczyć.

— Wybornie! Będziemy czytali razem. A potem pójdziemy do teatru oglądać dzieło wielkiego starca. Właśnie komunikaty zapowiadają wznowienie całego cyklu.

— Doskonale!

— Ale, ale! Przedtem możesz poznać głęboki utwór innego norweskiego pisarza. Jutro grają Björnsona *Ponad siły*¹⁴². Będzie to znakomite przygotowanie do rzeczy trudniejszych, jakimi są wizje sceniczne Henryka Ibsena. No, cóż? Pójdziesz?

— Z prawdziwą ochotą, mój ty słodki nauczycielu!

I poszli nazajutrz wieczorem do teatru.

Wrażenie, jakie zrobił dramat na Amelii, było ogromne. Wychowana pod „troskliwym okiem” śp. męża niemal wyłącznie na banalnych farsach i komediach francuskich lub też na domorosłych, zapatrzonych na tamte sztuczki, odetchnęła w szlachetnej i czystej atmosferze prawdziwego piękna. Zwłaszcza zakończenie części pierwszej wstrząsnęło nią do głębi. Utwór wielkiego dramaturga poruszył w jej bogatej i pełnej nieodkrytych dotąd możliwości duszy nowe, nieprzeczuwane przez nią struny. Drzemiące od lat pytania, zbywane zwykle przez Praderę uśmiechem ironii lub lekceważącym wzrusze-

¹⁴⁰lubo (daw.) — choć, chociaż. [przypis edytorski]

¹⁴¹tetryczny (daw.) — zgorzkniały, zgryźliwy, gderliwy; właściwy tetrykowi. [przypis edytorski]

¹⁴²„Ponad siły” — głośny dramat pisarza norweskiego Björnstjerne Björnsona (1832–1910). [przypis redakcyjny]

niem ramion, zmartwychwstały pod ożywczym tchnieniem wielkiej sztuki. Przez parę najbliższych dni żywo omawiała z ukochanym poruszone w dramacie zagadnienia.

— Ostatecznie jednak — zauważyła pod koniec dyskusji — stajemy na rozdrożu. Pastor, zdobywszy się na nadludzki wysiłek woli, którym dźwignął z łoża chorą śmiertelną żonę, ginie zdławiony szponami okrutnej wątpliwości. Przez chwilę zdaje się, że przebiega scenę olśniewająca błyskawica cudu — rozchylają się tajemnicze podwoje, odsłaniają dreszczem przejmujące perspektywy zaświatów... Niestety, jest to tylko moment.

— Boga nikt nie widział, Amelio: a ten, kto Go ujrzał, przypłacił to życiem lub... rozumem. Ideal jest w śmierci, w nieokreśleniu... A jednak sam fakt, że ta ciężko chora kobieta powstała z łoża boleści na wezwanie dzwonu, który *on* rozkołysał, mówi mi dużo, bardzo dużo. Może więcej, niż przypuszczał sam dramaturg.

— Świadczy o potędze woli jej męża.

— Tak, tak: tak to się mówi. Wola, sugestia... piękne, „naukowo” brzmiące ogólniki. Dla mnie jest on dowodem, że tkwią w nas tajemnicze moce, które, przełamując prawa fizyczne, trwają zwycięsko i poza rubieżami życia i śmierci. Dla mnie ta scena końcowa, poprzedzająca bezpośrednio tragiczny zgon pastora, świadczy o istnieniu w duszy ludzkiej sił, które nie giną i nie rozwiewają się z rozkładem naszej ziemskiej powłoki. Człowiek jest istotą nieśmiertelną, Amelio!

Słuchała w zamyśleniu.

— Kazik nie wierzył w życie po śmierci — rzekła nagle tonem sprzeciwu — i wyśmiewał tych, co okazywali skłonność do transcendentalnych mrzonek. A przecież miał umysł potężny.

— To jeszcze nie kwestia. Taki Pitagoras, Platon, Dante, Szekspir, Słowacki lub Dostojewski byli chyba jaźniami potężniejsi od ministra Pradery, a wierzyli... Zresztą w ostatnich czasach tzw. nauki metapsychiczne dostarczają na to coraz to więcej, coraz to bardziej przekonujących dowodów. Weźmy np. choćby tylko jedno ich specjalne odgałęzienie, znane pod nazwą mediumizmu.

— Stoliki wirujące, co? — uśmiechnęła się z lekceważeniem. — Brałam raz udział w tych eksperymentach, lecz nie nawróciły mnie. Wszystko można tu wytłumaczyć podświadomym działaniem ludzkiego fluidu czy innej jakiejś (mniejsza o nazwę) energii, wpływającej przez kończyny palców z naszego organizmu; nie potrzeba aż uciekać się do pomocy „duchów”.

— Zapewne, lecz są objawy głębsze i bardziej zagadkowe. Czy widziałaś kiedy fenomen materializacji?

— Nie. Słyszałam tylko o nim. Wspomniał mi raz o tym Kazik.

— Czy wątpił też w realność tych objawów?

— To: nie, lecz sądził, że fantomy są tworem samych mediów i nie mają nic wspólnego z zaświatem.

— Pomijając na razie kwestię interwencji świata duchów przy tej kategorii zjawisk, czyż nie zastanawia sam fakt materializacji, tego dziwnego, nieprawdopodobnego wprost kształtowania się widm, które czasem wykazują własności ciał żyjących, z krwi i kości? Czyż nie przekracza wszystkich dotychczas znanych i uznanych zasad fizyki i biologii objaw wydzielania się z medium tajemniczej ektoplazmy¹⁴³, owo cudowne samoródtwo ludzkich i zwierzęcych kształtów, wywracająca na nice dotychczasową wiedzę o człowieku partenogeneza fantomów¹⁴⁴?... Tu, tu właśnie widzę przejście z tego brzegu na tamten; tu, w zagadkowym półmroku przyćmionych światłał przerzuca się most na tamtą stronę.

— Podobno przychwytywano media na oszustwie — broniła opornie swego stanowiska Amelia.

— To jeszcze nie dowód, że *wszystkie* te zjawiska są tworam szarlatanerii. Objawom wątpliwym lub podrobionym można przeciwstawić setki i tysiące obserwowanych pod ścisłą, prawdziwie naukową kontrolą, wykluczającą szalbierstwo. O tych rzeczach nie można wydawać sądu na ślepo, Melu: trzeba je widzieć na własne oczy, jak ja je wi-

¹⁴³ektoplazma (z gr.) — wydzielina z organizmu medium, z której formują się fantomy. [przypis redakcyjny]

¹⁴⁴partenogeneza fantomów (z gr.) — dzieworódtwo, samorzutne powstawanie fantomów. [przypis redakcyjny]

działem. Fenomeny naprawdę zdumiewające!... Miałbym wielką ochotę zabrać cię z sobą przynajmniej raz na seans, niewierny Tomaszu.

— *Thank you very much*¹⁴⁵: nie jestem ciekawa. Czuję wstręt do tych doświadczeń. Wydają mi się czymś obcym i wrogim naturze.

— Mam nadzieję, że z czasem zmienisz zdanie.

— Być może. Na razie wolę pozostać w sferze normalnych objawów życia.

I na tym wyczerpali dyskusję.

Wkrótce jednak potem zakradło się w „sferę normalnego życia” Amelii coś, co przyspieszyło znacznie spełnienie przepowiedni kochanka.

W ciągu miesięcy zimowych spostrzegł Pomian, że nerwy jej zaczynają nie dopisywać. Bez powodu przerywała rozpoczętą rozmowę i zdawała się czegoś nasłuchiwać. Czasem ni stąd, ni zowąd zmieniała ułożone od paru dni plany, odkładając pewne czynności na później. Często sprawiała wrażenie roztargnionej i czegoś wyczekującej. Dawniej własnowolna i trzeźwa aż do przesady, teraz stała się przesadna i jakby spętana przez blache i nic nieznaczące względy. Poniedziałki np. nabrały dla niej własności dni feralnych i zaczęła przypisywać specjalne znaczenie podarkom otrzymywanym od kochanka; pięknej, w kształcie iglicy wysadzanej perłami broszki, ofiarowanej przez niego w dzień jej imienin, nie przyjęła z obawy, by „się nie pokłócili” lub by „jej coś złego nie spotkało”.

— Od pewnego czasu — tłumaczyła mu trochę zakłopotana — przekonałam się, że nie należy przyjmować z rąk przyjaznych żadnych rzeczy ostrych, jak noże, szczyorki, szpilki itp. Ponadto słyszałam, że perły przynoszą nieszczęście.

Pomian potrząsnął głową z niedowierzaniem, lecz ostatecznie wobec zdecydowanej odmowy musiał ustąpić.

Pewnego wieczora, gdzieś w połowie marca, zastał ją w jasno oświetlonym saloniku w towarzystwie nowej pokojowej, pani Michalskiej, która trzymając Amelię w ramionach, zdawała się ją z jakiegoś powodu uspokajać i pocieszać. Spostrzegłszy wchodzącego, pocziwa kobieta odetchnęła z ulgą:

— Bogu najwyższemu chwała, że wielmożny pan nadszedł!

— Co się tu takiego stało? — zapytał zaniepokojony.

— At, proszę wielmożnego pana, jakieś zwidzenia czy coś takiego. Wielmożna pani niech sama opowie.

I dyskretnie usunęła się do swego pokoiku po drugiej stronie przedsionka.

Pomian usiadł obok ukochanej i ująwszy za ręce, obserwował ją zatroskany.

— Co tobie, Mela?

— Musisz sprowadzić się na stałe do mnie. Nie mogę dłużej pozostawać w tym domu, zwłaszcza w porze wieczornej.

— Masz rozigrane nerwy, najdroższa. Może lepiej zmienić mieszkanie?

— To nic nie pomoże; zawlokę ze sobą to samo i na nowe miejsce. Musisz mieszkać ze mną, Tadiusi. Oczywiście nie tu, przy Lipowej, lecz gdzie indziej. Upatrzyłam już dla nas piękną, dwupiętrową wilkę na „Dębinowej Kępie”.

— To szczególne!

— Cóż w tym tak nadzwyczajnego?

— To dziwne, że właśnie tam upatrzyłaś dla nas mieszkanie. Właśnie tam... na „Dębinowej Kępie”...

— Czy łączą cię z tą okolicą miasta jakie wspomnienia?

— Wspomnienia... Czy ja wiem?... Może majaki snu... niedobrego snu... Lecz mniej-
sza o to.

— A zatem zgadzasz się?

— Jeżeli ci się tam tak bardzo podoba, owszem. Ale wracając do twego obecnego stanu: czy to, co odczuwasz tutaj, jest zwykłym nerwowym niepokojem, czy też jest to coś bardziej określonego?

— Od paru dni słychać w pokojach szmery i dźwięki; meble bez powodu wydają cichy, suchy trzask, odzywają się jakieś szepty... Początkowo myślałam, że ulegam złudzeniom, i dlatego nic ci o tym nie mówiłam. Przed chwilą, zanim wszedłeś, usłyszałam

¹⁴⁵*thank you very much* (ang.) — Dziękuję panu bardzo. [przypis redakcyjny]

stąd w sypialni odgłos, przypominający ludzki stęk. Gdy krzyknęłam, nadbiegła Michalska i zaczęła mnie uspokajać. Wtedy nadszedłeś.

— Zwykle halucynacje akustyczne wywołane lekkim rozstrojem nerwów. Ponadto meble może się pozyszczać: ogrzewasz pomieszkowanie dość silnie.

— Nie, nie! Nie wmówisz we mnie, że wszystko to — to wrażenia czysto subiektywne. Poza tym jest coś innego.

— Zmienisz zatem mieszkanie; będziemy razem i wszystko wróci do dawnego porządku.

— Ale dzisiaj już zostaniesz tutaj, Tadeuszu — prosiła, oplątując mu szyję ramionami. Zamknął jej usta pocałunkiem na znak zgody...

Najbliższy czwartek spędzili razem już na nowym mieszkaniu w willi „Pod Olchami”. Dworek był zaciszny, w odległej dzielnicy miasta, a właściwie już na przedmieściu, otulony zewsząd splawami jodeł i sosen. Stąd z wysokości drugiego piętra ściełił się przed nimi rozległy, zimowy krajobraz. Pod wieczorną zorzę, co czerwoną luną gorzała na horyzoncie, strzelały w niebo stężale w mrozie ściany borów, wirowały spóźnione ptaki. Białym od śniegu szlakiem gościńca, który gubił się gdzieś tam w komyskach świerczyny, pędziły cwałem sanie; głos dzwonek rzeński, srebrzysty docierał do uszu wyraźnie poprzez czyste jak kryształ, szklące się miriadem igiełek powietrze.

Odeszli od okna.

— Zmierzcha się — rzekła cicho, podchodząc do żyrandolu. — Trzeba zaświecić.

— Nie psuj nastroju! Czyż nie piękniejsza ta szara godzina rozświecana szkarłatnym blaskiem kominka? — odpowiedział i przyciągnął ją łagodnie ku sobie.

Przez chwilę trwali w rozkoszy pocałunku, zanurzeni w gęstniejącym mroku... Wtem wstrząsnął ciszą głuchy łoskot w sąsiednim pokoju. Amelia wdrygnęła się i, wydawszy nerwowy okrzyk, przywarła do jego piersi.

— Słyszalesz?

— Coś spadło w salonie. Pójdę popatrzeć.

— Nie, nie! Nie zostawiaj mnie tutaj samej w ciemnościach!

— Więc najpierw zapalę lampę.

Oswobodziwszy się łagodnie z jej ramion, zaświecił żyrandol i nacisnął taster od lampy w salonie.

— Spadł wazon z palmą, którą ci dziś przysłałem — stwierdził, wszedłszy do sąsiedniego pokoju.

Spojrzała nań z przerażeniem:

— Zły znak na początek. I to w dodatku podarunek od ciebie na nowe mieszkanie. Czy wazon ocalał?

— Nie. Pogruhotany na drobne kawałki. Trochę to dziwne; spadł przecież z nieznacznej wysokości.

Stropieni i smutni podnieśli palmę i przesadzili tymczasowo do glinianego naczynia. Reszta wieczoru upłynęła im nieswojo...

Wypadek z wazonem był przygrywką do szeregu innych objawów, które zdradzały niedwuznacznie charakter prześladowczy i napastliwy. Niemal żadnego wieczora nie obyło się bez podejrzanych szmerów lub niemiłego wypadku. Bez widocznego powodu meble przewracały się, cienie sprzętów nabierały konturów podobnych do maszkar, po pokojach szczelnie zamkniętych i dobrze ogrzanych przeciągały chłodne powiewy.

Najgorsze były noce. Amelia spała w tym czasie krótko i nerwowo. Niejednokrotnie budziła się nagle zlaną zimnym potem przerażenia i skarżyła się, że czyjaś ręka przesuwająca się po jej twarzy chłodnymi, wilgotnymi palcami lub że czuje na szyi oddech ciężki, lodowaty.

Pomian, widząc jej mękę, namawiał, by poszła z nim do jednego z wybitnych neurologów. Odmówiła: nie wierzyła w skuteczność lekarskich zabiegów.

— To nie są nerwy, Tadeuszu. Sam w to nie wierzysz. To jest coś całkiem innego.

Wreszcie odważył się powiedzieć jej prawdę.

— Po rozwadze — rzekł pewnego rana, gdy znękana po nieprzespanej nocy drzemała oparta o jego ramię — doszedłem do przekonania, że z niewiadomych mi bliżej przyczyn rozwinęły się u ciebie własności mediumiczne.

Ocknęła się i popatrzyła mu zdumiona w oczy:

— A gdyby tak było w istocie?

— Moim zdaniem najlepiej byłoby porozumieć się z jakimś zawodowym medium i za jego pośrednictwem zbadać sprawę. Może poda nam środek, przy pomocy którego zdołamy uwolnić się od tego prześladowania.

— Uczyni, jak uważasz za stosowne — zgodziła się znękany głosem.

— Pomówię z dr. Toczyskim, eksperymentującym od dłuższego już czasu z niezwykle bogato wyposażonym w mediumiczne właściwości osobnikiem, który występuje pod imieniem Monitora.

— Proszę cię tylko bardzo o to, byś sobie zastrzegł u niego dyskrecję. Nie chciałabym, by sprawa nabrała rozgłosu i stała się tematem rozmów dla naszej plotkarskiej socjety.

— Zrobię wszystko, by uniknąć niepożądanego pieprzyku sensacji.

A jednak mimo usiłowań Pomiana nie udało się nadać seansowi charakteru bezwzględnie prywatnego. Toczyski, dowiedziawszy się, o co idzie, z góry zapowiedział, że w posiedzeniu weźmie udział paru wybitnych lekarzy-psychiatrów i kilku profesorów w charakterze rzeczoznawców i kontrolerów. Obawy Pomiana, wywołane względami na dyskrecję, uspokoił zapewnieniem, że wszelkie szczegóły pozostaną okryte ścisłą tajemnicą i że protokół posiedzenia odda mu do cenzury.

Seans odbył się 10 kwietnia w pogodny, wyjątkowo piękny i ciepły odwieczerek. Koło godziny szóstej po południu, gdy już mroki przedwieczorne zaczęły otulać ziemię, zebrali się uczestnicy posiedzenia w willi „Pod Olchami” na drugim piętrze, w zacisznym salonie Amelii. Nastrój był poważny, skupiony i pełen oczekiwania. Monitor, jak zapewniał jego impresario i psychiczny kierownik, dr Toczyski, był usposobiony znakomicie i obiecywał „wyjątkowe rzeczy”.

Jakoż nie zawiódł nadziei. Gdy po kilku minutach zupełnego milczenia jeden z obecnych zapalił lampę okrytą czerwonym abażurem i przyćmione, gorące światło rozlało się po wnętrzu, Monitor był już w stanie głębokiego transu.

— Czy masz jakie specjalne życzenie? — zapytał go Toczyski, spostrzegłszy niespokojne, odpychające ruchy rąk medium.

— Wyłączyć! — zabrzmiał w odpowiedzi senny, jakby zautomatyzowany głos Monitora. — Wyłączyć!

— Wyłączyć z łańcucha? Kogo? Powiedz!

— Amelię!

Toczyski zwrócił się zakłopotany do pani domu:

— Wybaczy łaskawa pani formę i treść życzenia. Lecz w transie wolno medium nie liczyć się ze względami towarzyskimi. Obecność łaskawej pani w łańcuchu widocznie mu przeszkadza; prawdopodobnie płyną od niej prądy, które utrudniają wywiązanie się jego teleplazmy.

— Czy mam opuścić pokój? — zapytała Amelia, powstając.

— Broń Boże! Wystarczy, jeśli łaskawa pani usiądzie tam w głębi, poza obrębem naszego koła... No cóż? — zwrócił się z kolei do Monitora, gdy pani Pradera zajęła miejsce w „pasie neutralnym”, w kącie salonu. — Czy teraz jesteś zadowolony?

— Zaśpiewajcie coś! — odparło medium swym bezdźwięcznym, monotonnym głosem.

— Zanuśmy mu coś z *Marty*¹⁴⁶. To jego ulubiona melodia.

W pokoju rozległa się po chwili łagodna, sentymentalna aria ze starej, romantycznej opery Flotowa.

— Przyćmić światło! — wypłynął rozkaz z zaciśniętych kurczowo ust Monitora. — Otworzyć okno!

Gdy blask lampy nabrał odcienia soczystej, głęboko stonowanej czerwieni, a przez uchylone okno zaczął wsączać się do wnętrza chłód wiosennego zmięzchu, stan śpiącego

¹⁴⁶ *coś z Marty* — jakąś melodię z opery Fryderyka von Flotowa (1812–1883) *Marta*. [przypis redakcyjny]

uległ widocznej zmianie. Ciało jego zaczęło wyginać się w nerwowych podrzutach, z piersi wydobywały się nieartykułowane dźwięki, podobne do jęków.

— Proszę obostrzyć kontrolę! — polecił dr Toczyski.

— Trzymam oburącz jego rękę prawą i wyczuwam wciąż pod stopą jego prawą nogę — odpowiedział mu jego kolega, siedzący po prawej stronie Monitora.

— Lewy bok nie mniej dobrze zabezpieczony — upewnił kontroler z przeciwnej strony.

— Może pan zechce sprawdzić stan rzeczy przy pomocy ślepej latarki? — zwrócił się Toczyski do Pomiana. — Tylko ostrożnie! Proszę uważać, by światło nie padło mu na oczy.

— Wszystko w porządku — stwierdził Pomian, puszczać wąski pęk czerwonych promieni w kierunku nóg śpiącego. — Skrępowany należycie.

I zgasił latarkę.

Nad głowami obecnych ukazały się drobne, błękitne światełka i zaczęły bujać w powietrzu.

— Pierwsze objawy — objaśnił Toczyski. — Dziś zaczynamy od fenomenów świetlnych.

Z kąta pokoju zabrzmiały ciche akordy pianina.

— Teraz przestaniemy śpiewać — rzekł dr Toczyski.

Pomian obrócił się w stronę, skąd dochodziły dźwięki.

— Czy to pani gra, pani Amelio?

— Nie. Siedzę po przeciwnej stronie pokoju — doszedł go głos jej drżący i jakby oddalony.

Niewidzialne dłonie przebiegały po klawiszach, wyczarowując melodię Pana wioski z *Widm* Moniuszki.

W ponuro-szkarlatnym blasku żyrandolu twarz medium wykrzywiła się spazmem męki.

— A-a-a... A, a, a...

— Powoli bierze go w posiadanie jego *Spiritus Rector*¹⁴⁷ — tłumaczył sytuację stojący poza łańcuchem lekarz. — Tym mianem określa zwykle tajemniczą jaźń, która się przez niego przejawia.

— A-a-a... A-a-a... — jęczał śpiący.

Po twarzy Toczyskiego przemknął cień niepokoju.

— Coś dziś zbyt się męczy — szepnął do siedzącego obok profesora.

— Ha! Kto to?! — zarzęził nagle Monitor. — K—t—o— t—o? — powtórzył słabiej, jakby borykając się z niewidzialnym przeciwnikiem, i zamilkł obezwładniony zupełnie...

Z okolicy łonowej, z ust i spod pach medium zaczęły wywiązywać się szarobiałe pasma ektooplazmy. Wkrótce Monitor zniknął niemal cały w mlecznych jej otokach. Wysiąk był wyjątkowo silny...

Pomian odwrócił głowę ku Amelii. Siedziała skurczona w kącie pokoju, obserwując rozszerzonymi źrenicami narodziny fantomu. Wtem z dzikim okrzykiem porwała się z miejsca, wlepiając oczy w przestrzeń w pośrodku łańcucha. Pomian skierował spojrzenie w tę samą stronę i uczył dreszcz grozy...

W pośrodku koła utworzonego przez uczestników seansu unosiło się ponad ich głowami widmo mężczyzny: potężna, wyrazista twarz o wydatnych, silnie rozwiniętych szczękach i szerokim, olimpijskim czole.

— Minister Pradera! — szepnęło parę głosów, rozpoznając rysy wielkiego męża stanu. — Minister Pradera!

Na twarzy fantomu zaigrał złowieszczy uśmiech. Prawe oko zbrojne w monokl zacisnęło się silniej dookoła szkiełka i zadrgało nerwowym skurczem. Wśród śmiertelnej ciszy widmo zawahało się, zakołysało i zaczęło posuwać się w stronę Amelii.

Nieszczęśliwa, nie mogąc oderwać oczu od twarzy męża, bezwiednie cofała się przed nim wzdłuż ściany.

— Precz! — zagrzmiął nagle głos Pomiana, który nieludzkim wysiłkiem opanowawszy przerażenie, usiłował zastąpić drogę przeciwnikowi. — Precz stąd!

¹⁴⁷*Spiritus Rector* (łac.) — duch kierujący. [przypis redakcyjny]

Lecz poraził go niewidzialny prąd i odepchnął daleko w kąt salonu. Zatoczył się jak pijany i oparł plecami o ścianę. Zwycięskie widmo pędziło dalej przed sobą wiarołomną żonę. Nikt nie śmiał stawiać mu oporu; wszyscy jak zaczarowani stali pod urokiem grozy.

Gdy Pomian, przyszedłszy do siebie po zadanych sobie ciosie, rzucił się ponownie na ratunek ukochanej, było już za późno. Zaszczuta w róg pokoju, odcięta od żywych przez nieubłaganą marę, zaniosła się nagle obłąkanym śmiechem i wskoczywszy na sofę, runęła przez otwarte okno w dół...

U WRZEŚMIANA (WYJĄTKI Z PAMIĘTNIKA TADEUSZA POMIANA)

Wczoraj odwiedziłem Wrześmiana w jego pustelni. Ledwie go poznałem! Ten człowiek gaśnie w oczach! Postarzał się, posiwiał, zdziczał. Żyje w odosobnieniu niemal zupełnym. Odsunął się od świata i ludzi w odległy, podmiejski zakątek i tu w ciszy głębokiej spędza długie, samotne godziny. Jest mi dziwnie bliski ten nerwowy, 34-letni starzec. Tak bliski, że czasem zdaje mi się, jak gdyby był mym drugim „ja”, tylko widzianym od wewnątrz. Jest to jakby drugie, nieznanne światu oblicze mej jaźni. Bo właściwie zrąb, o który oparte są nasze twórczości, jest jeden i ten sam; różnica cała między nami polega na tym, że ja szedłem drogą podboju i niewoliłem ku sobie tłumy, gdy on, nieuleczalny marzyciel, zadawał się wpływem na dusze wybrane. Utwory moje, syte barwami życia i pulsacją krwi, pociągają za sobą tysiące, którym zdaje się, że przemawia ktoś do nich podobny — twórczość Wrześmiana, dyskretna, przesłonięta kwefem mistycznej mgły, księżycowa, oczarowuje tylko ludzi wyjątkowych. Różnica charakteru raczej, temperamentu, nie istoty twórczej. Podobno jeden z jego „przyjaciół” powiedział mu raz w przystępie szczerości, że „nie jest naturą zdobywcą”. O tak, niewątpliwie — Wrześmian nigdy nie miał zamiaru „zdobywać”. Był na to za subtelny, myślowo za wytworny i za głęboki. Dlatego nigdy nie był pisarzem popularnym.

Literat, Plotka, Sława

Natomiast miał naśladowców i popularyzatorów. Szalone pomysły jego, pełne zśrodkowanej treści, działały zapładniająco na talenty niższe, ale obdarzone tzw. sprytem literackim. Twórczość Wrześmiana stała się wkrótce wygodną kopalnią, zbiornikiem tematów dziwnych i wyjątkowych, z którego można było bezkarnie czerpać pełnymi garściami. *Nota bene*¹⁴⁸ oficjalna krytyka nigdy ani słówkiem o tym nie pisnęła. Owszem, pisano dużo i pochlebnie o zręcznych naśladowcach, starannie zakrywając faszynami milczenia właściwe źródło. Bo i po co? Wiedziano przecież powszechnie, że Wrześmian nie umie się „rewanżować”, że do żadnej kliky literackiej nie przystąpi i do podstawiania nogi drugim za żadną cenę nie pomoże. Powoli, z upływem lat wytworzyła się dookoła jego osoby przeraźliwa pustka, owa zionąca chłodem *splendid isolation*¹⁴⁹, która była jego dumą i nagrodą.

Lecz właśnie tego osamotnienia, tej pięknej samowystarczalności nie mogli mu ludzie darować. Ponieważ nie umiał i nie chciał płaszczyć się i schlebiać, nie raczył zabiegać o łaskawe względy i względziki i nie świecił baków¹⁵⁰ byle komu — szła w jego ślady cicha, systematyczna zemsta „obrażonych”. Mała, ludzka, arcyłudzka zawiść kierowała jej ruchami, zaprawiała jadem i żółcią bratnie pióra, zacięła ostro stalówki. Atakowano, jak kto umiał i na co kogo stało. Były sztychy otwarte i maskowane, wypadły wprost i okrężne, spoza opłotków, drogą objazdową. Nie brakło i paru ordynarnych napaści, nie obyło się i bez kilku większych i mniejszych podłostek.

Kiedy mimo rodzimych tłumików nazwisko Wrześmiana zaczęło przedostawać się poza rubieżę kraju i grono zwolenników i szczerych przyjaciół czyniło starania, by wprowadzić jego dramat na sceny zagraniczne, odezwały się głosy „odradzające”; troskliwi o *prestige* polskiego dramatu ziomkowie usiłowali rękami i nogami nie dopuścić do realizacji scenicznej utworu, który zbyt odchodził się od swojskiego szablonu i nie otrzymał przepustki na eksport w literackiej komorze celnej.

¹⁴⁸*nota bene* (łac.) — co warto zauważyć. [przypis edytorski]

¹⁴⁹*splendid isolation* (ang.) — wspaniałe, wyniosłe odosobnienie. [przypis redakcyjny]

¹⁵⁰*świecić baki komu* (daw., przestarz.) — pochlebiać komu, nadskakiwać z uniżonością, zasługiwać się dla pozyskania względów. [przypis edytorski]

Najzabawniejsza była nieporadność ataków. Ponieważ żaden z tych panów nie mógł zacześć ideowych podstaw twórczości Wrześmiana, ile że żaden z nich nie posiadał wystarczającej kompetencji, przeto unikano starannie dyskusji na temat filozoficznych i psychologicznych jego założeń, czepiając się kurczowo zewnętrzności i błahostek. O tym, co nowego, co oryginalnego wnosił ze sobą Wrześmian do poezji i sztuki, nie mówiło się wcale lub, jeśli się mówiło, to z lekceważeniem, powierzchownie i, co gorsza, w oświeceniu fałszywym, wykazującym zupełny brak zrozumienia. Do utworów wibrujących twórczą męką, nasyconych grozą życia i zdumieniem nad jego przejawami, zabierali się panowie krytycy tak sobie po gospodarsku, z zakasnymi rękoma i z błażerską nonszalancją, jak gdyby chodziło o ocenę zbiorku kabaretowych piosenek lub arabskich awantur jednego z naszych najserdeczniejszych wesółków¹⁵¹. Po prostu, bez ceremonii i wielkiego zachodu streszczało się utwory, i to w sposób nieudolny, często błędny lub wręcz opaczny, zaopatrując te mizerne i niedające najmniejszego pojęcia o dziele artysty skrót w jakiś banalny lub złośliwie płytki komentarz.

Ze zdumieniem odczytywałem nieraz te „recenzje” i „oceny”, pisane typowym dziennikarskim żargonem, pełne błędów, przekręceń tekstu i grubiańskich zaczepki.

Najkomiczniejszym ze wszystkiego było drapowanie się w bezstronność i przedmiotowość. Ci zdawkowi i trywialni poławiacze szczegółików zewnętrznych, wypisujący gorliwie z utworów Wrześmiana wszelkie rzekome usterki i potknięcia, a przemilczający z umysłu¹⁵² to, co tchnęło poezją głębi i piękna, zastrzegali się uroczyście, że nie czynią tego dla jakiejś małostkowej i czczej szykany.

Niektóre z tych artykułków dławiących się nadmiarem własnego jadu były dla nas obu źródłem nieustającej wesołości. Bawiły nas zwłaszcza sprzeczności, w jakie popadali panowie recenzenci; jedna taka ocena zdawała się zwalczać wprost drugą, lubo¹⁵³ obie schodziły się na bratnim terenie niechęci do Wrześmiana.

Tak np. jeden z nich, uznawszy twórczość mego druha za chorą, utrzymywał z powagą diagnosty, że Wrześmian pisze w gorączce i zapada na malignę. Drugi znów, kolega tamtego po zawodzie, zapewniał uroczyście publikę, że Wrześmian robi szaleństwo na zimno.

Tu mimo woli potrafiłem o jeden z „zasadniczych” i „kardynalnych zarzutów”, czynionych tej odskakującej od normy twórczości. Część krytyków uznała ją za niezdrową, mianowicie „neurasteniczną”, kto wie? — może wprost szkodliwą. A więc? — *Écrasez l'infame*¹⁵⁴! Precz z nim! Niechaj nie mąci spokojnych i ustalonych wód! Nam bowiem trzeba literatury „zdrowej”, dużo, dużo słońca i śmiechu. Więc śmiejmy się, panowie i panie! Śmiejmy się i weselmy, bo życie krótkie i należy go umieć używać. Śmiech jest zdrowy i potrzebny do trawienia! Śmiech jest objawem plemiennej siły! Niech więc żyje śmiech i swojscy wesółkowie! Niech nam błaznują i wywracają koziołki!

Obok szlachetnej grupy dbałych o zdrowie literatury „sanitariuszy” mógł się Wrześmian poszczycić drugą, nie mniej szczerą i... głęboką kategorią przeciwników, których ochrzcił mianem „witalistów”. Panowie ci „wyczuwali” w jego twórczości pewne ubóstwo życiowego materiału, którym operuje. Wrześmian, zdaniem jednego z tych znawców sztuki, mało czerpał z przeżyć własnych, a po tematy do swych utworów sięgał do podręczników psychologii i psychopatologii oraz do pewnych, dość mu zresztą obcych wewnętrznie, wydarzeń, które znał z opowiadań przygodnych i przekształcał po swojemu.

Co za zdumiewająca bystrość spostrzeżenia i co za znajomość źródeł! Myślałbyś, że się Wrześmian przed nim spowiadał lub że go szanowny krytyk podpatrzył przez dziurkę od klucza.

A obok tego taki sąd z innej strony: — Cała twórczość Wrześmiana ma jakąś logikę fanatyzmu i czasem coś prawie oszalamiającego w swym irracjonalizmie.

Komu tu dać wiarę?

Sądzę, że bliższym prawdy był chyba ten drugi.

¹⁵¹arabskie awantury jednego z naszych najserdeczniejszych wesółków — mowa o znanym humoryście, poecie i powieściopisarzu Kornelu Makuszyńskim, autorze m.in. zbioru parafraz baśni, zatytułowanego *Awantury arabskie* (1913). [przypis redakcyjny]

¹⁵²z umysłu — tu: umyślnie; z premedytacją. [przypis edytorski]

¹⁵³lubo (daw.) — choć, chociaż. [przypis edytorski]

¹⁵⁴*Écrasez l'infame!* (fr.) — Zniszczcie nędznika! [przypis redakcyjny]

Zresztą opinie o tym dziwnym człowieku zmieniano zależnie od potrzeby i okoliczności. Pewien „wybitny” recenzent przyznawał zrazu laskawie, że Wrześmian pisze stylem zwartym, lapidarnym i dziwnie mocnym — stylem chwytającym półtony i półdźwięki, które zazwyczaj drżą w powietrzu niepostrzeżenie, że wydobywa w nieporównanych często skrótach mistyczny kształt wnętrza, którego istotę zaledwo przeczuwamy. Ten sam krytyk w parę lat potem, porósłszy trochę w piórka, wydał o tymże stylu opinię wręcz przeciwną. Teraz zdaniem jego utwory Wrześmiana pisane były językiem „ubogim”. *Parbleu*¹⁵⁵! Podziwiam stałość i wytrawność sądów!

Do ostatniej, najpospolitszej kategorii oceniaczy muzy Wrześmianowej należeli specjaliści od „wpływologii”. Zdaniem ich Wrześmian pozostawał pod silnym oddziaływaniem wszystkich możliwych i niemożliwych fantastów świata, od papy A. Hoffmanna¹⁵⁶ i E. Poego¹⁵⁷ poprzez Stevensona¹⁵⁸, Villiersa de l’Isle Adam¹⁵⁹ do współczesnego mu Meyrinka¹⁶⁰¹⁶¹. Wrześmian był tym i tamtym, tamtym i owym, był nimi wszystkimi po trosze — tylko nie sobą, tylko nie Wrześmianem. Bo i jakżeby inaczej być mogło? Gdzież by też u nas coś podobnego?...

Wrześmian czytał przygodnie te elukubracje i uśmiechał się. Były z jednej strony zbyt zjadliwe, by je brać za wyraz szczerego przekonania, z drugiej zbyt płytkie i jednostronne, by się z nimi liczyć. W każdym razie świadczyły o tym, że go zauważono, i to — z niemiłym zdziwieniem.

Chociaż się o to nie starał wcale, skupiła się koło niego mała, ale doborowa gmina duchowa, której został przewodnikiem. Kilka jednostek wybitnych, o strukturze duchowej głębokiej i skłonnej do mistycznego na świat spojrzenia, otoczyło go życzliwą opieką. W słońcu tej przyjaźni talent jego niezwykle dojrzał i rozwinął się w pełni. Lecz zamiłowanie do życia samotnego i izolacji wzrastało z rokiem każdym i rozluźniało węzły towarzyskiej zażyłości. Równocześnie brak bezpośrednich „chwytów”, jakich każdy ambitny człowiek dokonywać musi w łonie życia, jeżeli pragnie wybić się na jego powierzchnię, spowodował, że przestano się nim z czasem zajmować. Od szeregu już lat Wrześmian milczał i nie ogłaszał swych utworów. Odciąwszy się od ludzi czterema ścianami mieszkania gdzieś w podmiejskim ustroniu, zniknął niemal zupełnie z widowni świata.

Szanując jego wolę, nie narzucałem mu się od dłuższego już czasu swoimi wizytami, jakkolwiek lubił mnie i czułem, że towarzystwo moje nigdy mu nie ciążyło. Dopiero wczoraj, tj. w miesiąc niespełna po strasliwym zgonie Amelii, odważyłem się na ten krok, pchany ku temu niezwykle człowiekowi jakimś tajemnym nakazem.

Zastałem go w małym, szarym domku u wylotu podmiejskiej ulicy, opartego łokciami o parapet otwartego okna i zapatrzonego przed siebie. Był tak głęboko zamyślony, że nie zauważył mej obecności w pokoju. Dopiero gdy dotknąłem jego ramienia, ocknął się z zadumy i żywo obrócił się ku mnie.

— Co za niespodzianka! — rzekł, serdecznie ściskając mi rękę. — Myślałem już, że zapomniałeś o mnie zupełnie.

¹⁵⁵*Parbleu!* (fr.) — Dalibóg! [przypis redakcyjny]

¹⁵⁶*Hoffmann, Ernst Theodor Amadeus (E.T.A.)*, właśc. *Wilhelm Hoffmann* (1776–1822) — niemiecki pisarz, rysownik i kompozytor epoki romantyzmu, jeden z prekursorów fantastyki grozy. [przypis edytorski]

¹⁵⁷*Poe, Edgar Allan* (1809–1849) — amerykański poeta i prozaik, krytyk literacki; przedstawiciel romantyzmu; w swojej twórczości nie stronił od elementów fantastyki, makabry i horroru. [przypis edytorski]

¹⁵⁸*Stevenson, Robert Louis* (1850–1894) — szkocki prozaik i poeta, autor reportaży, przedstawiciel neoromantyzmu w literaturze, do jego najważniejszych utworów literackich należą: *Wyspa skarbów*, *Porwany za młodu* oraz *Dziwna historia dra Jekylla i Mra Hyde’a*. [przypis edytorski]

¹⁵⁹*Villiers de l’Isle Adam, Jean-Marie-Mathias-Philippe-Auguste de* (1838–1889) — francuski poeta i dramaturg symbolista oraz pisarz naturalista, znany przede wszystkim dzięki powieściom kryminalnym; przez znaczną część życia borykał się z problemami finansowymi, z których wybawiło go wydanie w 1883 r. *Opowieści okrutnych*; był również autorem jednego z najważniejszych dramatów symbolistycznych pt. *Axel* (1885, wyst. 1894). Urodził się w zubożalej rodzinie szlacheckiej pretendującej do miana „starożytnego rodu”, jego ojciec tytułował się margrabią, on sam otrzymał tytuł hrabiego, który nosił z upodobaniem; na łożu śmierci wziął ślub z Marią Dantine, aby przekazać synowi swoje nazwisko. Opiekę nad rodziną i spuścizną literacką powierzył Stefanowi Mallarmému, z którym się przyjaźnił, oraz Huysmansowi. [przypis edytorski]

¹⁶⁰*Gustaw Meyrink* (1868–1939) — pisarz austriacki, fantasta. [przypis redakcyjny]

¹⁶¹*Meyrink, Gustaw*, właśc. *Gustav Meyer* (1868–1932) — austriacki pisarz epoki modernizmu; urodził się w stolicy Austro-Węgier jako nieślubne dziecko wirtemburskiego dyplomaty Karla von Varnbülera i aktorki Marii Meyer; jeden z czołowych twórców fantastyki grozy, dandys, okultysta i mistyk, buddysta, znawca kabały i amator fenomenów parapsychicznych; uznawany niekiedy za prekursora surrealizmu oraz powieści egzystencjalnej; autor powieści *Noc Walpurgii* i *Golem*. [przypis edytorski]

— Nie chciałem tylko być natrętny. Wiem, że nie lubisz zbyt częstych odwiedzin.
— To prawda, lecz ty jesteś w moim domu zawsze mile widzianym gościem.
— Dziękuję ci. Prawdę mówiąc, sprowadza mnie interes.
— Proszę, o co idzie? — zapytał, skierowując na mnie spojrzenie swych szarych, wyrazistych oczu.

— O nic konkretnego. Szukam u ciebie pewnego rodzaju wsparcia moralnego i pewnych wyjaśnień specjalnej, trochę nieuchwytniej natury. Jestem, uważasz, od dłuższego już czasu, powiedzmy, od dwóch lat, jakby wyważony z zawiasów; potrzebuję twojej rady i pragnę poznać twój pogląd na zajmującą mnie obecnie sprawę. Może potrafisz rozwiąć lub przynajmniej rozjaśnić trochę ponury problem, który mnie prześladowa od tak już dawna.

— Czy chodzi o zagadnienie psychicznej natury?

— Nie: raczej metafizycznej. Idzie tu o śmierć Pradery.

Wrześmian poruszył się na krześle niespokojnie.

— Rzecz dziwna; i mnie zajęła silnie ta sprawa od samego początku. Czy oprócz tego, co wyczytałeś z gazet, możesz mi udzielić specjalnych wiadomości? Czy zdobyłeś jakie nowe szczegóły na własną rękę?

— Nie słyszałeś nic o jego żonie? — odpowiedziałem pytaniem.

— Nie. Od paru miesięcy żadna wiadomość z zewnątrz nie przedostała się do mojej samotni. Nie czytuję dzienników.

— Amelia Pradera zginęła miesiąc temu śmiercią samobójczą. Ponieważ okoliczności, które poprzedziły zgon tej niezwyklej kobiety, związane są ściśle z moimi osobistymi przeżyciami i mimo woli przyczyniłem się do straszliwego jej końca, muszę cię zaznajomić z pewnymi szczegółami. Wolalbym milczeć, gdyby nie głębokie przekonanie, że przebieg i tragiczne zakończenie mojej z nią przyjaźni związane są podziemnymi węzłami ze śmiercią jej męża. Sądzę, że znajomość pewnych momentów z ostatnich miesięcy życia Amelii może ułatwić ci zadanie. Naturalnie liczę na pełną dyskrecję.

Wrześmian odpowiedział uśmiechem zamyślenia.

— O tej chyba nie potrzebujesz wątpić — rzekł, patrząc mi badawczo w oczy. — Musi ci jednak bardzo zależeć na tym, jeśli zdobywasz się aż na taką ofiarę.

— Tak. Czuję, że od tego zależy moja przyszła postawa do życia, może w ogóle moje dalsze istnienie. Chcę wiedzieć, kto z nas miał rację: ja czy on? Czy śmierć jego mam uważać za wyraz sympatii okazanej mi przez siły wyższe, których jestem sprzymierzeńcem, czy też była ona tylko dziełem tzw. przypadku. Pragnę dociec, czy wysiłek całego życia był potrzebny, czy to, o co walczę, o co w gruncie rzeczy walczyliśmy obaj, i ja, i ty, jest dobre i ewolucyjnie dodatnie czy też względne i problematyczne. Przypuszczam, że ty, jako stojący dalej od kotłowiska zdarzeń i wypadków życiowych, a za to głęboko zanurzony w świecie metafizycznych dociekań, zdołasz łatwiej ode mnie pochwycić niewidzialne fale, płynące wciąż stamtąd ku naszym brzegom. Ufam twojej intuicji.

— Zdaje mi się, przeceniasz me siły — odparł, zapuszczając roletę i zapalając lampę, bo zaczynało już ściemniać się na dworze.

— Wiem, co mówię. Zresztą posłuchaj!

I krótko, ograniczając się do momentów najważniejszych, opowiedziałem mu dzieje mej znajomości z Amelią. Słuchał z uwagą, nie przerywając ani słowem. Gdy skończyłem, przez długi czas siedział w milczeniu ze wzrokiem wbitym w mroczniejący cieniem kąta pokoju.

— Ostatecznie — rzekł, przenosząc powoli oczy na mnie — Pradera poniósł powtórnie porażkę. To, na co liczył, powierzając ją twojej opiece, fatalnie zawiodło. Amelia padła ofiarą jego mściwości. Zwyciężyły ją płeć i jej nieodłączna sojuszniczka, miłość.

— Tak, lecz te fakty nie dają mi bezwzględnej pewności, że wypłynęły z woli mocy wyższej, że leżą rzeczywiście na linii wstępnej ewolucji i przyczyniły się do usunięcia z drogi przeszkód, wstrzymujących lot Ducha.

— No tak — pewności tu nie ma. Przyznam ci się otwarcie, że o śmierci Amelii na razie nie mogę ci nic ważkiego powiedzieć; fakt spadł na mnie zbyt nagle, bym mógł już dzisiaj ocenić głębsze jego znaczenie. Zresztą chodzi tu o kobietę; w podobnych wypadkach sprawa wikła się i komplikuje bardzo, bo wchodzi w grę żywioł seksualny, poniekąd autonomiczny, który często nie styka się wcale z rubieżami wyższego rzędu.

Idealista, Walka

Kobieta, Śmierć

Nie wykluczam wprawdzie głębszych związków, jakie może posiada twoja tak tragicznie sfinalizowana afera miłosna, lecz na razie nie umiem ich uchwycić. To pewna, że pod koniec swego życia Amelia nie była istotą normalną i że bezpośrednia przyczyna jej śmierci, zdaje się, wyszła z „tamtej strony”. Zresztą, jak ci wiadomo, rozstrzygnięcie w podobnej kwestii jest rzeczą bardzo ryzykowną. Objawy, które towarzyszyły jej dniom ostatnim, można tak rozmaicie tłumaczyć...

— Masz słuszność. Lecz jeśli przyczyny jej lęku nie były wytworem halucynacji ani skutkiem objawów telekinetycznych jej własnej jaźni, tylko miały podłoże rzeczywiste...

— Oczywiście w takim razie Pradera własnoręcznie zepchnął do grobu narzędzie swej nieudalej¹⁶² zemsty.

— Spostrzegłszy, że okazało się nieprzydatne.

— Naturalnie. Ale istnieją też inne możliwości.

— Tak, tak. Wiem o tym, niestety.

— Więcej natomiast mógłbym ci powiedzieć o śmierci jej męża.

— Pogląd twój na nią już ustalony?

— Raczej ograniczony do trzech ewentualności. Tzw. ogół przyjmuje powszechnie możliwość czwartą, tzw. przypadek, który ja tutaj stanowczo wykluczam.

— Dlaczego?

— Nie wierzę we wpływ przypadku na życie ludzi niezwykłych. Obserwacja wieloletnia przekonała mnie, że sfera jego działania jest znacznie węższa, niż się zwyczajnie przypuszcza. Pradera był indywidualnością zbyt silną, by o losie jego mógł rozstrzygać czynnik tak kapryśny. Przypadek kieruje przeważnie życiem ludzi słabych, którzy nie posiadają własnej osi.

— Jakież zatem przyjąć należy zdaniem twoim możliwości?

— Śmierć Praderę mogła być gromem, który cisnęły weń moce tajemne z tamtego brzegu.

— Te same moce, z którymi walczył przez całe życie.

— Lub których istnienia nie chciał uznać. Do pewnych granic pozwoliły na ekspansję wrogiej im jaźni ludzkiej, lecz kiedy ta posunęła się w swym zuchwałstwie za daleko, zdruzgotały ją.

— I ja tak dotychczas rzecz tę ujmowałem.

— Więc dziś zmieniłeś pogląd?

— Dziś nie wiem nic. Straszliwe wstrząśnienie, jakiego doznałem wskutek śmierci Amelii, zachwiało we mnie dawniejszą wiarę. Jakiś kamień obsunął się w gmachu mej myśli i grozi ruiną. Otworzyły się we mnie nagle nowe perspektywy.

— Jakież?

— Nie umiem ci ich określić. Są mętne, szare... Czuję strach przed nimi i boję się spoglądać w tę stronę.

— W takim razie może lepiej było nie przychodzić z tym do mnie? Może właśnie jedna z pozostałych dwóch ewentualności zaprowadzi nas w te strony, których unikasz.

— Nie cofam mej prośby. Pomóż mi zapaść się w te posępne dziedziny.

— Praderę mogła zabić zbiorowa wola pewnej grupy społecznej. Minister miał wielu przyjaciół, ale też i niemało wrogów; otaczały go wiry najrozmaitszych uczuć ludzkich. Mogło się zdarzyć, że chwilowo wzięły górę prądy mu wrogie; może skorzystano z momentalnej próżni, jaka wytworzyła się koło niego: może Pradera wstąpił dnia fatalnego w pas neutralny, ułatwiający dostęp siłom nieprzyjaznym... Może wyzyskano jakiś moment w jego życiu...

— Jakiś moment? — podchwyciłem. — O czym myślisz?

— Mam na myśli moment zawahania się, chwilę zwykłej ludzkiej słabości, lęku, obawy... Śmierć, wiadomo, rzuca się najchętniej na organizmy wewnętrznie osłabione...

— Szczególna myśl — szepnąłem, zapatrzony w skupioną twarz przyjaciela — szczególna myśl... Czy słyszałeś co o naszym niedoszłym spotkaniu?

— Wiem o wszystkim. Miało nastąpić właśnie w dniu krytycznym. Kto wie, może był wskutek tego wewnętrznie mniej odporny...

— A trzecia możliwość?

¹⁶²nieudaty (daw. forma) — dziś popr.: nieudany. [przypis edytorski]

— Ministra mogła też usunąć ze świata silna, skoncentrowana wola jednostki. — Oczywiście we wszystkich trzech wypadkach bezpośrednią przyczyną jego śmierci była ręka ludzka, która tu odgrywała tylko rolę ślepego narzędzia. Zbrodnia ta posiada pewne charakterystyczne cechy, które doprowadziły mnie do wniosku, że nie jest ona realizacją samodzielnej myśli. Mam wrażenie, że morderca działał pod wpływem tajemniczego nakazu. Stąd rys niesamowitości znamieny dla tej sprawy, stąd też i szalone trudności, na jakie od samego początku natknęły organa śledcze.

— Że pewien specyficzny nastrój większego zbiorowiska ludzkiego może wywołać odpowiadający mu czyn: to wydaje mi się możliwe — zauważyłem, korzystając z przerwy w toku jego wywodów. — Lecz co do tego, by skoncentrowana wola jednostki mogła pchnąć kogoś do podobnego dzieła, mam poważne wątpliwości. Chyba że ten ktoś otrzymał nakaz w stanie hipnozy.

— Niekoniecznie. Przy wielkim nasileniu myśli możliwe jest coś podobnego i w stanie jawy. Naturalnie nie każdemu i nie z każdym to się uda. Przypuszczam, że w tym wypadku zbrodniarz musiał być osobnikiem bardzo słabej woli i podatnym na wpływ woli cudzej... Myśl ludzka jest potężna, a zgęszczona do pewnego, dość wysokiego napięcia, może dokonać cudu.

— Czy znalazłeś we własnym życiu na to dowody? — zapytałem w pół przekonany.

Wrześmian podniósł się powoli z miejsca i zbliżył ku oknu.

— Popatrz tam, naprzeciw — rzekł, podnosząc roletę.

Podszedłem i spojrzałem we wskazanym kierunku. Po drugiej stronie ulicy biejącej wąskim pasem przy świetle księżycy wznosiła się na tle topól i cyprysów samotna willa.

— To moja dziedzina — rzekł głębokim, wzruszonym głosem. — To dom moich spełnień.

— Dom twoich spełnień — powtórzyłem machinalnie, wsłuchując się w dźwięk tych słów dla mnie niezrozumiałych.

— Opuszczona willa, którą zapełniłem tworam i mej myśli — tłumaczył, wpatrując się w przeglądający tajemniczo spośród cyprysów dom.

— Twoja własność? — rzuciłem naiwnie pytanie.

Uśmiechnął się.

— Duchowa. Nikt mi jej dziś już nie wydrze. Ha, ha, ha! Gdyby jej lekkomyślny właściciel teraz powrócił i zechciał tu zamieszkać, „straszyłoby” w tym domu. Niebezpiecznie jest mieszkać w przestrzeni wypełnionej po brzegi ludzką myślą.

— Mówisz dziwnie — szepnąłem, wodząc oczyma po alei żalobnych krzewów wiodącej do drzwi wchodowych, po frontonie trójkątnym domu, po błyszczących w refleksach miesięcznych szybach.

— Słyszysz szept wodotrysków? — pytał zniżonym głosem. — Fontanny dżdżą cicho, fontanny...

— Pieśń wody — dopowiedziałem, poddając się nastrojowi.

Wrześmian wyciągnął rękę w stronę milczącej willi.

— *Oni są tam już wszyscy — mówił powoli, z namysłem. — Czekają na mnie... Lada dzień wezwą mnie do wnętrza...*

— O kim mówisz? — spytałem zdumiony.

— *Ci ludzie: te twory, dzieci mojej myśli, dla których porzuciłem słowo, by je wcielić w kształty, by one żyły.*

— To obłąd!

— *To wyższa rzeczywistość: to słowa, które się stały ciałem...*

— To wampiry oszalałej myśli!

— *Być może to upiory... Lecz te są pierwszą na ziemi, najwyższą, bo najtrudniejszą realizacją myśli, więc pójdę ku nim, pójdę...*

— Wrześmianie, opuść to miejsce i przenieś się przynajmniej na jakiś czas do mnie! — błagałem, otrząsając się z ponurego czaru.

— Przenigdy!... Wczoraj już otrzymałem od nich pierwszy znak. Wkrótce spodziewam się dalszych... Będą niecierpliwie się i naglić... Jestem im potrzebny — *żyć beze mnie nie potrafią...* Jam — ich rodzic... Odejdź teraz stąd, proszę cię, odejdź!... Chcę pozostać sam, zupełnie sam...

Spojrzałem nań w tej chwili. Miał obłęd w oczach. Więc uląkłszy się jego szaleństwa, odszedłem bez słowa...

W PRZYTUŁKU

Jesień była na świecie — złocista, smutno uśmiechnięta polska jesień. Przekwitły ostatnie już róże, a dzikie wino na werandach i ogrodowych altanach spływało ku ziemi bezwładem czerwonych pnączy. Na horyzoncie rdzawiły się w szeregach porannych oparów rozpięte daleko w przestrzeń linie lasów, na plantach ścieliły się cicho zwiędłe liście kasztanów. Z podmiejskich sadów zwozili ogrodnicy resztki spóźnionych w dościgu¹⁶³ owoców, zabezpieczali inspekta matami przed chłodem poranków i zapuszczali na szyby ciepłarni słomiane story. Z flakonów i doniczek po oknach domowych zaciszy wychylały strzępiaste korony płatków chryzantemy, zapowiadały schyłek sezonu smutne astry... Jesień była na świecie — złocista, w przedzę melancholii, w woale mgieł zasnuta jesień...

Jesień

Jesień była i w duszy Pomiana. Uczucie ogromnego osamotnienia rozpanoszyło się tysiącem korzeni i nadało życiu stare barwy pustki. W krótkim po sobie odstępie czasu spadły nań dwa bolesne, silne jak uderzenie losu ciosy: śmierć ukochanej i nagły zgon przyjaciela. W parę tygodni po ostatniej wizycie rozeszła się wiadomość o tajemniczym końcu Wrześmiana. Zwłoki samotnika, zeszywniałe w spazmie śmierci, z rozkrzyżowanymi rękoma, przerzucone bezwładnie przez parapet okna znaleziono w ustronnej, opuszczonej od lat przez właścicieli willi naprzeciw domu, który zamieszkiwał pod koniec życia.

Tak zeszedł te świata człowiek, z którym łączyły go mocne, duchowe węzły, potężniejsze może, niż sam za życia tego dziwnego marzyciela przypuszczał. Ze śmiercią Wrześmiana coś jakby się w nim załamało; jak gdyby pękła w nim zasadnicza arteria, wiążąca go z życiem i jego sprawami. Zgon przyjaciela nabral z czasem charakteru symbolicznego, jakiejś jakby wskazówki na przyszłość, czegoś w rodzaju ostrzeżenia. Zabrakło mu jakby drugiej, głębszej struny duszy, zastanowił¹⁶⁴ się i skrzepł podziemny, najistotniejszy wart¹⁶⁵ jaźni.

Dopóki żył i działał tamten, twórczość Pomiana znachodziła niejako swe usprawiedliwienie w twórczości przyjaciela. Utwory Wrześmiana były poniekąd wyidealizowaniem zagadnień i problemów, które Pomian realizował bardziej po ziemsku, konkretniej i bezpośrednio. Twórczość przyjaciela była ekspiacją ich strony zmysłowej, rodzajem ofiary oczyszczalnej za „grzech” Pomiana. Ci dwaj wyjątkowi ludzie uzupełniali się nawzajem w sposób jedyny i niezwykle; tylko jeden z nich wziął na siebie cały ciężar samozaparcia się i pozostał w cieniu, drugi, lepiej wyposażony do walki wręcz i niewolonia ludzkiej rzeszy, chodził w blaskach sławy i podbojów. Pomian zdawał sobie jasno sprawę z cichej ofiarności druha i gdy go nie stało, nie śmiał i nie chciał działać na własną rękę. A do podjęcia trudu Wrześmianowego i połączenia ról obu nie czuł się już teraz na siłach...

Niby refren natrętny powracała wciąż na pamięć ostatnia ich rozmowa. Poszczególne jej przęsła rozrastały się do rozmiarów wybujałych i przesłoniły sobą inne zainteresowania życiowe. Nie umiał już o niczym innym myśleć. Równocześnie w snach jego zaczął się powtarzać stale pewien motyw. Miał charakter krajobrazowy i zdawał się odzwierciedlać przeżycia rzeczywiste, doznane kiedyś dawniej.

Śnił mu się jakiś dom w odległej dzielnicy miasta, po prawej stronie wąskiej, ostro w górę idącej uliczki. Dom był skądś znany — znajomy i zaulek — lecz że widocznie był w tym miejscu tylko raz jedyny w życiu, trudno by mu było trafić tam na jawie.

Uporczywość sennego obrazu irytowała i zastanawiała. Wyglądało na to, jakby sfera podświadoma jaźni dawała wyraz pewnemu skrytemu życzeniu, które na jawie nie mogło przyjść do głosu.

Znużony monotonią nocnych zwidzeń, postanowił w końcu poszukać tego miejsca i w ten sposób uwolnić się może od jego natręctwa.

¹⁶³dościg — tu: dojrzwawanie. [przypis edytorski]

¹⁶⁴zastanowić się — zatrzymać się, ustać, stanąć. [przypis edytorski]

¹⁶⁵wart — tu: nurt. [przypis edytorski]

Jeżeli senny zaulek odpowiadał rzeczywistości, należało go szukać w południowej, dość silnie sfalowanej części miasta. W pewne słoneczne, wrześnie popołudnie skierował Pomian w tę stronę swe kroki.

Instykt orientacyjny nie zawiódł.

Była to jedna z najstarszych i najuboższych dzielnic, znana mu zaledwie z nazwy, gdyż nigdy tam nie zaglądał. Przed wiekami stanowiła podobno punkt wyjścia i zarodek późniejszego miasta — dziś zeszała do poziomu podmiejskiej *suburra*¹⁶⁶, zamieszkałej przez żywioły niepewne i mętne.

Spodem gliniastego urwiska, na którego zboczach rozsiadły się teraz domki kryte gontami lub ogniotrwałą papą, szło przed laty koryto rzeki; dziś miejsce jej zajął sypki, brudnożółty trakt, wijący się kręto pomiędzy budynkami, porosły tu i tam kępami wikliny; łożysko rzeki przesunęło się na północny zachód, a w ślad za nim przeniosło i tętno miasta.

Pomian szedł powoli ulicą Studzienną, która, przerywając na skos całą ścianę urwistego zbocza, przecinała się po drodze ze wszystkimi ważniejszymi uliczkami i zaułkami dzielnicy.

W powietrzu wisiała rozpylona złotordzawa, jesienna pomgładź słońca. Z kominów wydobywały się gęste, kłaczkaste dymy i ścieląc się ponad dachami, napełniały przedmieście swędem. Tumany kurzu, wzbite przez wozy i furgony, wirowały w słońcu szarymi zwojami i tamowały oddech.

Minąwszy trzecią z rzędu poprzeczkę¹⁶⁷, zatrzymał się u wylotu wąskiej, w pancerze parkanu ujętej uliczki. Coś go w niej uderzyło. Spojrzał na tabliczkę przybitą do słupa u wejścia w zaulek i przeczytał: „Ulica Ptasia”.

Nie analizując bliżej uczuć, które go nagle obieły tłumem, zmienił dotychczasowy kierunek i zaczął piąć się w górę ciasną, zamkniętą z obu stron deskami dróżką.

Iście ptasi tor — myślał, rozglądając się ciekawie dokoła. — A jednak nie wydaje mi się całkiem obcy. Mam wrażenie, że nie po raz pierwszy tędy przechodzę. Tę jarzębinę, wysuwającą gałęzie przez szczyrbę w parkanie, przypominam sobie. Jej samotność wśród szarzyzny otoczenia już mnie raz zastanowiła...

W pewnym miejscu parkan skończył się, a zaczęła się linia domów starych, parterowych, wpół zapadłych w ziemię. Otaczały je podwórka brudne, cuchnące mydlinami, urozmaicone tu i tam drzewinami o suchotniczym wyglądem.

— Beznadziejność! Że też ludzie mogą tak bytować! — zdumiał się, odwracając oczy ze wstrętem w stronę drogi, przed siebie.

Po 10 minutach linia domostw urwała się, przechodząc w podwójne pasmo pustych, marną trawą porosłych wygonów. W górnym końcu jednego z nich, po prawej, zarysował się samotny kompleks zabudowań.

Podszedłszy bliżej, spostrzegł, że stanowią zamkniętą całość okoloną sztachetami i żywopłotem. Mały mostek łączył furtkę wchodową z uliczką; nad furtką na łukowatej wywieszce widniał napis:

„Przytułek dla starców i ubogich”.

Spojrzał w jedno z okien najbliższego budynku. Blask szyby uderzonej rzutem zachodzącego słońca obudził zatarte wspomnienie: ożyło nagle w jaskrawych barwach. Przypomniał sobie teraz, skąd zna to ustronie; przechodził tędy w wigilię niedoszłego z Praderą spotkania. Zatopiony w myślach o nim i o tym, co miał im obu przynieść dzień najbliższy, zabląkał się w czasie przechadzki wieczornej w uliczkę Ptasią i dotarł aż do przytuliska.

Sytuacja obecna miała nawet szczególne podobieństwo do pewnego momentu sytuacji sprzed dwóch lat: podobnie jak wtedy, spojrzał i dzisiaj niespodzianie w to pierwsze okno na skrzydle z zieloną firanką i, podobnie jak wtedy, odbił się w nim refleks zachodu. Lecz była i różnica... Tak, tak... Wtedy, w wigilię groźnego dnia, ujrzał za tą szybą coś więcej. Ujrzał czyjąś bladą, wymęczoną twarz z hektycznymi wypiekami na policzkach — znużoną życiem twarz jakiegoś mężczyzny. Spojrzenia ich spotkały się i splotły na sekundę. Potem opuścił głowę i poszedł dalej, mijając przytułek... Dziś szyba była pusta: odpowiedziała

¹⁶⁶*suburra* — przedmieście. [przypis redakcyjny]

¹⁶⁷*poprzeczka* — tu: przecznica. [przypis edytorski]

mu tylko czerwonym refleksiem słońca... Tak, tak — na tym właśnie polegała różnica między chwilą obecną a tamtą — sprzed dwóch lat...

Wtem zakiełkowała pewna myśl i w paru sekundach rozrosła się do rozmiarów postanowienia; z *tym człowiekiem* należało się koniecznie zobaczyć. Należało skorzystać ze sposobności i wyszukać go wśród tych biedaków i starców. Coś nieprzewycięzonego ciągnęło go ku niemu. Kto wie, czy go nie szukał już od dawna? Czy ten uporczywy sen, powtarzający jedno i to samo od paru tygodni, nie był wskazówką, gdzie go należało szukać?

Pociągnął za rączkę dzwonka u furty. Po chwili wyszedł na spotkanie stary, siwy jak gołąb odzwierny.

— W odwiedziny do krewnego? — zapytał, uprzedzając gościa.

— Jestem dziennikarzem — tłumaczył się Pomian naprędce zmyślonym pretekstem.

— Chciałbym oglądnąć zakład, o którym słyszałem wiele dobrego.

Starzec uprzejmym gestem ręki przepuścił go do wnętrza.

— Proszę wejść — rzekł, zamykając za nim furtę z powrotem. — Może zechce się pan porozumieć z panem kierownikiem?

— Dziękuję. Na razie poprzestanę na samodzielnej obserwacji. Czy wolno mi przejść się tędy, ogrodem pomiędzy domami?

— Proszę poruszać się z zupełną swobodą. O ile by pan chciał zasięgnąć jakiejś informacji u pana kierownika, proszę zwrócić się do tego domku w głębi na prawo, tam pod kasztanami. Tam mieszka.

— Serdecznie dziękuję.

I wcisnąwszy mu w rękę złotówkę, ruszył przed siebie aleją porzeczkową, która poczynając się tuż niemal koło furtki, wiała się w głąb ku kilku schludnym, czerwoną dachówką krytym domkom.

Pomiędzy ścianą krzewów, ogołoconych już od dawna z jagód, a sztachetami ogrodzenia rozciągały się grządki z warzywem. W jesiennym cieple wygrzewały się okrągłe łby harbusów i dyń, pachniały obłe stożki ogórków, krwawiły soczyste pomidory; na wyniosłych łodygach kończyły pełny obrót dookoła swej osi zakochane w słońcu słoneczniki, spodem, wyczarowane z ziemi wieloletnią pielęgnacją, wychylały się grube trzony szparagów. A dalej — poprzedzielane miedziami zieleniało zwykle już pospólstwo buraków, kapusty i kalarep.

U wylotu porzeczkowej uliczki, przed domkiem szarym, z doniczkami fuksji w oknach, siedziało na ławce kilku starców. Jesienna zaduma pochylała im głowy ku pięściom rąk zaciśniętych na laskach. Nie podnieśli ich ku niemu, gdy mimo¹⁶⁸ przechodził — doskonale obojętni...

Parę kroków dalej jakaś staruszka w czarnym szalu zarzuconym na zgarbione plecy skrapiała polewaczką kwiaty; skromne, tanie kwiaty, które widuje się w ogródkach podmiejskich, za szybami chłopskich chat, przy polskich drogach: malwy czerwone i fioletowe, ślasy lilioworóżowe i siwe skabiozy. Obok kopał grządkę wysoki, w szary prochownik odziany mężczyzna; szerokie skrzydło kapelusza ocieniało mu twarz. Gdy Pomian mijał tę parę, ogrodnik nagle wyprostował się i spojrzał na przechodnia. Wtedy Pomian poznał w nim człowieka, którego szukał. Była to ta sama zawiedła, zmęczona już śmiertelnie życiem fizjonomia, którą ujrzał wtedy spoza szyby.

Podszedł ku niemu i, zdejmując kapelusz, przedstawił się.

— Szantyr, emerytowany oficjal¹⁶⁹ pocztowy — odparł tamten, odpowiadając na ukłon.

I odrzuciwszy rydel, otarł pot z czoła.

— Uf! — odsapnął tonem naturalnym, jak gdyby rozmawiał ze starym znajomym. — Zmęczyłem się dziś porządnie. Proszę, może pan zechce zaglądnąć do mego pokoju. Mieszkam stąd niedaleko. O, w tym domku na skrzydle. Tam będziemy mogli porozmawiać swobodniej. Przeczynałem, że tymi dniami pan do mnie zagładnie.

Pomian słuchał osłupiały.

— Ależ pan mnie nigdy w życiu nie widział! — zauważył tonem protestu.

¹⁶⁸*mimo* (daw.) — tu: obok. [przypis edytorski]

¹⁶⁹*oficjal* — urzędnik. [przypis edytorski]

Szantyr uśmiechnął się.

— Łaskawy pan żartuje. Mógłbym to samo powiedzieć o panu ze względu na mnie. A jednak my się znamy już od dawna. Zresztą — pan tu przyszedł *do mnie* — wyłącznie po to, by się *ze mną* zobaczyć.

Weszli do pokoju, milej, słonecznej, skromnie urządzonej izdebki.

— Tu mieszkam — rzekł gospodarz i wskazał gościowi krzesło. — Za ten pokój wraz z utrzymaniem oddaję im moją pensyjkę i pełnię funkcję zakładowego ogrodnika.

— Nader miłe zajęcie — odparł Pomian, byle coś powiedzieć. — Obcowanie z przyrodą wpływa dodatnio.

— O tak! Zwłaszcza na mój potargany na strzępy ustrój nerwowy.

Ostatnie słowa Szantyr wywołały w Pomianie szczególne wspomnienia. Nagle przypomniał sobie, że przed laty wyczytał w dziennikach jego nazwisko wplątane w jakąś sensacyjną awanturę.

— Nazwisko pańskie teraz skądś sobie przypominam — rzekł przypatrując mu się z zainteresowaniem. — Pamiętam jak przez sen, lat temu 10, może 11, zdarzył się w mieście jakiś kolosalny skandal, którego ofiarą podobno padł człowiek noszący to samo nazwisko.

Szantyr pochylił smutno głowę.

— Pamięć dobra. Tak: to ja padłem ofiarą niesumiennosci hipnotyzera.

— Podobno jakiś lekarz?

— Tak: dr Józef Wokierda. Wyzyskując wpływ, jaki zdobył na mnie dzięki długoletnim eksperymentom, skłonił mnie jednym ze swych nakazów hipnotycznych do wykonania czynu haniebnego.

— Lecz prawda podobno wyszła na jaw?

— Tak. obrońca wykazał moją niewinność. Uwolniono mnie, a zasądzono właściwego winowajcę. Lecz wkrótce potem musiałem zrezygnować z posady. Mój organizm, zrujnowany kompletnie przez doświadczenia tego łotra, nie pozwolił mi dłużej na spełnianie funkcji zawodowych. Wtedy osiadłem na resztę życia w tym ustroniu.

Na chwilę zaległo milczenie. Pomian uczuł pewne zakłopotanie. Znalazłszy się twarzą w twarz z tym człowiekiem, nie wiedział, o co go właściwie zagadnąć. Lecz Szantyr uprzedził go, wyzwalając z nijakiej sytuacji.

— Winien mi pan parę wyjaśnień — rzekł nagle, skupiając na nim spojrzenie sennych, znużonych oczu.

— Proszę. Służę nimi w każdej chwili.

— Oczywiście pamięta pan ten wieczór, dwa lata temu, mniej więcej o tej samej porze, kiedy to pan, przechodząc мимо naszego schroniska, rzucił przypadkowo okiem w jedno z okien?

— No, tak. Pamiętam.

— Pan myślał wtedy o dżentelmenie w wieczorowym stroju, w białej kamizelce, z monoklem w oku.

— Możliwe. Nie pamiętam zresztą. Tak błahy szczegół.

Szantyr zaprzeczył energicznym ruchem ręki.

— Dla mnie nader ważki. Pan musiał myśleć wtedy o tym człowieku w sposób bardzo intensywny.

— Tak? Z czego pan wnosi?

— Bo począwszy od owej chwili, od tego jednego pańskiego spojrzenia, obraz tego wytwornego jegomościa prześladował mnie bez przerwy.

— W jaki sposób?

— Widziałem go wciąż przed sobą oczyma duszy; śnił mi się przez całą najbliższą noc. Pan musiał nienawidzić tego człowieka!

— A to dlaczego? — zapytał Pomian, błędąc mimo woli.

— Pańska nienawiść ku niemu udzieliła się i mnie. Wie pan, co mnie u niego najwięcej drażniło?

— Nie domyślał się.

— Jego monokl: ten wstrętny, wyzywająco wciśnięty w oko monokl i jego uśmiech: uśmiech zdobywcy i triumfatora... Kim jest ten człowiek?

— Nie wiem — skłamał Pomian, unikając jego wzroku.

— Pan wie, lecz nie chce mi powiedzieć. Nie pytałbym o to, gdyby nie pewne szczegóły związane z tym człowiekiem, które zauważyłem w parę dni potem.

— Jakie szczegóły?

— Właściwie nie tyle szczegóły, ile przedmioty.

— Mówi pan niejasno.

— Mówię więcej niż pan, chociaż powinno być odwrotnie.

Powstał i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju. Twarz jego porwana zmarszczkami zabarwiła się silnie ceglastym rumieńcem.

Pomianowi przysła nagle do głowy pewna myśl. Ujął go za ramię i patrząc mu mocno w oczy, rzekł równo, spokojnie, tonem nakazu:

— Pan teraz zmęczony i senny. Niech pan usiądzie i odpocznie.

Na twarzy Szantyra pojawił się wyraz zdumienia, potem psiej uległości i pokory. Bez słowa usłuchał rozkazu i usiadł, wlepiając zeszkłone snem oczy w przestrzeń. W następnej sekundzie spał już głęboko.

— Cofnijmy się o dwa lata wstecz! — rzekł Pomian, siadając naprzeciwko niego. — Jest dzień 22 września.

Szantyr milczał. Tylko oczy podeszły białkami w górę drgnęły lekko.

— Zbliża się pora południowa — precyzował sytuację Pomian. — Na świecie jest dużo słońca... Zbliżamy się do pałacyku przy ul. Jasnej...

— Tak — potwierdził chrapliwym głosem śpiący — zbliżamy się do domu przy ul. Jasnej...

— Co tam widzisz?

— Przechylony przez parapet loggii widnieje z daleka...

— Kto? — nastawał sugestioner¹⁷⁰.

— Człowiek w wieczorowym stroju, w białej kamizelce... Ten wstrętny, brutalny cynik, błyskający ku mnie szkiełkiem monokla...

— Dalej! — zachęcał Pomian. — Dalej! Co czynisz? Co zamierzasz?

— Wytrącić mu trzeba to szkiełko, wyrzucić ze ślepią! Niechaj dłużej nie szydzi ze mnie! Zedrzyć z niego tę kamizelkę, oskubać z piórek tego eleganta!...

Zapadło znów milczenie. Tylko pierś Szantyra podnosiła się szybko, a oddech stał się krótki i świszczący.

— W ręce ściskam nóż — wyznawał po chwili przerwy — dobry, tego wyostrzony nóż ogrodnika. Idę prosto przed siebie. Niesie mnie moc ciemna, nieznana — czuję w sobie siły olbrzyma; nic mi się nie oprze... Ten mur?... Fraszka!... Wspinam się po gładkiej ścianie jak mucha, wdzieram jak lunatyk... Nic mnie już nie wstrzyma... A szczęście mi sprzyja; nikt nie widzi: ulica pusta — jak wymiół... Jestem już w ogrodzie po drugiej stronie... Dotychczas mnie nie zauważył; pali dalej spokojnie cygaro odwrócony ode mnie... Dzielę nas od siebie zaledwie 3 metry... Głupstwo! Przebywam je po rynnicy, po gzymsach... Ha! Odwrócił się i spostrzegł! Za późno!... Nie uniknie ciosu!... Giń, nędzniku!...

Tu Szantyr zerwał się z krzesła i podniesioną do góry ręką powtórzył okropny gest. Lecz wysiłek wyczerpał go zupełnie i z pianą na ustach potoczył się jak kawałek drewna na podłogę.

— Katalępsja — mruknął Pomian, przenosząc bezwładne ciało na sofkę. — Ulżę ci trochę, biedaku!

I kilkoma pociągnięciami usunął sztywność członków. Lecz go nie obudził.

— Odpocznij chwilę — wydał rozkaz tymczasowy. — Mam ci jeszcze coś do powiedzenia.

Po 5 minutach przerwy, gdy rysy Szantyra złagodniały, a oddech stał się równiejszy, zapytał:

— Gdzie są te rzeczy?

— W szafie, w kącie na lewo.

— Wydasz mi je natychmiast po przebudzeniu. Za 5 tygodni, licząc od dnia dzisiejszego, przyjdiesz rano o ósmej na dworzec Kolei Południowej. Weźmiesz z sobą wszystko,

¹⁷⁰sugestioner — tu: hipnotyzer. [przypis edytorski]

co posiadasz, prócz mebli. O przyszłość swą bądź spokojny! Myślę teraz za ciebie. Pojedziesz tam, gdzie ci wskaże bilet jazdy. O resztę się nie troszcz! Inni będą dbali o ciebie. I jeszcze jedno, najważniejsze. O wszystkim tym, co zaszło między nami dzisiaj, i o pamiętnym dniu 22 września zapomnisz *na zawsze!* Rozumiesz mnie?

— Ro-zu-miem — zabrzmiała odpowiedź zmatowana, ledwo dosłyszalna.

— Nawet w snach nie wolno ci o tym marzyć!... A człowieka z monoklem się nie bój! Nie powróci więcej do ciebie. Od dziś dnia człowiek ten przestaje dla ciebie istnieć. Gdy za chwilę zbudzisz się i wydasz mi rzeczy przechowane, odejdziesz stąd do ogrodu, do twojej cichej pracy.

I położywszy mu dłoń na czole, potarł je parę razy. Szantyr otworzył oczy i powiódł nimi zdumiony po otoczeniu. Potem dźwignął się z sofy i jak automat zbliżył się ku szafie. Pomian czekał w milczeniu. Tamten otworzył drzwi i szukał czegoś na dole.

— Jest — mruknął, wydobywając z głębi małe zawiniątko.

I podał je gościowi.

Pomian rozwinął. Była to biała kamizelka z dużą, rdzawą plamą krwi po prawej stronie; podobnej barwy plamy, jakby od dotknięcia pokrwawionych palców, widniały na dolnym jej brzegu. W jednej z kieszonek tkwił monokl.

— Wszystko w porządku — rzekł zawijając z powrotem i związując starannie sznurkiem pakunek. — Dziękuję panu za ten mały a cenny podarek.

Lecz Szantyr już w pokoju nie było...

Gdy wkrótce potem Pomian zmierzał aleją ogrodową ku wyjściu, ujrzał go w dali kopiającego spokojnie swą grządkę.

— Do widzenia! — rzucił mu półgłosem pożegnanie. — Do widzenia za 5 tygodni!

I minąwszy furkę, zaczął schodzić Ptasią ku miastu.

„GOTÓWEM¹⁷¹ UMRZEĆ — CZEGOŻ CHCECIE WIĘCEJ?”

Kiedy 30 października rano koło dziewiątej wstąpił Pomian na trzeci peron dworca Kolei Południowej, zastał tam już oczekującego go Szantyra. Czas był najwyższy: pociąg odchodził za 10 minut.

Wcisnął mu w rękę bilet jazdy, wsadził do wygodnego przedziału i, poklepując zachęcająco po ramieniu, rzekł:

— Jedzie pan na Węgry, do Budapesztu — prosto, bez przesiadania. Pańskie papiery i paszport w porządku. Proszę — oto są.

I podał mu małą, ceratową teczkę.

— Znajdzie pan tam także pieniądze potrzebne na początek.

Szantyr uczynił gest wzbraniania się:

— Mam przecież swą pensję.

— Nic nie szkodzi. Zresztą ja spowodowałem ten wyjazd i ja muszę ponosić konsekwencje. W Peszcie wyjdzie po pana do pociągu mój kuzyn, który tam stale mieszka z rodziną. Dobrzy, zacy ludzie; zajmą się panem jak krewnym. A zatem — do widzenia!

Uścisnął mu rękę i zbiegł po stopniach wagonu. Pociąg ruszył...

Pomian opuścił dworzec i w zamyśleniu poszedł szeroką, w dwa rzędy lip ujętą ulicą Kolejową.

Tak tedy wszystko skończyło się — myślał, mijając powoli zabudowania dworca towarowego. — Oto epilog. Jakżeż odmienny od tego, jaki przypuszczałem jeszcze pół roku temu! A zatem właściwym sprawcą zamachu jestem ja — nikt inny, tylko ja! Szantyr rozwiął aureolę tajemniczości, która dotychczas otaczała zgon ministra. Pryśła jak bańka legenda o interwencji sił wyższych. I dziś stoję samotny ze swym strasliwym czynem. Nikt się nim ze mną nie zechce podzielić! Nikt, nikt! Odpowiadam za wszystko ja sam. Co za ruina!

Zatrzymał się i usiadł na jednej z ławek. Z mgławicy ubiegłych dni wyłonił się ponury cień ręki kapłańskiej wzniesionej do błogosławieństwa...

— Ha, ha, ha! Ten cień miał kontury Kozła-Bafometa!

¹⁷¹gotówem (daw.) — skrót od: gotów jestem. [przypis edytorski]

— *Umbra benedictis Maledictus adumbratur*¹⁷² — przypomniały się słowa ilustrujące diaboliczną projekcję.

— Ha, ha, ha! Oto symbol mojej działalności na tej biednej ziemi! Oto odwrotna strona moich „szczytnych” poczynań! Oto rewers mojej ideologii! Symboliczny sprawdzian jej etycznej wartości!... Kto wie, może Pradera miał słuszność? Może to ja uległem okropnej pomyłce? Może życie musi już być takie? Może ono zawsze będzie tylko wielkim kompromisem? Może duch, przyoblekając ciało, zawsze będzie musiał z niejednego zrezygnować?...

On — Pradera — wielki, ziemski minister, był tego życia najdorodniejszym wyrazem — a ja go zniszczyłem. Kto zaręczy, czy nie popełniłem zbrodni przeciwko życiu?...

Życie! Życie! Czarowne i pełne ponęt jak młoda, urodziwa kobieta i jak ona pełne grzechu!

Gdzie tu prawda? Którędy droga? Jak okiem sięgnąć — manowce, wertepy. Nigdzie punktu oparcia, nigdzie drogowskazu! Myśl obłąkana tuła się po bezdrożach bez wyjścia...

Pozostaje etyka, moralność... Ha, ha, ha!... Etyka normatywna, etyka-regulatorka stosunków społecznych... Sumienie! Sumienie!...

On miał sumienie. Dlatego wysłał stąd Szantyra i przywłaszczył sobie dowody jego zbrodni, by świadczyły przeciw niemu, przeciw Pomianowi. Należało uwolnić ze szponów władz tego dekarza, tego biedaka, na którego z kolei padły w ostatnich czasach ich podejrzenia. Podobno naprawiał w owej fatalnej godzinie dach pałacyku przy ul. Jasnej i słyszał krzyk mordowanego. Słyszał, lecz nie zgłaszał się do zeznań przed sędzią śledczym z obawy, by go nie posadzono o zbrodnię...

Biedny głupiec!

Aż miesiąc temu doniósł ktoś, że go widziano w owej chwili na dachu. Gotowi go skazać!...

Lecz nic z tego! On im wskaże rzeczywistego mordercę. Wyda się dobrowolnie w ich „sprawiedliwe” ręce. Uwierzą mu. Muszą uwierzyć. Ma na to „dowody”.

Spojrzał na mały swój pakunek starannie związany szpagatem i uśmiechnął się.

— Oto *corpus delicti*. Oto mój finał i mój los!...

Opuścił ławkę, przeszedł przez Kasztelańską i wstąpił do sklepu z kwiatami. Tu wybrał parę chryzantem i kilka herbacianych róż.

— Jej ulubione kwiaty; ta mocna, demoniczna kobieta kochała się w subtelnych barwach i woniach. — Wskoczył do przejeżdżającego tramwaju i niebawem znalazł się w bramie Cmentarza Głównego...

Nad miejscem wiecznego spoczynku unosiła się jeszcze poranna mgła. Przejrzyste jej źgła¹⁷³ okręcały się dookoła trzonów stel grobowych woalami smutku i żaloby. Inne, niby wyciągnięte wstęgi, snuły się wzdłuż cmentarnych alej ciche, samotne, tułaczce...

Było pusto. Nikt o tej wczesnej godzinie nie odwiedzał zmarłych.

Pomian skręcił w uliczkę drugą na prawo i zatrzymał się przed jej grobem.

Wyglądał pięknie. Geniusz śmierci pochylony w zamyśleniu nad mogiłą miał słodczy smutku niewysłowioną. Tulipany w doniczkach przyniesione przez kochanka tydzień temu dotychczas nie powiędły; ich śnieżne, zadumane kielichy chwiały się łagodnie w porannym wietrze.

Pomian usunął zeschłe wieńce i zastąpił je świeżymi kwiatami. Potem usiadł na ławce wkopanej w ziemię po lewej stronie grobu, wydobył z portfela podobiznę Amelii i długo wpatrywał się w nią z bolesnym zachwytem...

Nagle usłyszał szelest kroków. Podniósł głowę i zobaczył nadchodzącą z głębi alei smukłą, czarną postać duchownego. Rysy księdza, poważne a łagodne, wydały się znajome. Te oczy słodkie, błękitne, przesłonięte nalotem mistycznej zadumy, nie były mu obce.

— Ksiądz Alojzy! — szepnął, chowając fotografię ukochanej i powstając z ławki. — W tym miejscu i o tej godzinie... Dziwne spotkanie...

I zbliżył się ku niemu, składając ukłon pełen szacunku. Ksiądz odpowiedział nań trochę zdziwiony.

¹⁷²*Umbra benedictis Maledictus adumbratur* (łac.) — Cień (ręki) błogosławiącego rysuje (postać, kontur) Przekłętego (tj. szatana Bafometa) [Przypis autora]. [przypis autorski]

¹⁷³źgło — całun. [przypis redakcyjny]

— Wybacz ksiądz doktor, że go zatrzymuję — lecz szczególny zbieg okoliczności, który sprowadził nas obu na to miejsce w tej chwili, jest dla mnie wskazówką, że tak mi postąpić należy. Nieprawdąż, mam zaszczyt rozmawiać z księdzem kanonikiem, Alojzym Korytowskim?

Na ustach kapłana pojawił się łagodny uśmiech.

— Zaszła jakaś pomyłka — odpowiedział, patrząc z zainteresowaniem w nerwową twarz Pomiana. — Pan wziął mnie zapewne za kogo innego; nazwisko moje: Jan Sowiński.

— A jednak jestem przekonany, że się nie mylę co do osoby. Jestem Pomian, z zawodu literat. Czy rzeczywiście nazwisko moje jest księdzu kanonikowi zupełnie obce?

— Nazwisko: nie; jest znane w świecie ludzi inteligentnych, lecz osoby dotychczas nie miałem sposobności poznać. Miło mi bardzo, że dziwny istotnie przypadek pozwolił mi zawrzeć z szanownym panem osobistą znajomość.

I uścisnął mu serdecznie rękę.

Jakiś czas szli w milczeniu pomiędzy grobami. Czasem liść zeschnięty zaszeleścił im pod nogami, czasem muszka jesienna zabrzęczała w przelocie.

— Przepraszam za ciekawość — odezwał się w pewnej chwili Pomian — lecz pytanie moje związane jest z rzekomą pomyłką co do tożsamości księdza kanonika. Czy ksiądz prałat Dezydery Prawiński jest jego przyjacielem?

Ksiądz Sowiński podniósł lekko brwi.

— Nie znam go osobiście.

— To szczególnie! A jednak przysięgłbym, że obu księży dobrodziejów gdzieś razem spotkałem.

— W takim razie towarzyszem księdza prałata musiał być ktoś inny, bardzo do mnie podobny.

— Ksiądz kanonik jest dla mnie wcieloną antytezą księdza Prawińskiego — zauważył wymijająco Pomian. — Może właśnie dlatego widziałem go u jego boku. Zdaje mi się, że kwestia identyczności nazwiska tutaj obojętna. Imię Alojzego mogło być tylko dla mnie symbolem.

Ksiądz słuchał ze skupioną uwagą. W pewnym momencie podniósł głowę i popatrzył mu głęboko w oczy.

— Może ma pan słuszość. Może w jakim widzeniu sennym prawem kontrastu wyrzuciły się panu obok siebie nasze dwie postacie?

Pomian zaprzeczył ruchem głowy:

— Było to coś silniejszego niż senne marzenie. To było przeżycie.

— Gdzie i kiedy?

— Nie wiem dokładnie. Nie bardzo dawno. Było to w stanie dla mnie wyjątkowym... Czy w ciągu ostatnich dwóch lat nie przytrafiło się księdzu kanonikowi nic nadzwyczajnego? Jakieś zdarzenie, jakiś sen niezwykle, wyjątkowy?

Ksiądz Sowiński zamyślił się.

— Hm — rzekł po chwili — rzeczywiście wśród snów moich, które mam zwyczaj spisywać, zwrócił moją uwagę jeden dość dziwny. Śniło mi się może półtora roku temu, że brałem udział w jakiejś ponurej procesji... Pamiętam tłum wielki ludzi gdzieś poza miastem, na polach, i olbrzymi, czarny, dębowy krzyż na barkach pokutników...

Pomian chwycił go nerwowo za rękę:

— Tak, tak — tę samą procesję widziałem i ja wtedy — i tych samych, śmiertelnie smutnych ludzi, uginających się pod brzemieniem krzyża... A dalej? Czy żadnych dalszych szczegółów ksiądz sobie nie przypomina? — pytał gorączkowo, wpierając się spojrzeniem w twarz duchownego.

— Nie... Nic więcej nie pamiętam. Gdy obudziłem się, miałem oczy łez pełne i czułem w powietrzu zapach zgaszonych świec...

— Tak — to było wtedy... Ten moment *przeżyliśmy wspólnie*. Tylko ksiądz we śnie — ja w jakimś innym, wyjątkowym stanie... *Zawarliśmy znajomość na błoniach zaświatów*...

Ksiądz Sowiński położył mu łagodnie rękę na ramieniu.

— Tajemnicze są i niezbadane drogi dusz — rzekł cicho, zapatrzony w perspektywy cmentarne. — W tym, co pan pisze, znalazłem dużo, dużo prawdy. Niektóre z pańskich poglądów, aczkolwiek wypowiedziane w formie, której nie pochwalam, odpowiadają mi

w zupełności. Czytając pańskie utwory, miałem niejednokrotnie wrażenie, że królestwo Ducha znalazło w panu jednego ze swych najdzielniejszych bojowników.

— A jednak... — rzekł Pomian, zatrzymując się nagle na ścieżce. — A jednak, księżo, ja zabiłem człowieka.

I opuścił głowę pod ciężarem wyznania.

— W pojedynku? — usłyszał po chwili pytanie księdza.

— Nie: skrytobójczą myślą. Nasłałem nań człowieka drugiego...

I zachwiał się pod ciosem samooskarżenia...

Ksiądz ujął go silnie pod ramię.

— Synu mój! — mówił cicho, kojąco. — Wina twoja wielka przed Bogiem, lecz i żal wielki, serdeczny... Co możesz powiedzieć na swoją obronę?

— Człowiekiem, który zginął z mojej przyczyny, był minister Pradera.

Ksiądz puścił jego ramię i mimo woli cofnął się o parę kroków. Po chwili zwiesił ponuro głowę.

— Rozumiem — szepnął. — Teraz rozumiem wszystko. Byliście jak ogień i woda.

— Uczyniłem krok fałszywy.

— Tak. Uciekając się do jego metod prowadzenia walki, zstąpiłeś mimo woli do jego poziomu.

— Straciłem przytomność — przyznał Pomian i skłaniając pokornie głowę, ukląkł na ścieżce.

— Za chwilę — rzekł głęboko wzruszony — pójdę wyznać swą winę. Pragnę ekspiacji. Ojcze, czy możesz mi w imię Boga jako kapłan odpuścić ten mój grzech największy?

Ksiądz położył mu dłonie na głowie i przez chwilę cicho modlił się. Potem podniósł w górę rękę i kreśląc nad nim znak krzyża, rzekł głośno:

— *Ego te absolvo!*... Odejdź w pokój!...

Gdy po chwili Pomian podniósł głowę, księdza Sowińskiego już przy nim nie było...

Dojrzewało południe. Październikowe słońce, zakreśliwszy słaby łuk na niebie, prze-
ważało się ku zachodnim jego rubieżom. Nad miastem unosiła się miedziana omrocz ku-
rzu i dymów. Zanurzone w niej niby w ciężkim, roztopionym złocie wieżycy kościołów,
banie cerkwi i cylindry kominów rysowały się na turkusowym tle nieba w konturach za-
tartych, zgaszonych, na pół wizyjnych. Po skwerach, wzdłuż alej parkowych, po ogrodach
strząsał wiatr jesienny ostatnie liście, odsłaniając koście drzew czarne, sztywne i sierocę.
I szły od tych drzew na miasto żalność i melancholia... W atmosferze drzemało coś niby
ważkie, przebolesne zamyślenie. Po ulicach tułał się smutek — przechodzień bezmieni-
ny, snuły zdane na łaskę wихrowego losu wiotkie przędze „babiego lata”, chwiały w sieci
przeplotów druty kolei elektrycznej...

Na gładkich, lśniących taflami białego marmuru stopniach terasy u wejścia do gma-
chu Sprawiedliwości zaczerniała postać Pomiana. Szedł szybkim, nerwowym krokiem.
W pewnej chwili drgnął, przystanął i zaczął nasłuchiwać... Wybijały dwunastą w połu-
dnie miejskie zegary. Zaczął ratuszowy, podjął arie farny, potem zagrał mariacki, po nim
inne po kolei... Ostatni, niby dalekie westchnienie ulgi, rozbrzmiał głos dzwonów na
Dębinowej Kępie...

„Dzwony Bugaju” — przemknęła dziwna myśl i szczęła zgaszona przez bezpośredniość
chwili.

Pożegnał spojrzeniem zalane przez słoneczną roztocz miasto i wszedł do wnętrza są-
dowego gmachu.

— Pan sędzia śledczy, Góralski, przyjmuje? — zapytał, podchodząc do loggii woź-
nego.

— Proszę. Właśnie skończył przesłuchanie. Tędy, przez te oszklone drzwi, w parterze,
drugie biuro na prawo.

— Dziękuję.

Pomian zapuścił się w długi, mroczny korytarz...

Pisałem w czasie od 31 X 1923 do 9 VIII 1924.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-cien-bafometa>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, *Utwory wybrane*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja dofinansowana ze środków Fundacji PFR.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Seniju@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-6189-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.